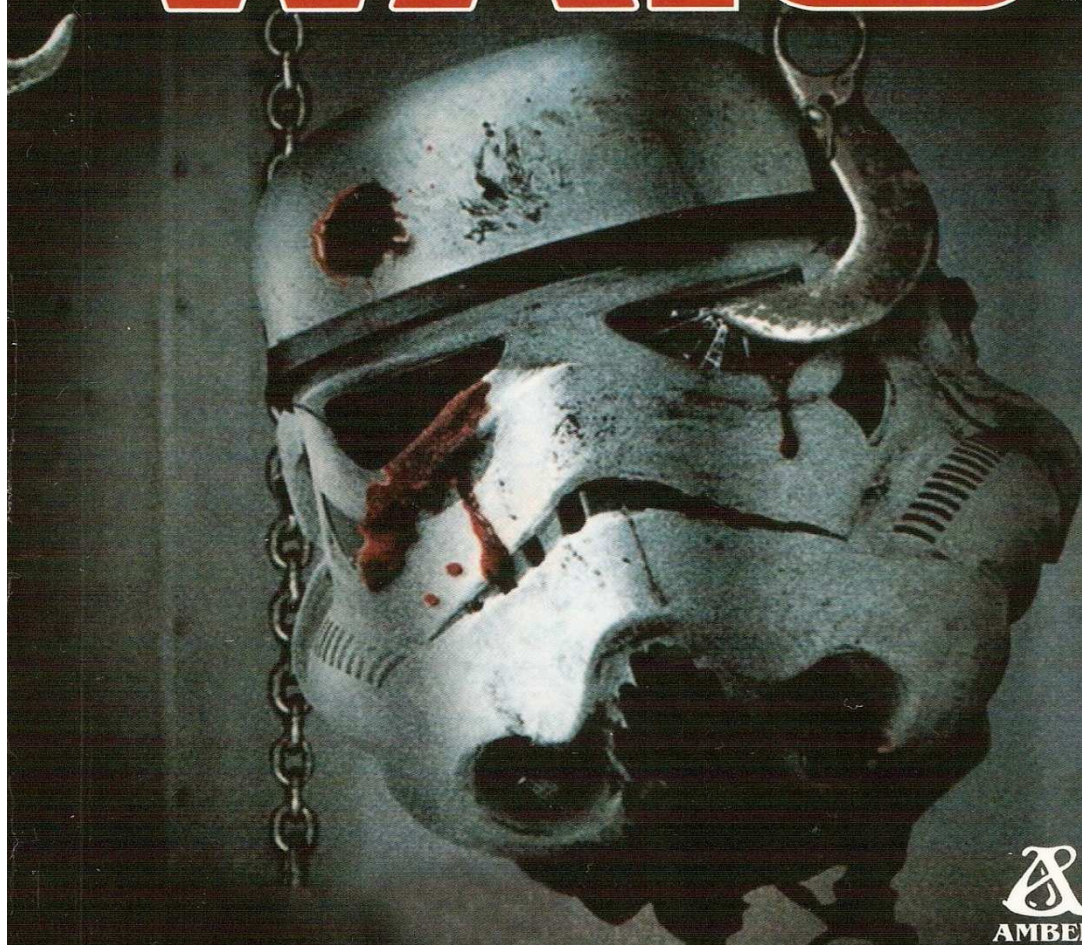


# STAR WARS™



  
AMBER

SZTURMOWCY ŚMIERCI  
JOE SCHREIBER

Drew Karpysyn <b>Darth Bane. Droga zagłady</b>	- 1020
James Luceno <b>Maska Kłamstw</b>	- 32,5
Michael Reaves <b>Darth Maul – łowca z mroku</b>	- 32,5
Terry Brooks <b>Część I. Mroczne widmo</b>	- 32
Greg Bear <b>Planeta życia</b>	- 29
Timothy Zahn <b>Poza Galaktykę</b>	- 27
Alan Dean Foster <b>Nadchodząca burza</b>	- 22,5
R.A. Salvatore <b>Część II. Atak klonów</b>	- 22
Karen Traviss <b>Komandosi Republiki. Bezpośredni kontakt</b>	- 21,5
Matthew Stover <b>Wojny Klonów. Punkt przełomu</b>	- 21,5
Steven Barnes <b>Wojny Klonów. Spisek na Cestusie</b>	- 21
Karen Traviss <b>Komandosi republiki. Potrójne zero</b>	- 21
Karen Traviss <b>Komandosi republiki. Prawdziwe barwy</b>	- 21
Michael Reaves, Steve Perry <b>Wojny Klonów. Medstar I. Chirurdzy polowi</b>	- 20
Michael Reaves, Steve Perry <b>Wojny Klonów. Medstar II. Uzdrowicielka Jedi</b>	- 20
David Sherman, Dan Cragg <b>Wojny Konów. Próba Jedi</b>	- 19,5
Sean Stewart <b>Yoda. Mroczne spotkanie</b>	- 19,5
James Luceno <b>Labirynt zła</b>	- 19
Matthew W. Stover <b>Część III. Zemsta Sihtów</b>	- 19
James Luceno <b>Czarny Lord. Narodziny Dartha Vadera</b>	- 19
Michael Reaves <b>Noce Coruscant 1. Pogrom Jedi</b>	- 19...- 18
Michael Reaves <b>Noce Coruscant 2. Aleja cieni</b>	- 19...- 18
Michael Reaves <b>Noce Coruscant 3. Ścieżki Mocy</b>	- 19... - 18
A.C Crispin <b>Rajska pułapka</b>	- 10...0
A.C Crispin <b>Gambit Huttów</b>	- 10...0
A.C Crispin <b>Świt Rebelii</b>	- 10...0
L. Neil Smith <b>Lando Carlissian I Myślomharfa Sharów</b>	- 4
L. Neil Smith <b>Lando Carlissian I Ogniowicher Oseona</b>	- 3
L. Neil Smith <b>Lando Carlissian I Gwiazdogrota ThonBoka</b>	- 3
Brian Daley <b>Przygody Hana Solo</b>	- 2
Sean Williams <b>Moc wyzwolona</b>	- 2
Joe Schreiber <b>Szturmowcy śmierci</b>	0,5...0
George Lucas <b>Część IV. Nowa Nadzieja</b>	0
Timothy Zahn <b>Posłuszeństwo</b>	0...1
Kevin J. Anderson <b>Opowieści z kantyny Mos Eisley</b>	0...3
Peter Schweighofer (red.) <b>Opowieści z Imperium</b>	0...4
Peter Schweighofer , Craig Carey (red.) <b>Opowieści z Nowej Republiki</b>	0...4
Alan Dean Foster <b>Spotkanie na Mimban</b>	1
Donald F. Glut <b>Część V. Imperium Kontratakuje</b>	3
Kevin J. Anderson <b>Opowieści łowców nagród</b>	3
Steve Perry <b>Cienie Imperium</b>	3,5
K.W. Jetter <b>Mandaloriańska zbroja</b>	4
K.W. Jetter <b>Spisek Xizora</b>	4
K.W. Jetter <b>Polowanie na łowcę</b>	4
Kathy Tyers <b>Pakt na Bakurze</b>	4
Kevin J. Anderson (red.) <b>Opowieści z pałacu Jabby</b>	4
James Kahan <b>Część VI. Powrót Jedi</b>	4
Matthew Stover <b>Luke Skywalker i cienie Mindora</b>	5
Michael A. Stackpole <b>X-Wingi. Eskadra Łotrów</b>	6,5...7,5



Michael A. Stackpole <b>X-Wingi. Ryzyko Wedge'a</b>	6,5...7,5
Michael A. Stackpole <b>X-Wingi. Pulapka Krytosa</b>	6,5...7,5
Michael A. Stackpole <b>X-Wingi. Wojna o bactę</b>	6,5...7,5
Aaron Allston <b>X-Wingi. Eskadra Widm</b>	6,5...7,5
Aaron Allston <b>X-Wingi. Żelazna Pięść</b>	6,5...7,5
Aaron Allston <b>X-Wingi. Rozkaz Solo</b>	6,5...7,5
Dave Wolverton <b>Ślub księżniczki Leii</b>	8
Troy Denning <b>Zjawa z Tatooine</b>	8
Timothy Zahn <b>Dziedzic Imperium</b>	9
Timothy Zahn <b>Ciemna Strona Mocy</b>	9
Timothy Zahn <b>Ostatni rozkaz</b>	9
Michael A. Stackpole <b>X-Wingi. Zemsta Isard</b>	9
Kevin J. Anderson <b>W poszukiwaniu Jedi</b>	11
Kevin J. Anderson <b>Uczeń Ciemnej Strony</b>	11
Kevin J. Anderson <b>Władcy Mocy</b>	11
Michael A. Stackpole <b>Ja, Jedi</b>	11
Barbara Hambly <b>Dzieci Jedi</b>	12
Kevin J. Anderson <b>Miecz Ciemności</b>	12
Aaron Allston <b>X-Wingi. Myśliwce Adumaru</b>	12
Barbara Hambly <b>Planeta zmierzchu</b>	13
Vonda N. McIntyre <b>Kryształowa Gwiazda</b>	14
Michael P. Kube-McDowell <b>Przed burzą</b>	16
Michael P. Kube-McDowell <b>Tarcza kłamstw</b>	16
Michael P. Kube-McDowell <b>Próba tyrana</b>	17
Krisine Kathryn Rusch <b>Nowa Rebelia</b>	17
Roger McBride Allen <b>Zasadzka na Korelii</b>	18
Roger McBride Allen <b>Napaść na Selonii</b>	18
Roger McBride Allen <b>Zwycięstwo na Centerpoint</b>	18
Timothy Zahn <b>Widmo przeszłości</b>	19
Timothy Zahn <b>Wizja przyszłości</b>	19
Timothy Zahn <b>Rozbitkowie z Nirauan</b>	21
Kevin J. Anderson, R. Moesta <b>Spadkobiercy Mocy</b>	23
Kevin J. Anderson, R. Moesta <b>Akademia Ciemnej Strony</b>	23
Kevin J. Anderson, R. Moesta <b>Zagubieni</b>	23
Kevin J. Anderson, R. Moesta <b>Miecze świetlne</b>	23
Kevin J. Anderson, R. Moesta <b>Najciemniejszy rycerz</b>	23
Kevin J. Anderson, R. Moesta <b>Oblężenie Akademii Jedi</b>	23

## NOWA ERA JEDI

R. A. Salvatore <b>Wektor pierwszy</b>	25
Michael A. Stackpole <b>Mroczny przyływ I: Szturm</b>	25
Michael A. Stackpole <b>Mroczny przyływ II: Inwazja</b>	25
James Luceno <b>Agenci chaosu I: Próba bohatera</b>	25
James Luceno <b>Agenci chaosu II: Zmierzch Jedi</b>	25
Kathy Tyers <b>Punkt równowagi</b>	26
Greg Keyes <b>Ostrze zwycięstwa I: Podbój</b>	26
Greg Keyes <b>Ostrze zwycięstwa II: Odrodzenie</b>	26
Troy Denning <b>Gwiazda po gwieździe</b>	26

Elaine Cunningham <b>Mroczna podróż</b>	27
Aaron Allston <b>Linie wroga I: Powrót Rebelii</b>	27
Aaron Allston <b>Linie wroga II: Twierdza Rebelii</b>	27
Matthew Stover <b>Zdrajca</b>	27
Walter John Williams <b>Szlak przeznaczenia</b>	27
Sean Williams, Shane Dix <b>Heretyk Mocy I: Ruiny Imperium</b>	28
Sean Williams, Shane Dix <b>Heretyk Mocy II: Uchodźca</b>	28
Sean Williams, Shane Dix <b>Heretyk Mocy III: Spotkanie po latach</b>	28
Greg Keyes <b>Ostatnie proroctwo</b>	29
James Luceno <b>Jednocząca moc</b>	29
Troy Denning <b>Mroczne gniazdo I: Władca Dwumyślnych</b>	35
Troy Denning <b>Mroczne gniazdo II: Niewidzialna królowa</b>	35
Troy Denning <b>Mroczne gniazdo III: Wojna rojów</b>	35
Aaron Allston <b>Dziedzictwo Mocy: Zdrada</b>	40
Karen Traviss <b>Dziedzictwo Mocy: Braterstwo krwi</b>	40
Troy Denning <b>Dziedzictwo Mocy: Nawałnica</b>	40
Aaron Allston <b>Dziedzictwo Mocy: Wygnanie</b>	40,5
Karen Traviss <b>Dziedzictwo Mocy: Poświęcenie</b>	40,5
Troy Denning <b>Dziedzictwo Mocy: Piekło</b>	40,5
Aaron Allston <b>Dziedzictwo Mocy: Furia</b>	40,5
Karen Traviss <b>Dziedzictwo Mocy: Objawienie</b>	40,5
Troy Denning <b>Dziedzictwo Mocy: Niezwyciężony</b>	41
Paul S. Kemp <b>Rozdroża czasu</b>	41

# STAR WARS

## SZTURMOWCY ŚMIERCI

Imperialna barka przewożąca więźniów na księżyc karny w odległym zakątku galaktyki ulega awarii. Ratunkiem wydaje się dryfujący, najwyraźniej opuszczony gwiazdny niszczyciel. Dowódca wysyła na jego pokład ludzi na rekonesans. Ale wraca tylko połowa z nich – a wraz z nimi pojawia się zabójczy wirus, który w ciągu kilku godzin zabija prawie wszystkich. A garstka tych, którzy jeszcze żyją, przekonuje się, że śmierć to dopiero początek koszmaru...

Published originally under the title  
**Death Troopers** by Del Rey Books.

Copied by **Erasmus**.

# STAR WARS™

## SZTURMOWCY ŚMIERCI

JOE SCHREIBER

Przekład

Błażej Niedziński

*Moim dzieciom, J. i V.  
Zadziwiacie mnie każdego dnia*

## OD REDAKCJI

### DAWNO TEMU W ODLEGŁEJ GALAKTYCE...

#### 1. Era Sithów

Nieznana rasa istot stworzyła koreliański system planetarny, a prawdopodobnie także usytuowaną w pobliżu planety Kessel ogromną gromadę czarnych dziur zwaną Otchłanią. Ładu i sprawiedliwości w galaktyce strzegli wówczas rycerze Jedi wykazujący dużą wrażliwość na generowane przez wszystkie formy życia i przenikające całą galaktykę energetyczne pole zwane Mocą. Pradawni Jedi byli mędrkami, sędziami, rozjemcami, uzdrowicielami i filozofami badającymi jasne i ciemne, jednoczące i życiodajne aspekty Mocy. Posługując się Mocą, a także od czasu do czasu świetlnymi mieczami, przeciwstawiali się złu i jego wpływom. Rycerze Jedi doskonalili umiejętności pod okiem mistrzów, a uczniowie – padawani i padawanki – kształcili się pod okiem doświadczonych rycerzy Jedi. Niektórzy jednak, zwiedzeni przez Ciemną Stronę Mocy, oddawali się jej i poświęcali życie krzewieniu zła. Byli to tak zwani Ciemni Jedi. Kiedy zostali wygnani, podporządkowali sobie mieszkańców pewnej zacofanej planety – Sithów, a później nawet sami nazwali się Sithami.

Mniej więcej pięć tysięcy lat przed wydarzeniami opisanymi w *Nowej Nadziei* (przed tak zwanym rokiem zerowym) rozpoczął się okres zwany Złotą Erą Sithów. W galaktyce istniała wówczas Stara Republika, którą rządził Wielki Kanclerz. Każda planeta Republiki miała swoich przedstawicieli w galaktycznym Senacie. Stolicą Republiki była usytuowana w Jądrze galaktyki planeta Coruscant. Sithowie zgubili gwiazdne atlasy, a że ich planeta znajdowała się tysiące lat świetlnych od Jądra galaktyki, początkowo nawet nie wiedzieli o istnieniu Republiki.

Tymczasem Republika kwitła, rozwijała się i rozrastała. Kolonizowano i zasiedlano nowe planety, wytyczano nowe międzygwiazdne i nadprzestrzenne szlaki. Od czasu do czasu wybuchały wprawdzie tu i ówdzie konflikty oraz lokalne wojny, ale dzięki staraniom Jedi na ogół szybko wygasaly. Rosło w siłę także Imperium Sithów, którzy dowiedzieli się o istnieniu Republiki, kiedy na ich planecie wylądował uszkodzony statek zwiadowców Starej Republiki. Spór, czy należy ich zabić, czy pozwolić im uciec, podzielił Sithów i doprowadził między nimi do bratobójczej wojny. W końcu



zwiadowcy Starej Republiki uciekli, ale przedtem Sithowie zainstalowali na pokładzie ich statku nadajnik sygnału namiarowego i odkryli, gdzie znajduje się Coruscant.

Kiedy Sithowie zaatakowali stolicę Starej Republiki, rozpoczęła się Wielka Wojna w nadprzestrzeni, która zakończyła się porażką Sithów. Ówczesny Lord Sithów, Naga Sadow, uciekł na pokładzie ostatniego sprawnego okrętu i ukrył się na porośniętym gęstą dżunglą niewielkim czwartym księżycu Yavina. Dzięki technikom i czarom Sithów pograżył się w śpiączce, w której pozostawał następane sześćset lat.

Obudził go z niej dopiero ambitny rycerz Jedi Freedom Nadd, ale Naga Sadow skłonił go do przejścia na Ciemną Stronę Mocy. Kiedy Nadd zmarł, jego grób stał się źródłem energii Ciemnej Strony. Przez kilkaset następných lat pojawiło się wielu słynnych Jedi, a wśród nich Nomi Sunrider, Vodo-Siosk Baas, Arca Jeth i Ulic Qel-Droma. Od czasu do czasu wybuchały ze spadkobiercami Sithów wojny, z których zwycięsko wychodziła Stara Republika. Jeden z wybitnych Jedi, Exar Kun, przeszedł na Ciemną Stronę Mocy i stał się potężnym Sithem. Wylądował na księżycu Yavina, ogłosił się Czarnym Lordem Sithów i rozpoczął studiowanie tajemnych nauk Sithów. Na Ciemną Stronę przeszedł także Ulic Qel-Droma, który walczył przeciwko siłom zbrojnym Republiki. To właśnie wówczas, trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć lat przed Rokiem Zerowym, doszło do spustoszenia planety Ossus, gdzie mieściły się Akademia Jedi i ogromna biblioteka zakonu Jedi.

Po zakończeniu wojny z Sithami rozpoczęła się era rozkwitu Starej Republiki. W gromadzie gwiazdnej Hapes wykształcił się system matriarchatu. Kilkaset lat później monarchini Konsorcjum Hapes zamknęła granice swojego sektora. Jeden z Sithów, którzy przeżyli ten okres, Lord Darth Bane, ogłosił doktrynę, w myśl, której od-tąd w galaktyce mogli żyć równocześnie tylko dwaj Sithowie: mistrz i jego uczeń.

## 2. Schyłek Starej Republiki

Mniej więcej trzydzieści dwa lata przed Rokiem Zerowym doszło do konfliktu między Federacją Handlową pod przywództwem tchórzliwych Neimoidian a Republiką, która nałożyła podatek na transport towarów nadprzestrzennymi szlakami. Federacja zaatakowała i zablokowała planetę Naboo, której mieszkańcy zwrócili się do Republiki z prośbą o mediację. Republika wysłała dwóch Jedi: Mistrza Qui-Gona Jinnę i jego padawanę, rycerza Obi-Wana Kenobiego. Zaatakowani przez bojowe roboty, Jedi uciekli i po awarii statku wylądowali na odległej pustynnej planecie Tatooine. Spotkali tam dziesięcioletniego chłopca, Anakina Skywalkera, który wygrał wyścig ścigaczy i wykazywał niezwykły talent do władania Mocą. Qui-Gon chciał szkolić go na rycerza Jedi, bo wierzył, że to sama Moc wybrała Anakina, żeby przywrócić w niej równowagę. Planom Qui-Gona sprzeciwiła się Rada Jedi, ale mistrz i tak postawił na swoim. Anakin poznał piękną królową Naboo Padmę Amidalę i chociaż był właściwie jeszcze dzieckiem, nie potrafił o niej zapomnieć. Senator z Naboo Palpatine, został

wybrany na nowego Wielkiego Kanclerza Republiki. W rzeczywistości był to Lord Sithów Darth Sidious, który od razu rozpoczął realizację swoich planów zdobycia absolutnej władzy nad galaktyką. Jego uczeń Darth Maul stoczył pojedynek z Qui-Gonem i zabił go, ale sam zginął z ręki Obi-Wana Kenobiego, który podjął się nauczania Anakina Skywalkera. Walka na planecie Naboo zakończyła się zwycięstwem Republiki, do czego walnie przyczynił się mały Anakin.

Pokonana Federacja zamierzała zaatakować inteligentną planetę Zonamę Sekot, która także potrafiła władać Mocą. Rada Jedi wysłała tam Obi-Wana Kenobiego i jego ucznia, dwunastoletniego Anakina Skywalkera. Obaj Jedi mieli odszukać zaginionego wcześniej rycerza Jedi, Vergere, która podobno została schwytana i porwana przez wywiadowców obcej, pozagalaktycznej rasy. Na Zonamie Sekot wywarzano najszybsze myśliwce galaktyki i Anakin otrzymał taki inteligentny statek. Sama Zonama Sekot zmieniła jednak orbitę i odleciała. Na jakiś czas wszelki słuch o niej zaginął.

Po pokonaniu Federacji Republika zorganizowała wyprawę poza galaktykę. Naukowcy chcieli się przekonać, czy istnieje lub istniało tam życie. Wielki Kanclerz Palpatine (Lord Darth Sidious) wykorzystał tę okazję, aby zniszczyć okręty wyprawy i zabić lecących nimi mistrzów Jedi. Możliwe, że pomógł mu w tym genialny taktyk Chiss Thrawn.

Planety Federacji Handlowej, Unii Technokratycznej, Gildii kupieckiej i Klanu Bankowego utworzyły Konfederację Separatystów, której poczynaniami manipulował potajemnie Darth Sidious. Na czele konfederacji stanął tajemniczy hrabia Dooku. Był on upadłym mistrzem Jedi, dawnym uczniem Yody oraz nauczycielem Qui-Gona, ale odwrócił się od Republiki i zakonu Jedi. Kilka lat później wyszło na jaw, że z polecenia Sidiousa na planecie Kamino wyhodowano miliony klonów, które podobno miały wejść w skład armii Starej Republiki. Wzornikiem dla klonów i dawcą materiału genetycznego był mandaloriański wojownik i słynny łowca nagród Jango Fett. W siłę rośli także Separatyści i ich armie bojowych robotów. Wyglądało na to, że konfrontacja, do której dążył Darth Sidious, jest nieunikniona.

Bezpośrednio przed wybuchem Wojen Klonów Separatyści opanowali ważną pod względem strategicznym planetę Ansion. Rada Jedi wysłała tam Obi-Wana Kenobiego i jego padawanę Anakina Skywalkera. Obaj dokonali tam rzeczy niemal niemożliwych, dzięki czemu Ansion nie odłączył się od Republiki.

Po zamachu na życie Padme Amidali Wielki Kanclerz powierzył opiekę nad ówczesną panią senator Obi-Wanowi Kenobiemu i młodemu Anakinowi Skywalkerowi, który się w niej zakochał. W końcu wybuchł konflikt między Separatystami a Starą Republiką. Konflikt ten, potajemnie i umiejętnie podsycany przez Sidiousa, dał początek Wojnom Klonów. Do pierwszej wielkiej bitwy tego okresu doszło na planecie Geonosis, na której Separatyści produkowali bojowe roboty. Podczas walk zginęło bardzo wielu Jedi. Tylko niektórzy uszli z życiem dzięki interwencji Wielkiego Mistrza Yody, ale w końcu bitwa zakończyła się zwycięstwem Republiki. Hrabia Dooku, przywódca separatystów, ale także uczeń Sidiousa, zwany Darthem Tyranusem, zbiegł z planami śmiertelnej broni (późniejszej Gwiazdy Śmierci). Wcześniej jednak pokonał w pojedynku Obi-Wana Kenobiego i Anakina Skywalkera, któremu uciał

dłoń. Anakin potajemnie wziął ślub z Padme, chociaż rycerzom Jedi nie wolno było zakładać rodziny.

W Wojnach Klonów walczyli przeważnie sklonowani żołnierze przeciwko armiom bojowych robotów i wojennych machin Separatystów. W walkach na setkach frontów na ogół zwyciężały klony pod dowództwem rycerzy i mistrzów Jedi w stopniu generałów. Szczególną odwagą i męstwem wyróżniali się sklonowani komandosi. Na Qiilurze przyczynili się do zlikwidowania tajnego ośrodka badawczo-naukowego Separatystów, gdzie hodowano wirusy atakujące tylko organizmy klonów, a na Coruscant pomogli odnaleźć i wyeliminować terrorystów. Niektóre klony z próbnej serii, tak zwane zera, którymi opiekował się mandaloriański sierżant Skirata, bardzo się interesowały nigdy niewidzianą ojczyzną wzornika, Mandalorą. Cudów dokonywali także chirurdzy polowi i padawani uzdrowiciele Jedi, którzy ratowali od śmierci nawet bardzo ciężko ranne klony.

Podczas Wojen Klonów do godności rycerza Jedi został również wyniesiony Anakin Skywalker. Stało się to po wygranej przez niego bitwie na planecie Praesitlyn, gdzie musiał się zmierzyć także z Ciemną Jedi Asajj Ventress.

W okresie poprzedzającym Wojny Klonów urodzili się dwaj ważni bohaterowie *Gwiezdnych Wojen*: Lando Carlissian i Korelianin Han Solo. Pierwszy był początkowo słynnym hazardzistą i artystą oszustem, mistrzem gry w karty zwanej sabakiem. Mimo to Han wygrał od niego w sabaka stary koreliański frachtowiec typu YT-1300, który nazwał „Sokołem Millenium”. Statek ten stał się później jego ukochanym towarzyszem niemal wszystkich wypraw i podróży po galaktyce. Lando i Han, latając tu i tam, przeżywali najbardziej niezwykle przygody. Lando odnalazł Myśloharfę Sharów i nie dopuścił, żeby wpadła w ręce czarownika Tundu, Rokura Gepty. Wymknął się potem z jego rąk w systemie Oseona i uratował od zagłady Gwiazdogrotę ThonBoka, a wreszcie postanowił zostać przedsiębiorcą.

Han Solo dorastał na Korelii pod opieką oszusta i złoczyńcy Garrisa Shrike'a, który zrobił z niego złodziejaska. W wieku dziewiętnastu lat Han uciekł i został przemytnikiem. Na zlecenie huttańskich szefów światka przestępczego przemycał transporty narkotyku zwanego przyprawą albo błyszczostymem. Zasłynął z tego, że pokonał trasę na Kessel, gdzie wydobywano przyprawę, w ciągu niespełna dwunastu jednostek standardowych. Wyprawił się także do Sektora Wspólnego, gdzie przeżył kilka niezwykłych przygód. Towarzyszem jego podróży był zawsze Wookie Chewbacca, któremu Han ocalił kiedyś życie. Od tamtej pory Chewie uznał, że ma wobec Hana dług wdzięczności, tak zwany dług życia.

Tymczasem za sprawą złowrogiego generała Grievousa Wielki Kanclerz Palpatine cały czas umacniał swoją władzę nad Republiką. Równocześnie podsycił dumę i ambicję Anakina Skywalkera, bo widział w nim kandydata na swojego ucznia – Sitha. Zainicjował także wybranie Anakina do Rady Jedi. Kiedy Palpatine uznał, że jest już wystarczająco potężny, przekształcił Republikę w Imperium, ogłosił się Imperatorem i wydał swoim wojskom Rozkaz Sześćdziesiąty Szósty, na mocy którego klony miały zabić wszystkich dowodzących nimi Jedi. Osobiście zabił kilku wybitnych mistrzów, członków Rady Jedi, rozgłaszając, że przygotowywali zamach stanu i zamierzali go zlikwidować.

Obi-Wan widział, że jego padawan ześlizguje się na Ciemną Stronę Mocy, ale nie był w stanie temu zapobiec. Kiedy sytuacja zaczęła wyglądać naprawdę źle, stoczył z nim pojedynek na wulkanicznej planecie Mustafar. Zwyciężył i zostawił Anakina właściwie dogorywającego. Młodego Skywalkera ocalił jednak od śmierci Darth Sidious, który przywrócił go do życia w swoim tajnym ośrodku chirurgicznym. Podsycając w Anakinie nienawiść do Jedi, zrobił z niego swojego ucznia i nazwał go Darthem Vaderem. Od tej pory Anakin-Vader pomagał mu ścigać i likwidować Jedi, którzy przeżyli tak zwaną Wielką Czystkę, a nawet znalazł sobie własnego ucznia, którego nazwał Starkilerem. Padme Amidala urodziła przed śmiercią bliźnięta, Leię i Luke'a, które Obi-Wan Kenobi postanowił ukryć przed swoim byłym uczniem. Leia wychowywała się w królewskiej rodzinie na Alderaanie pod opieką Baila Organy, a Luke trafił na farmę wilgoci na Tatooine, którą prowadzili Owen i Beru Larsowie.

Nie wszyscy Jedi zginęli na mocy Rozkazu Sześćdziesiątego Szóstego. Do najwybitniejszych, którzy przeżyli, należeli sędziwy Wielki Mistrz Yoda (schronił się na bagiennej planecie Dagobah) i Obi-Wan Kenobi (zamieszkał samotnie w pustelni na Tatooine). Tymczasem coraz więcej osób miało dosyć brutalnych rządów Palpatine'a.

### 3. Era Sojuszu Rebeliantów

W końcu Palpatine rozwiązał Senat i aby wzbudzić jeszcze większą groźbę, zaczął konstruować potężną stację bojową, zwaną Gwiazdą Śmierci. Do jej budowy zatrudniał głównie niewolników rasy Wookie. Przeciwnicy Imperatora, a wśród nich senatorka z Chandrili, Mon Mothma i Bail Organa, powołali do życia Sojusz Rebeliantów. Podczas akcji na Toprawie wykradli plany konstrukcyjne Gwiazdy Śmierci i zaczęli się zastanawiać, jak ją zniszczyć. Lecąc statkiem konsularnym, Leia zapisała te plany w pamięci astromechanicznego robota R2-D2. Bojąc się schwytania przez Vadera, kazała robotowi lecieć na Tatooine i odszukać Obi-Wana Kenobiego. Uwięziona i torturowana przez Vadera, nie zdradziła mu jednak kryjówki bazy Rebeliantów. Mszcząc się za jej upór, dowódca Gwiazdy Śmierci, Moff Tarkin, rozpylił na atomy rodzinną, jak przypuszczał planetę Leii, Alderaan. R2-D2 i protokolarny android C3-PO wylądowali na Tatooine. Tam trafili najpierw w ręce opiekunów Luke'a Skywalkera, a później Obi-Wana Kenobiego. Stary Jedi zabrał Luke'a do kantyny w Mos Eisley, gdzie spotkał się z Hanem Solo i Chewiem i nakłonił ich do lotu na Alderaan. Podczas podróży Kenobi uczył młodego Luke'a sztuki posługiwania się świetlnym mieczem i władania Mocą. Kiedy okazało się, że planeta została zniszczona, wszyscy wylądowali w hangarze Gwiazdy Śmierci. Luke i Han uwolnili Leię i odlecieli z nią do bazy Rebeliantów na księżycu Yavina. Obi-Wan został i stoczył pojedynek na świetlnym mieczu z Darthem Vaderem. Przegrał walkę, zginął i zjednoczył się z Mocą. Siły zbrojne Imperium odnalazły bazę Rebeliantów i postanowiły ją zniszczyć, Rebeliantom jednak udało się uciec. Kiedy nad księżycem Yavina zawisła Gwiazda Śmierci, Rebelianci już znali jej słaby punkt dzięki zdobytym planom. Luke Skywalker, po-



sługując się Mocą, posłał torpedę prosto w otwór szybu wentylacyjnego i zniszczył Gwiazdę śmierci.

Vader jednak uciekł, Palpatine wydał natychmiast rozkaz zbudowania drugiej, jeszcze potężniejszej Gwiazdy Śmierci i na jakiś czas przestał się interesować zagrożeniem ze strony Rebeliantów. Zwrócił za to uwagę na Gildię Łowców Nagród i organizację przestępczą Czarne Słońce, której szefem był falleński książę Xizor. Imperator postanowił zatrudnić łowcę nagród Bobę Fetta, który wywiązał się z powierzonego mu zadania i rozbił Gildię. Od tej pory łowcy nagród zaczęli działać każdy na własną rękę, ale Palpatine nadal dyskretnie korzystał z ich usług.

Po bitwie o Yavina rebelianci przenieśli bazę na lodową planetę Hoth, ale i tam odnaleźli ich siepacze Imperium. Po przegranej bitwie Rebelianci uciekli i się rozproszyli. Luke odleciał X-wingiem na Dagobah, bo duch Kenobiego polecił mu, żeby szkolił się tam pod okiem Wielkiego Mistrza Yody, a Han, Chewbacca i Leia uciekli „Sokołem Millenium” do gromady asteroid, gdzie uszkodzeniu uległa jednostka napędowa „Sokoła”. Han i księżniczka Leia zakochali się w sobie. Aby naprawić usterkę, Solo poleciał do miasta w Chmurach na Bepinie. Baronem administratorem był tam jego przyjaciel Lando Carlissian, który zajmował się pozyskiwaniem cennego gazu tibanna. Zmuszony przez Vadera Lando przekazał mu jednak Hana i Luke’a. Vader oddał Hana w ręce łowcy nagród Boby Fetta, a z Lukiem stoczył pojedynek na świetlnie miecze. Luke stracił prawą dłoń (później zastąpił ją protezą) i przegrał, a wtedy Vader wyjawiał mu, że w rzeczywistości jest jego ojcem. Luke wskoczył do szybu reaktora i zawisnął na antenie wiatromierza. Boba Fett zamroził Hana w bloku karbonitu i odleciał na Coruscant, żeby oddać Solo w ręce gangstera Hutta Jabby, któremu Han był winien sporą sumę pieniędzy za niedostarczoną przyprawę.

Lando i Leia ocalili Luke’a zabierając go „Sokołem” z anteny wiatromierza, po czym polecili na spotkanie z resztą Sojuszu.

Niebawem przywódca Czarnego Słońca, książę Xizor, zginął zabity przez Vadera. Czarnemu Lordowi nie spodobało się, że Fallen chciał porwać i zabić Luke’a Skywalker’a.

Niecały rok później Luke, Leia i Lando oraz Chewie polecili na Tatooine ratować Hana. Leia udusiła Jabbę, a jej towarzysze rozprawili się z siepaczami Hutta na barce żaglowej. Boba Fett wpadł do Wielkiej jamy Carkoon i został połknięty przez sarlacc’a.

Rebelianci dowiedzieli się, że nad księżycem sanktuarium zwanym Endorem jest konstruowana druga Gwiazda Śmierci. Luke wrócił, na Dagobah, żeby nadal się szkolić pod okiem Yody, ale sędziwy mistrz zmarł, a jego ciało zjednoczyło się z Mocą. Przedtem jednak poddał Luke’a próbie, której młody Skywalker nie przeszedł. Rebelianci przypuścili na Endorze szturm na stacjonarny generator ochronnego pola Gwiazdy Śmierci, żeby móc ją zaatakować z przestworzy. Ich starania zakończyły się powodzeniem. Imperator kazał Luke’owi stoczyć pojedynek z Vaderem. Chciał, żeby po zabiciu własnego ojca Luke został jego uczniem, przeszedł na Ciemną Stronę Mocy i razem z nim władał galaktyką. Aby go do tego zmusić, zaczął go razić błyskawicami Sithów. W końcu Vader wrzucił Imperatora do szybu, gdzie ten zginął. Krótco przed śmiercią Vader nawrócił się na Jasną Stronę Mocy, a po jego śmierci



jego ciało się z nią zespoliło. Luke spalił jego pancierz na Endorze, a Lando, któremu Han pozwolił pilotować „Sokoła”, zniszczył drugą bojową stację Imperatora.

Siły zbrojne Imperium nie zostały jednak całkowicie pokonane i wspólnie z jaszczuropodobnymi Ssi-ruukami zaatakowały Bakurę. Rebelianci pospieszyli na pomoc dręczonym i mordowanym Bakuranom. Zawarli pakt o nieagresji z dowódcą flot Imperium komandorem Thanasem, ale Ssi-ruuków pokonali Chissowie pod wodzą wielkiego admirała Thrawna. Przywódczyni Sojuszu Rebeliantów Mon Mothma proklamowała powstanie Nowej Republiki.

#### 4. Era Nowej Republiki

Po bitwie o Endora od Imperium odłączyło się wielu dostojników, którzy z resztek terytorium pod władaniem Palpatine’a usiłowali wykroić dla siebie własne mini imperia. Jednym z takich samozwańczych lordów był admirał Harrsk, prócz niego admirałowie Teradoc i Drommel oraz Wielki Moff Kaine. Jednym z najgroźniejszych przeciwników Nowej Republiki okazał się jednak admirał Zsinj. Także była szefowa Imperialnego Wywiadu, Ysanna Isard, miała ochotę zasiąść na tronie Palpatine’a. Schwyciła pilota słynnej Eskadry Łotrów, Tycha Celchu i uwięziła go na pokładzie gwiazdowego super niszczyciela „Lusankya”. Tycho uciekł i powrócił do Nowej Republiki, ale od tego czasu wielu długo uważało go za podwójnego agenta.

Luke Skywalker został awansowany do stopnia generała, ale sześć miesięcy później, po Bitwie o Mindora z czarnymi szturmowcami Lorda Shadowspawna, w której zginęło albo przelało krew wiele osób, zrezygnował i powrócił do cywila. Doszedł do wniosku, że przysłuży się lepiej Nowej Republice, zakładając nową Akademię i reaktywując zakon Jedi. Z samozwańczymi lordami rozprawiły się po kolei siły zbrojne Nowej Republiki; odznaczyli się tu Eskadra Łotrów pod dowództwem komandora Wedge’a Antillesa, a także Luke Skywalker, Han Solo i Leia, a nawet przemytnicy, jak Booster Terrik.

W ósmym roku po Bitwie o Yavina księżniczce Leii oświadczył się urodziwy Hapanin, książę Isolder. Takie małżeństwo miałoby sens z politycznego punktu widzenia. Zazdrosny Han, pragnąc zyskać przychylność Leii, podarował jej wygraną w sabakę planetę Dathomirę, żeby mogli na niej zamieszkać uciekinierzy z unicestwionego Alderaana. Porwał Leię i poleciał z nią na Dathomirę, ale oboje zostali uprowadzeni przez władające Mocą wojowniczkami. Na ratunek Leii polecili Luke i książę Isolder; przy okazji odkryli, że na planecie panoszy się zło, uosabiane przez władające Ciemną Mocą wiedźmy zwane Siostrami Nocy. Zsinj namówił je do ataku na twierdzę wojowniczek, ale bitwa zakończyła się porażką Sióstr Nocy. Wojowniczkami przyłączyły wtedy Dathomirę do Nowej Republiki, Han wziął ślub z Leią, a Isolder ożenił się z urodziwą wojowniczką Teneniel Djo. Po okresie zaciętych walk Nowa Republika i resztki Imperium doszły do wniosku, że muszą uzupełnić stan swoich mocno zdzie-

siątkowanych flot.

W tym samym roku Han i Leia polecili na Tatooine, żeby wziąć udział w aukcji cennego alderańskiego mchoobrazu zatytułowanego *Kilicki Zmierzch*. Ukryty w nim mikroobwód zawierał tajne szyfry Rebeliantów, nie mógł, więc dostać się w ręce agentów Imperium. Obraz został jednak skradziony, a w pogoni za sprawcą kradzieży oboje Solo zdobyli wideo pamiętnik z zapiskami Shimi Skywalker, matki Anakina-Vadera; trafili także do samotni Obi-Wana Kenobiego. Odzyskali w końcu obraz, zniszczyli mikroobwód i pozwolili, żeby nowym właścicielem arcydzieła został wielki admirał Thrawn.

Rok później Thrawn zaatakował Nową Republikę. Z początku napadał na planety na obrzeżach jej terytorium, ale szybko zyskał poparcie resztek Imperium. Nakłonił do współpracy szalonego kłona Jedi C'baotha, utworzył potężną flotę i zaczął klonować szturmowców. Porwał także zdolne do przebijania pancerzy okrętów węgłbiarki Landa Carlissiana.

Leia urodziła bliźnięta Jaine i Jacena Solo. Luke spotkał Marę Jade, dawną Rękę Imperatora, która początkowo chciała go zabić. Thrawn zaatakował gwiazdne stocznie i uszkodził wiele okrętów Nowej Republiki. Sprzymierzeńcy wielkiego admirała, istoty rasy Noghri, przeszli na stronę Nowej Republiki. Thrawn zdobył większość grupy kilkuset pancerników zwanych Katańską Flotą. C'baoth wyhodował kłona Luke'a Skywalkera i kazał mu stoczyć walkę z prawdziwym młodym Jedi, ale kłona zabiła Mara Jade. W końcu Thrawn zginął zabity przez jednego z Noghri. Dowództwo nad imperialną flotą objął kapitan Pellaeon. Rok później na scenie pojawiła się znów Ysana Isard. Ale zginęła z ręki agentki Wywiadu Nowej Republiki, Lelli Wessiri.

Dziesięć lat po Bitwie o Yavina pojawił się znów Imperator Palpatine – a ściślej jego odrodzona wersja. Mon Mothma zarządziła ewakuację mieszkańców Coruscant. Imperator, posługując się tajemną magią Sithów, jeszcze raz zapragnął zwabić Luke'a na Ciemną Stronę Mocy. Znów mu się to nie udało, ale mimo to podporządkował Luke'a swojej woli. Chciał, żeby na Ciemną Stronę Mocy przeszło trzecie, jeszcze nienarodzone dziecko Leii i Hana. W końcu odrodzony Imperator zginął, a Luke rozpoczął poszukiwania wrażliwych na Moc osób. Leia urodziła trzecie dziecko, Anakina Solo.

Luke odnalazł Gantorisa, Streena, Kama Solusara, Kalamariankę Cilghal, Tionnę, Kiranę Ti, kłona Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego i pilota Eskadry Łotrów Corrana Horna. W ruinach prastarej świątyni na Yavinie Cztery założył nową Akademię Jedi, gdzie zaczął szkolić uczniów w sztuce władania Mocą i posługiwania się świetlnym mieczem. Tymczasem Han i Chewbacca zostali uwięzieni na Kessel w kopalni przyprawy, gdzie natknęli się na wrażliwego na Moc młodzieńca, Kypa Durrona. Wszyscy trzej uciekli, ale trafili do pełnego czarnych dziur rejonu zwanego Otchłanią. Dostali się tam w ręce władczyni tajnego imperialnego Laboratorium Otchłani, admirał Daali, która nic nie wiedziała o wojnie ani o śmierci Imperatora. Han, Chewie i Kyp porwali imperialną superbroń, zwaną Pogromcą Słońc i uciekli. Kiedy Daala poznała prawdę o obecnej sytuacji politycznej, postanowiła rozpocząć wojnę z Nową Republiką. Mon Mothma została otruta na Coruscant, ale wyzdrowiała dzięki staraniom Cilghal. Daala zaatakowała Kalamara, a Nowa Republika zdobyła i znisz-

czyła Laboratorium Otchłani. Uzdrawiona Mon Mothma przekazała całą władzę nad Nową Republiką w ręce Leii Organy Solo.

Tymczasem na czwartym księżycu Yavina ożył uśpiony tam od bardzo dawna duch Lorda Sithów Exara Kuna. Zaczął zwodzić uczniów Luke'a i narzucać im swoją wolę, bo pragnął zabić młodego Mistrza Skywalkera. Pierwszą ofiarą ducha padł Gantoris; wpływom Exara Kuna uległ także ambitny Kyp Durronek, który porwał Pogromcę Słońca z zamiarem niszczenia planet dochowujących wierności Imperium. Wywołał eksplozję wielu gwiazd i unicestwił Caridę z tamtejszą Imperialną Akademią, w której kształcili się kandydaci na szturmowców. Nie przeszedł jednak na Ciemną Stronę Mocy. Uciekł Pogromcą Słońca i zniszczył tę broń, posyłając ją w czeluść czarnej dziury. Później jednak pomógł duchowi Exara Kuna uśpić Mistrza Skywalkera. Od pewnej śmierci ocalał Luke'a jego wówczas niespełna trzyletni siostrzeniec Jacen Solo. Duch Exara Kuna został pokonany, dzięki czemu duch Luke'a mógł powrócić do swojego ciała.

Zgromadzeni w rejonie Jądra galaktyki moffowie i inni dostojnicy Imperium, a wśród nich pani admirał Daala, nawiązali kontakt z byłą Ręką Imperatora Rogandą Ismaren. Poszukując ukrytych wiele lat wcześniej dzieci Jedi, Leia spotkała Rogandę i odkryła, że ta chce opanować superpancernik „Oko Palpatine'a” i wydać wojnę Nowej Republice. Roganda wszczepiła swojemu synowi implant, pozwalający mu zdalnie wydawać rozkazy automatom. Irek chciał wezwać „Oko Palpatine'a”, ale uwięziony na pokładzie superpancernika Luke uratował przetrzymywanych tam jeńców i odleciał, po czym zniszczył ogromny okręt.

W roku dwunastym po Bitwie o Yavina Daala porwała gwiazdny superniszczyciel i wyruszyła znów do walki przeciwko Nowej Republice. Korzystając z pomocy Czarnego Słońca, Huttowie skonstruowali superlaser podobny do tego z pierwszej Gwiazdy Śmierci, którym Tarkin zniszczył Alderaan. Zdobyli plany i schwytali wielu niewolników, ale z powodu błędów konstrukcyjnych broni ich superlaser, nazwany Mieczem Ciemności, okazał się niewypałem. Dla uczczenia końca budowy Huttowie zamordowali jednak schwytanego generała Nowej Republiki – bohatera Rebelii, Crikisa Madine'a. Daala nawiązała kontakt z admirałem Pallaeonem i oboje zaatakowali Akademię Jedi. Okręty ich flot odepchnęli, co prawda Mocą Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i inni uczniowie Jedi, ale klon przyplącił ten wyczyn życiem. Załamana Daala przekazała całą władzę w ręce Pellaeona i udała się na dobrowolne wygnanie. Resztki Imperium opuściły Jądro galaktyki i zajęły rejon Dzikich Przestworzy. Leia wysłała generała Antillesa na Adumar, żeby otworzył tam drugi front walki przeciwko Szcątkom Imperium. Misja Antillesa zakończyła się powodzeniem i Adumar przyłączył się do Nowej Republiki.

Rok później zabicia Luke'a Skywalkera podjął się Seti Ashgad, były senator i polityczny przeciwnik Palpatine'a. Został on wygnany na planetę Nam Chorios słynącą z inteligentnych, wrażliwych na Moc kryształów. Ashgad zamierzał zarazić obywateli Republiki wirusami zwanymi Posiewem Śmierci, ale przeszkodziła mu w tym Daala. Pośpieszyła na pomoc, ale później znów odleciała, żeby knuć mroczne plany unicestwienia Nowej Republiki.

W roku szesnastym wybuchł konflikt zwany kryzysem Czarnej Floty. Rozpo-

czął się od napaści na Yevethów, którzy porwali okręty zaginionej po Bitwie o Endor imperialnej Czarnej Floty – zaczynając od Gromady Koornacht – i napadali na planety Nowej Republiki. Do ich niewoli trafił nawet wysłany z misją szpiegowską Han Solo. Księżniczka Leia musiała wypowiedzieć Yevethom wojnę, chociaż mogło to oznaczać śmierć jej męża i ojca dzieci. Z niewoli uwolnili Hana Chewbacca i jego syn, a Czarna Flota i szturmowcy na pokładach jej okrętów opuścili Yevethów. Luke spotkał władające Białym Nurtem Fallanasski, które pomogły mu bez wielkiego rozlewu krwi pokonać Yevethów i zakończyć kryzys Czarnej Floty.

Rok później doszło do eksplozji w gmachu Senatu Nowej Republiki. Zginęło wielu senatorów, a inni odnieśli ciężkie rany. Za zamach był odpowiedzialny uczeń Ciemnej Strony, Brakiss, który zainstalował zdalnie sterowane ładunki wybuchowe w wielu kręcących się po Sali automatach. Pragnąc odszukać Brakissa, Luke Skywalker poleciał na Almanię, lecz Ciemny Jedi spowodował eksplozję myśliwca Luke'a i wziął mistrza do niewoli. Nowa Republika wysłała po niego flotę, ale Brakiss zniknął. Nowa Republika stłumiła wreszcie bunt na Almanii, ale musiała jeszcze stoczyć walkę z flotą Pellaeona i Dalii, zanim nastąpił krótki okres spokoju.

W osiemnastym roku po Bitwie o Yavina Lando postanowił znaleźć odpowiednio zamożną kandydatkę na żonę. Sporządził nawet listę i z pomocą Luke'a Skywalkera zaczął odwiedzać kolejne kandydatki. Do gustu przypadła mu dopiero urodziwa Tendra Risant, mieszkanka leżącej na obrzeżach systemu koreliańskiego Sakorii. Tendrze Lando też się spodobał, ale władająca Sakorią Triada wydalila Landa i Luke'a. Władcy planety chcieli opanować Stację Centerpoint, służącą niegdyś rasie obcych istot do przyciągania planet systemu koreliańskiego w rejon przetworzy. Stacja mogła także pełnić funkcję gigantycznego nadprzestrzennego repulsora albo generatora promienia ściągającego, umożliwiającego niszczenie nawet całych planet.

W tym samym roku Leia wyprawiła się na rodzinną planetę Hana – Korelię – zaniepokojona, że Korelianie odizolowali planetę od reszty galaktyki. Wpadła jednak w pułapkę i została uwięziona. Jej mąż Han dostał się do niewoli, schwytany przez swojego prześladowcę z czasów dzieciństwa, dalekiego krewniaka, Thrackana Sal-Solo. Leia uciekła z więzienia z pomocą Mary Jade, a mały Anakin uruchomił gwiazdogrom Stacji Centerpoint. Trackan porwał trójkę dzieci Solo, ale mały Anakin zapobiegł wykorzystaniu gwiazdogromu do zniszczenia planety. Nowa Republika odniosła zwycięstwo, a jej przywódczyni Leia Organa Solo poprosiła o bezterminowe zwolnienie z obowiązków. Po zakończeniu powstania na Korelii Lando poślubił Tendrę i oboje założyli firmę produkującą sprzęt na potrzeby sił zbrojnych, Tendrando Arms.

Rok później trzech dostojnicy Imperium, Moff Disra, major Tierce i Flint, ogłosili, że nieżyjący wielki admirał Thrawn zmartwychwstał. Udało im się oszukać nawet Landa Carlissiana, który od razu przekazał tę informację Nowej Republice. Leia odbyła rozmowę z przywódcą Szczętków Imperium, admirałem Pellaeonem, który zdemaskował fałszywego Thrawna, zabił Tierce'a i wtrącił do więzienia jego współników.

W tym samym roku Luke Skywalker wyruszył na wyprawę, żeby wyjaśnić zagadkę pojawiania się coraz większej liczby klonów. Wpadł w zasadzkę piratów, ale od śmierci uratowała go Mara Jade. Na Nirauanie Luke odkrył skarbnicę imperialnej wiedzy, zwanej Ręką Thrawna. Znalazł nawet cylinder z klonem wielkiego admirała.

Mara Jade została w końcu żoną Luke'a Skywalkera. W galaktyce zapanował kilkuletni okres pokoju.

Na terytorium Nieznanych Rejonów Luke i Mara powrócili trzy lata później, tym razem w celu rozwiązania pięćdziesięcioletniej tajemnicy „Lotu Pozagalaktycznego”, w którego unicestwieniu maczał palce Thrawn. Chissowie postanowili po latach zwrócić wrak okrętu Nowej Republice. Luke i Mara odkryli jednak we wraku społeczność założoną przez rozbitków dawnego lotu, a nadmiar złego musieli zmierzyć się z groźną rasą Vagaarich, którzy chcieli zaatakować Chissów.

Pierwsi absolwenci Akademii Jedi na Yavinie Cztery rozproszyli się po galaktyce, żeby wyszukiwać i szkolić nowych uczniów. Do Akademii trafiły wszystkie trzy pociechy Leii i Hana Solo: bliźnięta Jaina i Jacen oraz młodszy od nich Anakin. Szkoili się tam również: córka właściciela farmy wilgoci z Tatoonie, Tahiri Veila, młody Wookie Lowbacca (Lowie) oraz córka Teneniel Djo i księcia Isoldera z Hapes, Tenel Ka. Pewnego razu bliźnięta Solo odkryły w dżungli wrak imperialnego myśliwca typu TIE, a także jego starego pilota Qorla. Kiedy młodzi Jedi naprawili myśliwiec, Qorl je porwał. Jaina i Jacen się uwolnili, ale Qorl odleciał.

Kilka miesięcy później bliźnięta Solo zostały uprowadzone do kierowanej przez Ciemnego Jedi Brakissa Akademii Ciemnej Strony. Brakiss kazał im stoczyć ze sobą pojedynek, bo zamierzał z nich zrobić Ciemnych Jedi. Bliźnięta uciekły z pomocą Luke'a Skywalkera i pilota Qorla.

Podczas odwiedzin na Coruscant Jacen i Jaina natknęli się w podziemiach na kilkunastoletniego sierotę – łobuziaka Zekka, który także wykazywał wrażliwość na oddziaływanie Mocy. Zaprosili go na Yavina Cztery, w nadziei że Zekk zechce się tam uczyć i zostanie Jedi. Chłopak został jednak porwany przez Brakissa do Akademii Ciemnej Strony i po przeszkoleniu został jednym z najpotężniejszych Ciemnych Jedi, tak zwanym Najciemniejszym Rycerzem.

Tymczasem Luke pozwolił swoim młodym uczniom na skonstruowanie własnych mieczy świetlnych. Tenel Ka zbudowała swoją broń niestarannie i podczas ćwiczebnego pojedynku z Jacenem straciła rękę. Nie zgodziła się jednak na zastąpienie jej protezą i powróciła na Hapes.

Kiedy Brakiss zaatakował rodzinną planetę Wookiech, Kashyyyka, na ratunek pospieszyli młodzi Jedi z Akademii Luke'a Skywalkera. Pojedynek JAINY z Zekkiem nie przyniósł rozstrzygnięcia, bo Zekk nie potrafił się przemóc, żeby ją zabić. Brakiss i żołnierze tak zwanego Drugiego Imperium zdobyli jednak potrzebne do wyposażenia swoich okrętów podzespoły elektroniczne i odlecieli.

Młodzi Jedi wrócili na Yavina Cztery, żeby ostrzec Luke'a przed spodziewanym atakiem Brakissa i jego Akademii Ciemnej Strony. Podczas walki wszyscy Jedi walczyli bardzo mężnie i chociaż do wojsk Brakissa przyłączyli się szturmowcy i Siostry Nocy z Dathomiry, dopiero przybycie floty Nowej Republiki pozwoliło odnieść zwycięstwo. Brakiss stoczył z Lukiem pojedynek na świetlne miecze, ale uciekł, kiedy zanosilo się na jego porażkę. Akademia Ciemnej Strony została zniszczona, co oznaczało koniec Drugiego Imperium.

Zekk w końcu zrozumiał swój błąd i w roku dwudziestym czwartym powrócił do Akademii Jedi na Yavinie Cztery. Został świetnym pilotem i pomagał w nauce wielu



innym uczniom Jedi. Dawni uczniowie Luke'a, a wśród nich bliźnięta Solo oraz ich brat Anakin, Tenel Ka, Lowbacca i Zekk odnosili w różnych walkach wiele zwycięstw, a więc Luke pasował wszystkich na pełnoprawnych Jedi.

## 5. Nowa Era Jedi

W roku dwudziestym piątym Nową Republikę zaatakowała rasa przerażających obcych istot spoza galaktyki, Yuuzhan Vongów. Obcy napadli najpierw na samotną placówkę nasłuchową na Zewnętrznych Rubieżach. Wyglądali jak dwunożne potwory, walczyli organiczną bronią, latali organicznymi okrętami i nie bali się śmierci. Najciekawsze jednak, że nie można było wykryć ich obecności w Mocy. Yuuzhanie potrafili także udawać ludzi i większość istot innych inteligentnych ras, więc pokonanie ich było prawie niemożliwe. Ich najgroźniejszą bronią były dovin basale - stworzenia wytwarzające mniejsze i większe czarne dziury. Niektóre dziury były tak ogromne, że mogły pochłaniać całe księżyce, a nawet planety.

Kiedy Nowa Republika zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo, rzuciła do walki z Yuuzhanami wszystkie siły. Tymczasem Yuuzhan Vongowie podbijali kolejne nowe planety i brali do niewoli mieszkańców, żeby ich torturować i składać w ofierze swoim bogom. Podczas walk na księżycu Serpidał zginął wierny druh Hana, Wookie Chewbacca, którego Anakin nie zdążył w porę ewakuować. Han miał za to żal do syna i odleciał sam „Sokołem” w poszukiwaniu zemsty oraz przygód, choć w rzeczywistości chciał mieć czas na pogodzenie się z tą stratą. Przy okazji wpadł na trop wymierzonego przeciwko rycerzom Jedi przewrotnego spisku Yuuzhan Vongów. Obce istoty już wcześniej odkryły, że największe niebezpieczeństwo zagraża im ze strony znieawidzonych *Jeedai* – rycerzy Jedi. Problem w tym, że tylko Jedi mogli uchronić Nową Republikę od zagłady. Nowym przywódcą Nowej Republiki został Bothanin Borsk Fey'lya.

Yuuzhan Vongowie stopniowo opanowywali coraz więcej planet galaktyki. Nowa Republika była bezradna wobec potęgi bezlitosnych najeźdźców, a Luke Skywalker starał się utrzymać jedność wśród rycerzy Jedi. Yuuzhan Vongowie rozpoczęli polowanie na „Sokoła Millenium” i pilotującego go Hana Solo. Do obcych wyprawił się rycerz Jedi Wurth Skidder, ale zginął w męczarniach, kiedy barbarzyńcy odkryli jego tożsamość. Huttowie opowiedzieli się początkowo po stronie najeźdźców, wędząc w tym dobry interes, by następnie podjąć próbę ich oszukania. Anakin Solo posłużył się repulsorem Stacji Centerpoint, ale oprócz zniszczenia floty Yuuzhan Vongów niechcący unicestwił także sporą część zaprzyjaźnionej floty Hapan. Obcy – udając, że zamierzają zaatakować Korelię – w rzeczywistości przypuścili szturm na Fondora i jego gwiazdne stocznie.

Z każdą chwilą byli coraz bliżej stolicy Nowej Republiki, Coruscant. Niejako po drodze opanowali planetę Duro. Przed rycerzami Jedi stanęło wyzwanie: musieli uratować Leię z rąk bezlitosnych najeźdźców. W końcu Yuuzhanie zasygnalizowali, że są gotowi do zawarcia pokoju z Nową Republiką. W zamian zażądali tylko wydania im wszystkich Jedi, na co Republika nie mogła się zgodzić. W galaktyce zaczęła narastać wrogość wobec zakonu, obwinianego o podsycanie konfliktu. Yuuzhan Vongowie wylądowali na Yavinie Cztery i zajęli Akademię Luke'a Skywalkera. Uwolnienia schwytanych Jedi podjął się młody Anakin Solo. Mimo to Yuuzhan Vongowie nie przestali polować na Jedi. Przeszukiwali całą galaktykę, aż w końcu Nowa Republika odmówiła pomocy zakonowi Jedi. Zbliżała się chwila ostatecznego starcia z niezwykłym przeciwnikiem. Mara urodziła syna, któremu Skywalkerowie dali na imię Ben. Pojawia się nadzieja na zwycięstwo.

Yuuzhan Vongowie nie zrezygnowali jednak z prób zdobycia reszty galaktyki. Dzięki inżynierii biologicznej wyhodowali potwory zwane voxynami, które potrafiły z daleka wyczuwać Jedi. Nowa Republika odkryła, że voxyny są hodowane na krążącym w przestworzach planety Myrkr światostatku Yuuzhan Vongów. Zadania zabicia królowej voxynów i zniszczenia laboratorium Yuuzhan podjął się siedemnastoletni wówczas Anakin Solo. Dołączyli do niego Jacen i Jaina, a także zakochana w Anakinie Tahiri, Tenel Ka, Barabel Tesar Sebatyne, Twi'lekanka Alema Rar, Zekk, Chandra-Franka Tekli i inni rycerze Jedi. Wielu członków wyprawy, a wśród nich Anakin, straciło życie, ale zadanie zostało wykonane. Jacen dostał się do niewoli, ale pozostali porwali statek Yuuzhan Vongów i uciekli.

W końcu Yuuzhanie zdobyli straszliwie zniszczoną stolicę Nowej Republiki. Przywódca Borsk Fey'lya popełnił samobójstwo, a Han, Leia, Luke i Mara w ostatniej chwili odlecieli. Oboje Solo rozpaczali po śmierci młodszego syna. Firma Tendrando Arms rozpoczęła produkcję wojennych androidów ZYV – Zabójców Yuuzhan Vongów – które potrafiły wykrywać i zabijać nawet tych Yuuzhan, którzy przyjęli wygląd ludzi czy istot innych ras.

Rozwścieczeni stratą królowej voxynów Yuuzhanie ścigali Jainę, żeby złożyć ją w ofierze swoim bogom. Młodzi Jedi polecili na Hapes, ale zrozpaczona po śmierci brata Jaina zamknęła przed nimi swój umysł i chcąc zemścić się uległa wpływowi Ciemnej Strony Mocy. Wprowadziła w błąd Yuuzhan Vongów i nakazała dowódcom ich żywych okrętów toczyć walkę z innymi okrętami, dzięki czemu dała czas Hapanom na odbudowę zniszczonej przez Anakina floty. W końcu jednak zawróciła z Ciemnej Strony i została uczennicą Kypa Durrona, który postanowił powołać na nowo do życia Radę Jedi.

Po inwazji Yuuzhan Vongów na Coruscant Rada Jedi zgłosiła dalszą gotowość do ustępstw, chociaż mogły one oznaczać tylko dalszą ekspansję najeźdźców. Tenel Ka została nową monarchinią Konsorcjum Hapes, a Jag Fel naczelnym dowódcą jej floty. Atak obcych na Hapes zakończył się niepowodzeniem. Yuuzhan Vongowie rozpoczęli polowanie na bliźnięta Solo, bo uznali, że tylko ich śmierć mogła zapewnić Yuuzhanom całkowite zwycięstwo.

Przebywający w niewoli Yuuzhan Vongów Jacen dostał się w ręce ptakopodobnej Foshanki, Vergere, która zagięła wiele lat wcześniej, bo przyłączyła się do

zwiadowców Yuuzhan Vongów, żeby lepiej poznać obce istoty. Naturalnie zataiła przed nimi, że jest Jedi. Vergere zaczęła w najwymyślniejszy sposób torturować Jacena, żeby go zmusić do oswojenia się z cierpieniem i bólem. Wykorzystywała w tym celu nawet yuuzhańskiego potwora zwanego Objęciami Cierpienia. Jacen zaprzyjaźnił się z innym yuuzhańskim zwierzęciem, dhuryamem, który został później Mózgiem Świata Coruscant i zaczął poddawać planetę vongizacji, czyli przekształcać ją w taki sposób, żeby mogła zostać nową stolicą Yuuzhan Vongów. Yuuzhanie uważali Jacena za wcielenie jednego ze swoich bliźniaczych bogów. Młody Solo i Vergere uciekli z opanowanej przez obcych Coruscant i wylądowali na Kalamarze.

Po upadku Coruscant i po Bitwie o Borleias senatorowie Nowej Republiki wybrali na Kalamarze nowego przywódcę. Został nim caamasjański senator Cal Omas. Luke Skywalker reaktywował Radę Jedi w nietypowym składzie: oprócz Jedi mieli w niej odtąd zasiadać wybrani przedstawiciele władz Nowej Republiki. Wojska Republiki zaczęły odnosić pierwsze, z początku skromne, zwycięstwa nad siłami zbrojnymi Yuuzhan Vongów, do czego przyczyniła się znacznie Jaina Solo. Vergere trafiła do więzienia, ale Luke odkrył, że Foshanka może mu pomóc wyjaśnić, dlaczego Yuuzhan Vongowie pozostają niewidoczni w Mocy. Han i Leia wyprawili się do Nieznanych Rejonów na planetę Bastion, stolicę Szczątków Imperium, gdzie dostali od wielkiego admirała Pellaeona dokładną mapę szlaków Głębokiego Jądra galaktyki. Zwabili tam Yuuzhan Vongów, a Jaina zabiła wojennego mistrza obcych. Jacena i innych Jedi uratowała od śmierci Vergere, ale przypłaciła ten wyczyn życiem. Cal Omas proklamował powstanie Galaktycznego Sojuszu, a Luke wyruszył na poszukiwanie planety Zonama Sekot, w nadziei, że tylko ona może pomóc pokonać Yuuzhan Vongów.

Tym czasem yuuzhanie otrząsnęli się po porażce w Głębokim Jądrze i kontynuowali podbój następnych planet. Agenci obcych wykorzystywali w tym celu lokalne waśnie i konflikty. Luke odnalazł Zonamę Sekot, ale planeta obiecała pomoc dopiero po zbadaniu umysłów Luke'a i Jacena. Wojskowi Galaktycznego Sojuszu postanowili wyzwolić z rąk Yuuzhan Vongów Fondora i jego gwiazdne stocznie. W tym celu siły zbrojne Sojuszu upozorowały atak na Duro. Podstęp się udał, ale zginęło wielu niewtajemniczonych Durosjan. Przedstawiciele Sojuszu polecili potajemnie na Coruscant, żeby się spotkać z arcykapłanem Yuuzhan Vongów, Harrarem. Razem z nim wyruszyli na poszukiwanie Zonamy Sekot i wylądowali na jej powierzchni. Yuuzhanie stwierdzili, że fauna i flora planety są niezwykle podobne do form życia na ich dawno zaginionej ojczyźnie. Harrar zginął zabity przez podstępnego egzekutora Yuuzhan Vongów, który poinformował najwyższego władcę Yuuzhan, Shimmrę, o odnalezieniu planety. Zonama Sekot wskoczyła na oślep do nadprzestrzeni, ale doznała przy tym wielu obrażeń. Yuuzhan Vongowie sparaliżowali sieć łączności zwaną HoloNetem.

Shimmra nie zlekceważył niebezpieczeństwa grożącego Yuuzhanom ze strony niezwyklej planety. Pragnął uprosić bogów, żeby pomogli mu ją odnaleźć, i w tym celu zamierzał złożyć w ofierze miliony jeńców. Na Coruscant wylądowały pierwsze oddziały szturmowe Galaktycznego Sojuszu. Luke zdobył fortecę Shimmry, ale został ciężko ranny. Okazało się, że w rzeczywistości najwyższym władcą Yuuzhan Vongów nie był Shimmra, ale jego pokraczny sługa, który zginął po stoczeniu walki z

bliźniętami Solo.

Wojna z Yuuzhan Vongami trwała pięć lat i zakończyła się ich klęską, ale Cal Omas i Jedi pozwolili pokonanym i rozbrojonym Yuuzhanom osiąść na planecie Zonama Sekot, która odleciała do Nieznanych Rejonów galaktyki. Ostatecznie wyjaśniło się, dlaczego obcy byli niewidoczni w Mocy. Rycerze Jedi wyznaczyli sobie nowe cele w życiu.

Dziesięć lat po wybuchu wojny z Yuuzhan Vongami czworo Jedi, a wśród nich bliźnięta Solo, wyruszyło na nieautoryzowaną wyprawę. Zostali wezwani przez dziwne wołanie o pomoc, które słyszeli tylko oni. Chissowie oskarżyli Jedi o mieszanie się w ich wewnętrzne sprawy. W ślad za Jedi polecili Luke, Han i Leia. Natrafili na rasę wojowniczych, insektoidalnych Kilików, którzy prawdopodobnie odpowiadali za stworzenie koreliańskiego systemu planetarnego. Kilikowie żyli w rojach i kontaktowali się ze sobą za pomocą zbiorowej świadomości. Oskarżyli Jedi o to, że atakują ich gniazda. Zanosilo się na wybuch nowego konfliktu, w którym po obu stronach będą walczyli Jedi. Po stronie Kilików stanęło dwoje Ciemnych Jedi z Mrocznego Gniazda. W końcu wybuchła tak zwana Wojna Rojów, do której przyłączyli się neutralni na ogół Chissowie. Leia stoczyła pojedynek z Twi'lekanką Alemą Rar. Oszpeciła ją, ale jej nie zabiła. Alema stała się odtąd nieprzejednanym wrogiem księżniczki Leii.

Następne pięć lat Jacen spędził w samotności, latając po galaktyce i ucząc się nieznanymi technik władania Mocą. Tenel Ka urodziła dziecko Jacena, dziewczynkę, której dali na imię Allana.

## 6. Era Dziedzictwa Mocy

Po upływie tych pięciu lat, czyli czterdzieści lat po Bitwie o Yavina, Galaktyczny Sojusz odkrył, że nie wszystkie planety przestrzegają warunków, na których do niego przystąpiły. Podobno władcy systemu Korelii rozpoczęli potajemnie budowę silnej floty szturmowej i zamierzali uruchomić gwiazdogrom Stacji Centerpoint. Władze Sojuszowi wysłały tam własną flotę i młody Ben Skywalker uszkodził repulsor Stacji. Doszło do wybuchu kolejnego konfliktu, w którym przeciwko Sojuszowi i wspierającym go Jedi pod przywództwem Wielkiego Mistrza Luke'a Skywalkera opowiedzieli się tacy sławni Korelianie, jak Wedge Antilles i Han Solo.

Jacen znalazł tajemniczą plecionkę o zawiłych splotach i odkrył, że to przepowiednia jego przyszłości. Zaczął się sprzeniewierzać ideałom Jedi i nie zawahał się nawet zabijać, jeżeli – zgodnie z jego wizjami – miałyby to doprowadzić do optymalnego rozwiązania jakiegoś konfliktu. Poznał Brishę Syo, w rzeczywistości Czarną Lady Sithów Lumiyę. Kobieta była bardziej cyborgiem niż żywą osobą, bo kiedyś zo-

stała ciężko raniona przez Luke'a Skywalkera. Jacen zabił młodą Jedi, Nelani Dinn, ale darował życie Lumiya, od której zaczął się uczyć technik władania Ciemną Stroną Mocy. Przywódca Korelii Trackan Sal-Solo wyznaczył nagrodę za zabicie Hana i Leii. Osławiony łowca nagród Boba Fett, któremu udało się uciec z paszczy sarlacca, dowiedział się, że ma przed sobą tylko rok życia, więc zaczął szukać sposobów jego przedłużenia.

Jacen Solo dokonał zamachu stanu i został wspólnie z kalamariańską panią admirał Niathal nowym przywódcą Sojuszu. Równocześnie, jako dowódca tajnej policji Galaktycznego Sojuszu wydał rozkaz internowania wszystkich mieszkających na Coruscant Korelian i ich sympatyków, a później nawet wymordowania Bothan. Przyjął na swojego ucznia trzynastoletniego Bena Skywalkera i zaczął mu powierzać coraz bardziej przerażające zadania. Podczas przesłuchania Jacen zabił wnuczkę Boby Fetta, który został nowym przywódcą planety Malandora. Fett postanowił się zemścić, darowując Jacenowi życie, żeby młody Solo mógł wyrządzić jak najwięcej szkód Galaktycznemu sojuszowi i zakonowi Jedi. Lumiya wmówiła Jacenowi, że jeżeli chce zostać Sithem i przywrócić pokój w galaktyce, musi najpierw zabić tych, których kocha. Solo i Skywalkerowie patrzyli bezradni, jak Jacen ześlizguje się na Ciemną Stronę. Han Solo oznajmił nawet, że wyrzeka się jedynego syna.

W końcu Galaktyczny Sojusz zaatakował zbuntowaną Korelię. Jacen podjął świadomą, chociaż nieudaną próbę zabicia swoich rodziców, ostrzeliwując z ciężkich dział ich „Sokoła Millenium”. Za wszelką cenę starał się chronić Tenel Ka i Allanę, w obawie, że to właśnie są osoby, które musi zabić. Brutalnie stłumił powstanie na Korelii i coraz pewniej kroczył ścieżką wiodącą na Ciemną Stronę. Wciągnął na nią nawet młodego Bena Skywalkera, któremu kazał zabić premiera Korelii i odzyskać rzekomo cenny amulet. Z ostatniej wyprawy Ben wrócił dziwnym obiektem w kształcie sfery – inteligentnym statkiem szkoleniowym Sithów.

Boba Fett zdobył w końcu lek, który miał przedłużyć jego życie. Wezwał do powrotu na Mandalorę rozproszonych po galaktyce ziomków i rozpoczął taśmową produkcję superwytrzymałych myśliwców.

Ben, Leia i Mara dowiedzieli się o kontaktach Jacena z Lumiya. Leia stoczyła nawet pojedynek z Czarną Lady Sithów, ale przegrała. W obawie przed odkryciem jego planów Jacen zabił potajemnie Marę i skierował podejrzenia na Lumiya. Pewny, że to jej sprawka, Luke stoczył z Lumiya pojedynek i ją zabił. Tylko Ben podejrzewał, kto jest prawdziwym zabójcą jego matki, ale jego próba zabicia Jacena zakończyła się niepowodzeniem. W końcu Jacen został Czarnym Lordem Sithów, przybrał imię Dartha Caedusa i zaczął śmiało kroczyć śladami swojego dziadka Dartha Vadera.

Oskarżony o zabicie Mary Cal Omas popełnił samobójstwo, rzucając się na klingę świetlnego miecza Bena. Ciało zabitej Mary połączyło się z Mocą jednak dopiero wtedy, kiedy na ceremonii pogrzebowej pojawił się Jacen - Caedus. Samozwańczy Sith wziął do niewoli uczniów i nauczycieli Akademii Jedi na Ossusie. Luke wypowiedział posłuszeństwo Jacenowi w imieniu zakonu Jedi i odmówił mu pomocy Jedi podczas walk w przestworzach Kashyyyka. W odwecie Jacen wydał okrutny rozkaz spopielenia powierzchni Kashyyyka i wymordowania wszystkich w Akademii Jedi. Życie stracili tam oboje Solusarowie, Kam i Tionna, ale z siepaczami Jacena



rozprawili się Jaina i najmłodszy uczniowie Jedi. Leia i Han polecili na Hapes, żeby uświadomić królowej matce Tenel Ka, kim naprawdę stał się Jacen. Monarchini wysłała do przestworzy Kashyyyka flotę, która walczyła przeciwko siłom zbrojnym ojca jej dziecka. Po nieudanym zamachu Jacen uwięził Bena i poddał go straszliwym torturom z pomocą yuuzhańskiego potwora zwanego Objęciami Cierpienia. Chciał, żeby chłopak stał się godnym uczniem Lorda Sithów. Syna uwolnił dopiero Luke, który stoczył z Jacenem pojedynek na świetlne miecze; nie zabił go jednak i nie pozwolił zrobić tego Benowi. Młody Solo uciekł, ale przedtem ranił Bena i Luke'a. Od tej pory mógł już tylko liczyć na pomoc pomyłonej Twi'lekanki Alemy Rar, która cały czas pałała nienawiścią do księżniczki Leii. Leia i Han obiecali Bothanom, że nie będą im przeszkadzali w podejmowaniu prób zabicia Jacena.

Opracował A.S.

## BOHATEROWIE POWIEŚCI

Aur Myss	więzień (Delphanianin)
Chewbacca	więzień (Wookie)
Han Solo	więzień, przemytnik i kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna z Korelii)
Jareth Sartoris	kapitan straży na imperialnej barce więziennej „Czystka”
Kale Longo	nastoletni więzień (mężczyzna)
Trig Longo	nastoletni więzień (mężczyzna)
Odpad	android chirurgiczny 2-1B
Zahara Cody	naczelny lekarz na imperialnej barce więziennej „Czystka” (kobieta z Korelii)

## ROZDZIAŁ 1

# CZYSTKA

Noce były najgorsze.

Jeszcze przed śmiercią ojca Trig Longo zaczął bać się tych długich godzin po zamknięciu celi, cieni, odgłosów i niestabilnej otchłani ciszy, jaka się pomiędzy nimi rozpościerała. Noc w noc leżał nieruchomo na swojej pryczy i wpatrywał się w przeciekający durastalowy sufit celi w poszukiwaniu snu lub jakiegoś akceptowalnego substytutu. Czasami nawet zaczynał usypiać, odpływając w kojącym uczuciu nieważkości, po to jedynie, by zostać wyrwanym ze snu – z łomotem serca, ze ściśniętym gardłem, z naprężonymi i drżącymi mięśniami brzucha – przez krzyk czy jęki, któregoś z więźniów nękanego przez koszmary.

Na pokładzie imperialnej barki więziennej „Czystka” koszmarów nigdy nie brakowało.

Trig nie wiedział, ilu dokładnie więźniów „Czystka” obecnie przewozi. Przypuszczał, że około pięciuset – ludzi i innych – wyciągniętych z każdego zakątka galaktyki, tak jak on i jego rodzina pojmani osiem standardowych tygodni wcześniej. Niekiedy promy kosmiczne wracały z wyprawy prawie puste; kiedy indziej były wyładowane awanturującymi się przedstawicielami obcych ras i domniemanymi sympatykami Rebelii wszelkich rodzajów i gatunków. Byli wśród nich płatni zabójcy i socjopaci, jakich Trig nigdy wcześniej nie spotkał. Stworzenia o wąskich ustach rechotały i drwiły w wywrotowych językach, które w uszach Triga brzmiały jak klekot albo syk.

Każdy z nich zdawał się skrywać swoje mroczne żądze i osobiste urazy, własne historie naznaczone przez wstydlive tajemnice i ponure wendety. Zachowanie ostrożności stawało się coraz trudniejsze; dobrze byłoby mieć oczy dookoła głowy – niektórzy zresztą faktycznie je mieli. Dwa tygodnie wcześniej Trig zauważył w mesie wysokiego milczącego więźnia, który siedział plecami do niego, a mimo to obserwował go pojedynczym, krwistoczerwonym okiem umieszczonym z tyłu czaszki. Każdego dnia czerwonoooki stwór zdawał się siedzieć odrobinę bliżej. Aż pewnego dnia zniknął, bez żadnego wyjaśnienia.

Pozostał tylko w jego snach.

Trig z westchnieniem oparł się na łokciach i spojrzął przez kraty na korytarz.

Blok główny przechodził nocą na minimalny pobór mocy, utrzymując długie przejście w szarym półmroku. Rodianie w celi naprzeciwko poszli spać albo udawali, że śpią. Trig, próbując wyregulować oddech, wsłuchiwał się w słabe echo niespokojnych jęków i pomruków skazańców. Od czasu do czasu, z jakimś zaprogramowanym wcześniej poleceniem, przemieścił się z nieodłącznym hałasem myszobot lub jednostka na barce. A w tle tych wszystkich dźwięków, na samym dnie, ale nie poza zasięgiem słuchu, był oczywiście wszechobecny warkot turbin barki, zgrzytających bezustannie w przestrzeni kosmicznej.

Przez cały ten czas, jaki spędził na pokładzie, Trig nie był w stanie przyzwyczać się do tego ostatniego dźwięku, który wprawiał w drżenie całą konstrukcję „Czystki”, wspinał się po jego cieple, szarpiąc kości i nerwy. Nie było przed nim ucieczki. Przenikał każdą chwilę życia, znajomy niczym własny puls.

Trig cofnął się myślami o dwa tygodnie, do chwili, kiedy siedział w ambulatorium, patrząc, jak jego ojciec wydaje ostatnie, rozedrgane tchnienie, i do ciszy, jaka zapadła, kiedy androidy medyczne odłączały biomonitory od wyniszczonego ciała staruszka i przygotowywały zwłoki do odwiezienia. Kiedy ostatni z monitorów ucichł, usłyszał ten cichy, miarowy grzmot silników, jeszcze jedno niepotrzebne przypomnienie tego, gdzie był i dokąd zmierzał. Pamiętał, jak wsłuchując się w ten odgłos, poczuł się mały, zagubiony i nieodparcie smutny – jak gdyby jakiś specjalny rodzaj sztucznej grawitacji oddziaływał bezpośrednio na jego serce.

Wiedział już wtedy, tak jak teraz, że ten dźwięk oznaczał w istocie jedno - bezlitosne miażdżące tryby Imperium umacniającego swoją władzę.

„Nie zwracaj sobie głowy polityką, mówił zawsze jego ojciec. Po prostu daj im to, czego chcą, albo zjedzą cię żywcem”.

A teraz i tak zostali zjedzeni żywcem, mimo że nigdy nie byli niczymi sympatykami, co najwyżej drobnymi kanciarzami zgarniętymi w trakcie rutynowej imperialnej łapanki. Walec tyranii miażdżył dalej, niosąc ich przez galaktykę w stronę jakiegoś odległego karnego księżycy. Trig czuł, że ten hałas będzie trwał, będzie ciągnął się w nieskończoność, odbijając się echem, aż...

- Trig?

Kale za jego plecami odezwał się nieoczekiwanie i Trig wzdrygnął się lekko na dźwięk jego głosu. Obejrzał się i napotkał spojrzenie starszego brata. Jego zmęczona, zaspana twarz upiornie majaczyła w półmroku celi. Kale wyglądał, jakby do końca się jeszcze nie obudził i nie był pewien, czy to wszystko mu się nie śni.

- Co się stało? – wymamrotał teraz sennym głosem, co za brzmiało jak „cosię- ało?”

Trig odchrząknął. Głos zaczął mu się ostatnio zmieniać i Trig miał pełną świadomość tego, że wchodzi na zbyt wysokie lub zbyt niskie tony, jeśli się nie pilnuje.

- Nic.

- Martwisz się jutrem?

- Ja? – zachnął się Trig. – No coś ty?

- Nic nie szkodzi, jeśli się boisz. – Kale powiedział to z namysłem. – Byłbyś głupi, gdybyś się nie bał.

- Ty się nie boisz – wytknął mu Trig. – Tata nigdy by...

- Pójdę sam.  
- Nie. Musimy trzymać się razem, tak jak mówił tata.  
- Masz tylko trzynaście lat – powiedział Kale. – Może jesteś, no wiesz...  
- Za miesiąc będę miał czternaście. – Na wzmiankę o swoim wieku Trig się zeżłościł. – Nie jestem za młody.  
- Jesteś pewien?  
- Całkowicie.  
- No dobra, prześpij się z tym. Zobaczysz, jak się będziesz czuł rano... – Wzrok Kale’a zmętniał, a on sam osunął się z powrotem na swoją pryczę, pozostawiając Triga z oczami wciąż utkwionymi w długiej, ciemnej hali bloku głównego, który stał się ich – już nie tak nowym – domem.

Prześpij się z tym, pomyślał i w tym właśnie momencie jakimś cudem, jakby siłą sugestii, sen faktycznie zaczął na niego spływać. Trig położył się i pozwolił, aby ciężar zmęczenia przykrył go niby kołdra, wypierając niepokój i strach. Wsłuchiwał się w oddech Kale’a, głęboki i uspokajający – wdech i wydech, wdech i wydech.

Nagle ktoś zawył nieludzkim głosem w czeluściach jednego z pokładów. Trig podniósł się, wstrzymał oddech i poczuł, jak dreszcz strachu napina skórę na jego ramionach, rękach i plecach, pełźnie po ciele milimetr po milimetrze, stawiając włoski na karku. Na drugiej pryczy śpiący już Kale przewrócił się na drugi bok i wymamrotał coś niezrozumiale.

Rozległ się jeszcze jeden krzyk, tym razem cichszy. Trig tłumaczył sobie, że to po prostu jeden ze skazańców, kolejny koszmar zjeżdżający z taśmy na nocnej zmianie w fabryce koszmarów.

Ale to nie brzmiało jak koszmar.

To brzmiało, jakby więzień, takiej czy innej rasy, został zaatakowany.

Albo jakby zwariował.

Trig siedział w zupełnym bezruchu, mrużąc oczy i czekał, aż serce mu się uspokoi, proszę, niech się uspokoi. Ale nie chciało. Przypomniał sobie stworzenie z kantyny, zaginionego później więźnia, którego imienia nie znał, obserwującego go wyłupiastym czerwonym okiem. Ile jeszcze oczu było na niego skierowanych, a on nawet ich nie widział?

Prześpij się z tym.

Ale wiedział, że tej nocy już nie uśnie.



## ROZDZIAŁ 2

# MIĘSNE GNIAZDO

W dawnym życiu Triga na Cimarosie śniadanie było najlepszym posiłkiem dnia. Doświadczony handlarz lewym towarem, weteran przedmieść, który miał na koncie niezliczone transakcje ze złodziejami, szpiegami i fałszerzami. Von Longo był także jednym z największych nieodkrytych talentów kulinarnych galaktyki, zwłaszcza, jeśli chodzi o śniadania. „Jedzcie rano porządny posiłek, mówił zawsze Longo swoim chłopcom, bo nigdy nie wiadomo, czy to nie będzie wasz ostatni”.

Ale tutaj na „Czystce” śniadanie rzadko kiedy było jadalne a czasami, pod wpływem miarowych wibracji, zdawało się wręcz poruszać, jakby wciąż jeszcze żyło. Tego poranka Trig wpatrywał się w ciastowatą, bezbarwną breję i w zanurzoną w niej oskrobaną chrząstkę, uformowaną w lepkie grudki jak mięsne gniazdo zbudowane przez mięsożerne owady. Grzebał obojętnie w swoim talerzu, aż wreszcie Kale uniósł brwi i przyjrzał mu się uważnie.

- Spałeś chociaż trochę w nocy? – spytał Kale.

- Trochę.

- Dlaczego nie jesz?

- Tego? – Trig popatrzył na zawartość swojego talerza i się wzdrygnął. – Nie jestem głodny – powiedział, patrząc, jak Kale z irytującym zapałem pakuje do ust ostatni kęs swojego śniadania. – Myślisz, że na księżycu więziennym jedzenie będzie lepsze?

- Braciszku, myślę, że będziemy mieli szczęście, jeśli sami nie trafimy do jałospisu.

Trig spojrział na niego ponuro.

- Raczej nie podsuwaj im takich pomysłów.

- Hej, rozchmurz się. – Kale wytarł usta rękawem i uśmiechnął się szeroko. – Takiego mikrusa jak ty pewnie wezmą na przystawkę.

Trig odłożył znowu widelec i parsknął, żeby pokazać, że rozumiał żart. Choć nie potrafił tego wyartykułować, luzacka brawura jego starszego brata, w oczywisty sposób odziedziczona o ich staruszku, wzbudzała w nim niekłamana zazdrość. Kale nie był stworzony do tego, żeby się bać. Strach jakoś się go po prostu nie miał. Jedy- ną rzeczą, która wydawała się go niepokoić, było to, że mógł nie dostać kolejnej por- cji tego, co COO-2180 za ladą nakładają na tace więźniów.

Nagle - od śmieszności do wzniosłości – myśli Triga powędrowały znowu ku ojcu. Ich ostatnia rozmowa utkwiała mu w pamięci z palącą ostrością. Tuż przed swoją śmiercią staruszek chwycił rękę Triga w obie dłonie i wyszeptał: „Opiekuj się swoim bratem”. Zaskoczony Trig tylko pokiwał głową i wyjąkał, że będzie się nim opiekował, obiecuje – ale zaraz zdał sobie sprawę, że jego tacie w ostatnich chwilach życia mu- siało się pomylić, z którym synem rozmawia. Dlaczego miałby prosić Triga, żeby za- opiekował się Kale'em? To tak, jakby wampę oddać pod opiekę kowakiańskiej mał- pojaszczurce.

- A tak w ogóle, co ci jest? – zapytał Kale z drugiego końca stołu.

- Nic.

- No, dalej. Wyrzuć to z siebie.

Trig odsunął na bok tacę.

- Nie rozumiem, jak mogą nas tym karmić dzień w dzień, to wszystko.

- Skoro o tym mowa... – Jak na sygnał Kale skierował wzrok na tacę Triga. - Będziesz to jeszcze jadł?

Kiedy przenikliwy dźwięk obwieścił koniec posiłku, on i Kale wstali i przebrnęli przez mesę w tłumie innych więźniów. Z umieszczonych wysoko pomostów obser- wacyjnych pilnował ich orszak umundurowanych imperialnych strażników więzien- nych i uzbrojonych szturmowców, którzy bezdusznymi czarnymi oczami śledzili, jak przechodzą do strefy wspólnej.

Na dole więźniowie szli grupkami, wolnym krokiem, rozmawiając i śmiejąc się. Celowo przeciągali przejście do granic możliwości, wykorzystując każdy najmniejszy przejaw pobłażliwości ze strony strażników. Trig czuł lepką, cuchnącą bliskość wielu niemytych ciał i do głowy przyszło mu znowu określenie „mięsne gniazdo”, przypra- wiając go o mdłości. To miejsce było jak jedno wielkie mięsne gniazdo.

Krok po kroku, poruszając się z wystudiowaną niedbałością, bracia zwalniali, coraz bardziej oddalając się od tłumu. Mimo, że Kale nie powiedział ani słowa, w jego postawie dała się zauważyć subtelna zmiana. Wyprostował plecy i ramiona, a na je- go twarzy pojawił się wyraz pogodnej czujności, który zastąpił wcześniejszą niefraso- bliwość. Rozglądał się na prawo i lewo, nie zatrzymując nigdzie spojrzenia dłużej niż na chwilę lub dwie.

- Jesteś na to gotowy? – spytał, prawie nie poruszając ustami.

- Pewnie – odparł Trig, kiwając głową. – A ty?

- Całkowicie. – Po twarzy Kale'a trudno było poznać, że w ogóle się odzywa. – Pamiętaj, tam będzie bardzo ciasno. Cokolwiek się stanie, zawsze utrzymuj kontakt wzrokowy. Nie odwracaj się nawet na chwilę.

- Rozumiem.

- A jeśli cokolwiek będzie wyglądało nie tak, nawet zupełny drobiazg, to po

prostu odchodzimy. – Teraz Kale spojrzał swojemu bratu w twarz, być może wyczuwając ślad lęku. – Nie sądzę, żeby Sixtus czegoś próbował, ale za Myssa nie ręczę. Tata nigdy mu nie ufał.

- Może... – zaczął Trig i urwał w pół słowa. Zdał sobie sprawę, że chciał zasugerować odwołanie całej transakcji, nie dlatego, że sam był zdenerwowany, chociaż niewątpliwie był, ale dlatego, że nawet Kale wydawał się mieć wątpliwości.

- Damy radę – mówił dalej Kale. – Tata nauczył nas wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć. Wszystko powinno potrwać nie dłużej niż minutę albo dwie, a potem wychodzimy, żeby się znaleźć z powrotem na widoku. Dłużej byłoby niebezpiecznie. – Nagle odwrócił głowę i spojrzał wymownie na Triga. – Ja wchodzę pierwszy. Jasne?

Trig kiwnął głową i poczuł na swoim ramieniu dłoń, która zatrzymała go w pół kroku.

## ROZDZIAŁ 3

# TAM, GDZIE TRAFIA ZGNIŁE POWIETRZE

Trig odwrócił się i spojrzał na stojącą przed nim postać.

- Ej, wy. – Był to strażnik o świńskich oczkach. Nie pamiętał jego nazwiska. Patrzył na chłopaka przez parę przyciemnianych, zdecydowanie nieprzepisowych osłon optycznych. – Co tutaj robicie?

Trig chciał odpowiedzieć, ale słowa utkwiły mu w gardle. Wtedy wkroczył Kale z niewymuszonym, rozbrajającym uśmiechem.

- Chodzimy sobie, proszę pana.

- Pytałem cię o coś, więźniu?- warknął strażnik i nie czekając na odpowiedź, skierował uwagę z powrotem na Triga. – No więc?

- To prawda, proszę pana – odparł Trig. - Tylko sobie chodziliśmy.

- A co, za dobrzy jesteście, żeby łączyć razem z resztą szumowin?

- Staramy się unikać szumowin, kiedy tylko jest to możliwe – odrzekł Trig i dodał: - Proszę pana.

Oczy strażnika zwęziły się za soczewkami.

- Kpisz sobie ze mnie, więźniu?

- Nie, proszę pana.

- Ostatnia menda, co ze mnie kpiła, dostała miesiąc karceru.

- Rozumiem, proszę pana.

Strażnik popatrzył na niego spode łba, przechylając lekko głowę na bok. Jak gdyby czekał na moment, aż niewinna, młodzieńcza twarz Triga stanie się groźna, nabierze wyrazu pośród tej masy zapuszkowanych kryminalistów. Trig obserwował jego minę i zadręczał się, wyobrażając sobie błysk rozpoznania w tych zmrużonych oczkach. Przez moment pomyślał, jak dziwnie by było, gdyby strażnik powiedział: „Jesteście synami Vona Longa, prawda? Słyszałem, co się stało z waszym ojcem. To był porządny człowiek”.

Ale oczywiście żaden strażnik na tej barce nie uważał, że Longo był porządnym człowiekiem, ani nawet nie zwracał sobie głowy zapamiętywaniem jego nazwiska. Ich ojciec był martwy i tak całkowicie zapomniany, że równie dobrze mógł nigdy nie żyć. Ale strażnik tylko pokręcił głową.

- Ruszać się – mruknął i odszedł.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu strażnika, Kale trącił Triga łokciem w ramię.

- Staramy się unikać szumowin, kiedy tylko jest to możliwe, tak? – Lekki uśmiech wyłobitł dołeczki w kącikach jego ust. – Wymyśliłeś to na poczekaniu?

Trig nie mógł powstrzymać uśmiechu. To było wyzwalające uczucie pewnie dlatego, że nie pamiętał już, kiedy ostatnio pozwolił sobie na coś więcej niż nerwowy grymas.

- Myślisz, że to kupił?

- Myślę, że sam to prawie kupiłeś. – Nie odwracając wzroku, Kale uniósł rękę i zmierzwił włosy Triga. – Dalej tak cwaniaku, a wylądujesz w izolatce z naprawdę niebezpiecznymi typkami.

- Podobno paru twardzieli już tam siedzi – odparł Trig. – To mogą być nasi przyszli klienci.

Kale spojrzał na niego z uznaniem.

- Masz w sobie dużo więcej z taty, niż myślałem – powiedział i rzucając ostatnie spojrzenie na więźniów przed nimi, delikatnie skinął głową w lewą stronę. – Idź za mną. I nie pajacuj, dobra?

- Jasne. – Trig wyczuł, że Kale zwalnia, skracając kroki w ledwo zauważalny sposób, więc dostosował tempo do brata.

Przed nimi główna hala rozdzielała się na trzy części, a z każdej odchodziły

wąskie przejścia, które przecinały pokłady więzienne w każdym możliwym kierunku i pod każdym kątem.

Odkąd znalazł się na pokładzie, Trig starał się poznać rozkład „Czystki” tak dobrze, jak tylko było to możliwe. Podszuchując rozmowy między strażnikami a androidami konserwacyjnymi, szybko się zorientował, że jest sześć głównych poziomów więziennych, których każdy mieści jakieś dwadzieścia do trzydziestu cel. Ponad nimi znajdowała się mesa, a za nią pomieszczenia administracyjne, kwatery personelu więziennego i ambulatorium. Nikt raczej nie wspomniał o izolatkach na samym dole barki. Niewiele też się mówiło o setkach metrów wąskich korytarzy, podpoziomów i mrocznych hal, które tworzyły heksagonalną strukturę każdego z poziomów.

Jeden za drugim bracia prześlizgnęli się przez otwarte wejście, przeszli różnym krokiem wzdłuż wilgotnych prefabrykowanych ścian, a potem ruszyli w dół po schodach, w głąb przeżartych żółcią wnętrza bloku głównego. Powietrze tutaj było dziwnie gęste i trudno się nim oddychało. Spływał do odnowionych filtrów powietrza, by powrócić znów do cyrkulacji wokół barki.

- No proszę – powiedział czyjś głos. – Bracia Longo znowu w akcji.

Trig wciągnął powietrze z nadzieją, że nie zabrzmi jak zachłyśnięcie. Kale przed nim znieruchomiał, instynktownie wyciągając rękę za siebie i obaj spojrzeli w otwartą przestrzeń przed nimi, która definiowała ich najbliższą przyszłość. Trig nie potrzebował wiele czasu, by jego oczy przywykły do ciemności. Potrafił już rozpoznać sylwetki kilkunastu więźniów należących do dalphaniańskiego Gangu Facjat i stojącego przed nimi Aura Myssa.

To, czy dziwnie skrzywiony uśmiezek Myssa był przypadkiem genetycznym, czy też efektem jednego z jego legendarnych pojedynków na noże, stanowiło przedmiot nieustannych sporów pomiędzy więźniami. W obwisłej dolnej wardze, poniżej harmonijki spłaszczonego nosa, tkwiły plemienne kolczyki, które zbierał od przywódców pozostałych grup, w miarę jak razem ze swoim szefem Sixtusem Cleftem umacniali pozycje Gangu Facjat jako dominującej ekipy więziennej na „Czystce”.

- Jesteście w samą porę – stwierdził Myss, dzwoniąc przy tym kolczykami.

Kale kiwnął głową.

- Zawsze jesteście punktualni.

- Godna podziwu cecha jak na więziennego szczura.

- Dlatego robicie z nami interesy.

- Tak, to jeden z wielu powodów – mruknął Myss. – Z pewnością.

Kale się uśmiechnął.

- Przynieśliście zapłatę?

- O tak. – Myss wydał z siebie syczący bulgot, który mógł być śmiechem, i wyciągnął szponiastą rękę, wskazując na pustą podłogę przed sobą. – Nie widzicie?

Trig wyczuł, a może tylko wyobraził sobie, że jego brat zeszywniał, przygotowany na kłopoty i starał się skłonić go siłą woli, by zachował spokój. Wydawało się, że przynosi to efekt, przynajmniej na razie. Kale stał wyprostowany i patrzył przed siebie. Robił wszystko, żeby jego głos był spokojny i opanowany.

- To jakiś żart?

- Może i żart. – Myss popatrzył na delphaniańskich piechurów stojących po



obu jego stronach, którzy szczyrzyli zęby w szyderczym chichocie. – A może po prostu nie rozumiecie naszego poczucia humoru.

- Nasza umowa z Sixstusem...

- Sixtus nie żyje.

Kale utkwiał w nim wzrok.

- Co?

- Straszna tragedia. – Myss mówił niemal szeptem, a syczący odgłos towarzyszący, słowom, jak zauważył Trig, był niewątpliwie śmiechem, któremu towarzyszył metaliczny brzęk kolczyków. – ISW Wembly znalazł go dziś rano w jego celi z podeźniętym gardłem. Teraz ja jestem tu szefem. – Zawiesił głos. – I niestety warunki naszej umowy uległy zmianie.

- Nie możecie tego zrobić – wtrącił Trig, nie mogąc się pohamować. – Sixtus i nasz tata...

- Dobrze, w porządku – powiedział Kale, wciąż nie spuszczać wzroku z Myssa a jego głos brzmiał zupełnie spokojnie. – Jest mi tylko przykro, że sprawy tak się potoczyły.

Myss wydawał się autentycznie zaciekawiony.

- Ach, tak?

- To wszystko jest niepotrzebne. – Kale mówił tak swobodnie, że można było niemal odnieść wrażenie, jakby słuchało się ich ojca. Ta sama melodyjna modulacja, oznaczająca: "Jakoś się dogadamy", pozwalająca im wykaraskać się z wielu ryzykownych transakcji w przeszłości. – Wypracowaliśmy sobie obopólnie korzystne relacje i byłoby szaleństwem narażać je na szwank jakimiś pochopnymi decyzjami.

- Pochopnymi decyzjami?

Kale machnął ręką.

- Oczywiście z przyjemnością i za darmo powiemy wam, gdzie znajdują się blastery i zasobniki energii. Niech to będzie, wraz z gratulacjami, mój prezent dla nowego przywódcy Gangu Facjat. A potem rozejdziemy się w pokoju i wrócimy do interesów, kiedy indziej.

- Hojna oferta. – Myss przez dłuższą chwilę zdawał się rozważać ten pomysł. – Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

Myss spojrzał na delphaniańskich więźniów stłoczonych wokół niego.

- Obiecałem już moim ludziom, że będą mogli was zabić.

- Rozumiem. – Kale wydał teatralne westchnienie. – W tej sytuacji chyba nie ubijemy interesu, co?

- Też tak myślę.

- Chyba pozostaje już tylko jedno do zrobienia.

Myss uniósł nieznacznie podbródek.

- Co takiego?

Na razie nikt się nie ruszał, a Trig nie miał pojęcia, co się szykuje. Nagle, zanim się zorientował, ręka Kale'a przecięła powietrze, poruszając się z taką prędkością, że Trig nie mógł nawet jej dojrzeć, a palce brata zacisnęły się wyrwały kolczyki z twarzy Myssa.

Delphanianin krzyknął z zaskoczenia i z bólu, a jego ręka pofrunęła w górę, by zasłonić okaleczone, tryskające krwią wargi i nos. Równocześnie dwóch więźniów po jego bokach skoczyło do przodu, a Kale złapał brata za ramię, obrócił go gwałtownie i pchnął w kierunku, z którego przyszli.

- Biegiem – krzyknął i popędzili, Trig przodem a za nim Kale, z powrotem w górę korytarza, którym dopiero co schodzili. Za nimi buty Delphanian tupotały o metalową podłogę, a Trig słyszał ich zbliżające się głosy. Nie mieli najmniejszych szans, żeby im uciec. A gdyby nawet jakimś dziwnym zrządzeniem losu zdołali umknąć, Aur Myss będzie na nich czekał jutro i pojutrze i ...

Wybiegając z za zakrętu, Trig omal nie wpadł na strażnika stojącego przed nimi. ISW uniósł odruchowo obie ręce w powstrzymującym geście, a nagłe hamowanie, które uchroniło Triga przed staranowaniem go, spowodowało, że po chwili z tyłu wpadł na niego Kale.

- Co tu się dzieje? – spytał strażnik.

- Nic, proszę pana, my tylko... – zaczął Trig i przyszło mu do głowy, że właściwie strażnicy nie powinni się zapuszczać tak daleko w głąb korytarzy.

I wtedy, pomiędzy uderzeniami własnego serca, zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze.

Na „Czystce” panowała zupełna cisza.

Wibracje, które tak go drażniły, wprawiając w drżenie nogi od stóp po kolana, całkowicie ustały.

Po raz pierwszy, od kiedy wszedł na pokład, silniki stanęły.

## ROZDZIAŁ 4

# PUNKT MEDYCZNY

- Hej, Odpad – odezwała się Zahara Cody. – Jesteśmy już na miejscu?

Android chirurg 2-1B popatrzył na nią tępym wzrokiem. Był właśnie w trakcie wstrzykiwania dawki kolto w lewe ramię Duga, leżącego na zbyt dużym łóżku szpitalnym pomiędzy nimi. Już w parę sekund po zastrzyku Dug zwinął się i przetoczył na

plecy, wyciągając dolne kończyny poza prześcieradło, a następnie zeszywniał i zapadł w bardzo przekonujący stan stężenia pośmiertnego.

- Gratulacje – powiedziała Zahara. – Właśnie go zabiłeś. Wygląda na to, że zaoszczędziłeś Imperium kolejne czterysta kredytów. – Nachyliła się poklepała androida chirurgicznego po ramieniu. – Dobra robota. Masz smykałkę do pracy zespołowej.

2-1B spojrział na nią jakby z niepokojem.

- Ale ja nie...

- Zrobię szybkie badanie, żeby potwierdzić czas zgonu. – Zahara pochyliła się i przetoczyła Duga na bok, aż z hukiem spadł z łóżka. Po chwili więzień podniósł się z jękiem niezadowolenia i wdrapał z powrotem na swoje pościele, skąd rzucił jej nienawistne spojrzenie i wymamrotał pod nosem jakieś mroczne przekleństwo.

- Wygląda na kolejne cudowne uzdrowienie – powiedziała z uśmiechem Zahara. – Jeszcze jeden z twoich licznych talentów, jak widać.

- Wyjątkowo nieregularne podejście – wyrecytował Odpad, a głęboko pod pancerzem jego korpusu coś szczyknęło i zaterkotało. – Czy nie uważa pani, że z uwagi na nieustanne skargi pacjenta należałoby przeprowadzić dodatkowe badania?

- O ile się nie mylę, akurat ten pacjent narzeka głównie na jedzenie. – Zahara spojrzała na Duga. – No i może na któryś z kilkunastu więziennych gangów, które chcą go skrócić o głowę za niespłacone długi. Mam rację, Tugnut?

Dug warknął i machnął ręką w geście, który przekraczał bariery językowe a następnie powrócił do udawania własnej śmierci.

- Przeprowadź androida sanitariusza – powiedziała Zahara. – Niech go zabierze z powrotem do celi. – Spojrzała znów na 2-1B. – Zdajesz sobie sprawę, że jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie?

- Proszę?

- Czy jesteśmy już na miejscu?

- Doktor Cody, jeśli ma pani na myśli przewidywany czas przylotu na księżyc więzienny Gradient Siedem...

- „Czystka” to barka więzienna, Odpad. Dokąd niby mielibyśmy lecieć? W Niezbadaną Przestrzeń? – Czekala cierpliwie, aż 2-1B uraczy ją jednym ze swoich beznamiętnych, surowych spojrzeń. W ciągu minionych trzech miesięcy, które spędziła, pracując z androidem, Zahara Cody zaczęła uważnie obserwować jego reakcje i je „kolekcjonować”, tak jak niektórzy ludzie kolekcjonują rzadkie pseudogenetyczne gatunki polimorfów czy świecidełka pochodzące ze starych, przedimperialnych kultur. – Wylecieliśmy już z hiperprzestrzeni. Nasze silniki nie pracują od prawie godziny. To może oznaczać tylko jedno, prawda? Musimy już być na miejscu.

- Prawdę mówiąc, pani doktor, moje połączenie z komputerem nawigacyjnym wskazuje, że...

- Hej, pani doktor. – Czyjś beczelny paluch wysunął się zza pleców Zahary i dźgnął w okolice dolnej partii kręgosłupa. – Dolecieliśmy?

Zahara obejrzała się na devaroniańskiego więźnia, rozciągniętego na boku na sąsiednim łóżku i zaraz odwróciła się z powrotem w stronę androida chirurgicznego.

- Widzisz, Odpad? Wszyscy o to pytają.

- Ale poważnie, pani doktor. – Devaronianin stęknął, zerkając na nią melancholijnie. Jego prawy róg był w połowie ułamany, co nadawało twarzy dziwnie asymetryczny wygląd. Macał się po brzuchu i pojękiwał. – Jedna z moich wątrób szwankuje, czuję to. Może złapałem coś pod przysnicem.

- Czy mogę zaproponować bardziej prawdopodobną diagnozę? – 2-1B uwijał się z zapalem wokół Zahary, zmieniając już narzędzia w swoich serwochwytakach a wewnętrzne komponenty jego komputera diagnostycznego migotały pod osłoną korpusu. – W pańskim gatunku urazy wątroby nie należą do rzadkości. W wielu wypadkach zawartość srebra we krwi skutkuje niedoborem tlenu z uwagi na niewielkie za-  
miłowanie do rekreacyjnego wykorzystania...

- Hej, interfejs. – Devaronianin usiadł na łóżku, nagle wyglądając jak okaz zdrowia i złapał 2-1B za cęgi. – Coś ty powiedział o moim gatunku?

- Spokojnie, Gat. On nie miał nic złego na myśli. – Zahara położyła dłoń na przegubie więźnia, dopóki nie puścił androida. Potem zwróciła się do 2-1B: - Odpad, idź lepiej sprawdzić, co się dzieje z Trandoshaninem w B-17. Znowu mu podskoczyła temperatura i nie podobały mi się ostatnie wyniki białka dziś rano. Wątpię, żeby dożył jutra.

- Ach tak, zgoda. – Android się rozpromienił. – Według oprogramowania, które otrzymałem w Państwowej Akademii Medycznej na Rhinnal...

- Dobrze. Widzimy się na popołudniowym obchodzie, tak? 2-1B zawahał się, jakby przez chwilę bawiła go myśl, że mógłby się sprzeciwić a potem odszedł, cmo-  
kając cicho do siebie w konsternacji. Zahara patrzyła jak kroczy na patykowatych  
nogach i nieproporcjonalnie dużych stopach pomiędzy rzędami łóżek, które zajmowa-  
ły ambulatorium po jednej i po drugiej stronie. Tylko połowa z tych łóżek była zajęta  
ale to i atak było więcej, niżby sobie życzyła. Jako naczelny lekarz na „Czystce” wie-  
działa, że znaczna część jej pacjentów przez cały czas oszukuje albo przeciągając  
pobyt w ambulatorium albo też od początku symulując, żeby tylko wyrwać się z bloku  
głównego. Ale to była długa podróż i zapasy zaczynały się kończyć. Nawet z pomocą  
2-1B perspektywa sytuacji kryzysowej...

- Wszystko gra, pani doktor?

Spojrzała w dół i zorientowała się, że Devaronianin patrzy na nią ze swojego  
łóżka, gładząc nonszalancko swój złamany róg.

- Słucham?

- Pytałem, czy wszystko w porządku. Wygląda pani, czy ja wiem...

- Nic mi nie jest, Gat, dzięki.

- Hej! – Więzień spojrzał w kierunku w którym oddalił się android chirurg. –  
Ten kubeł ze śrubami nie będzie mi miał za złe, jak pani myśli?

- Kto, Odpad? – Uśmiechnęła się. – Wierz mi, to wzór naukowego obiektyw-  
izmu. Podaj mu garść mglistych symptomów a będzie twoim najlepszym przyjacielem.

- Naprawdę pani myśli, że już dolecieliśmy?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Wiesz jak jest. Nikt mi nic nie mówi.

- No tak – powiedział Devish i zaśmiał się w kułak. Wśród pasażerów barki  
krążyło kilka najczęściej powtarzanych zdań. „Dolecieliśmy już?” i „My to mamy

jeść?” należały do pierwszoplanowych, ale „Nikt mi nic nie mówi” również cieszyło się sporą popularnością. W ciągu miesięcy służby także Zahara przyswoiła sobie te zwroty ku niezadowoleniu naczelnika i wielu spośród ISW z których większość uważała się za przedstawicieli wyższego gatunku.

Zahara wiedziała, co o niej mówili. Strażnicy raczej nie bawili się w subtelności. Za długo siedziała w ambulatorium z szumowinami i androidami, więc dziewczynka z bogatego domu wyzbyła się dobrych manier. Wolała towarzystwo więźniów i syntetyków od takich jak ona: strażników więziennych i szturmowców. Większość strażników przestała w ogóle z nią rozmawiać po historii sprzed dwóch tygodni. Właściwie nie miała o to do nich żalu. Tworzyli niezwykle hermetyczną grupę i wydawali się funkcjonować według grupowego myślenia, co budziło w niej odrazę.

Nawet więźniowie – jej stali klienci, którzy widywali ją na co dzień – zauważyli zmiany. Po tym, jak zaczęła spędzać więcej czasu, szkoląc Odpada i przygotowując 2-1B już nie do roli asystenta ale jej następcy. I chociaż nie dostała żadnej oficjalnej odpowiedzi od naczelnika, mogła zakładać, że dostał jej wymówienie.

Bądź co bądź wparowała do jego gabinetu i cisnęła mu je na biurko.

Nie było mowy, żeby mogła tu dalej pracować.

Nie po tym, co się stało z Vonem Longiem.

Wyobraźmy sobie dziewczynkę z zamożnej rodziny koreliańskich finansistów. Zapewnijmy ją, że o nic w życiu nie będzie musiała się martwić. Poślijmy do najlepszych szkół, tłumacząc, że czeka na nią miejsce w Intergalaktycznym Klanie Bankowym – wystarczy, że nie będzie rozrabiać. Trzymajmy ją pod kloszem i przestrzegajmy najwyższych standardów kultury i dobrych manier, przemilczając fakt, że wbrew temu, do czego przywykła, dziewięćdziesiąt dziewięć procent obywateli galaktyki jest głodne, chore i niewykształcone. Uznajmy za normę panowanie Imperium z jego osobliwym brakiem dyplomatycznego taktu, starając się nie dostrzegać coraz bardziej dokuczliwego uścisku pięści Lorda Vadera.

Mija piętnaście lat. Dziewczynka, teraz już kobieta, postanawia lecieć na Rhinnal studiować medycynę – najpaskudniejszą z nauk, którą lepiej pozostawić androidom, pełną krwi, ropy i zarazków, jakże odległą od tego, co zaplanowali dla niej rodzice. Postanawiają jednak się z tym pogodzić w nadziei, że to jedynie idealistyczny kaprys i że wkrótce mała Zahara zajmie z powrotem należne jej miejsce przy rodzinnym stole. W końcu jest młoda, ma jeszcze mnóstwo czasu.

Tyle, że sprawy potoczyły się inaczej. Po dwóch latach na Rhinnal Zahara spotyka chirurga dwa razy od niej starszego, pooranego zmarszczkami weterana setek misji humanitarnych poza światy Jądra, który otwiera jej oczy na prawdziwe potrzeby otaczającej ją galaktyki. Romans niedopasowanej pary przybiera spodziewany obrót, jednak nawet gdy dobiega kresu, Zahara nie potrafi zapomnieć obrazu, nakreślonego przez chirurga – fresku przedstawiającego porażającą nędzę istot, których rozpacz przekracza całkowicie jej zdolność rozumienia. Przypomina jej on o niezliczonych milionach ubogich, zarówno ludzi jak i nieludzi, o dzieciach umierających z



niedożywienia i chorób, podczas gdy wyższe sfery galaktyki tkwią w zamierzonej nieświadomości. Albo potrafisz z tym żyć, mówi jej chirurg pewnej nocy, która okazuje się jedną z ostatnich spędzonych razem, albo nie potrafisz.

Okazuje się, że nie potrafi. Po kolejnych odmowach ze strony rozmaitych organizacji charytatywnych, spowodowanych jej brakiem doświadczenia. Zahara podejmuje decyzję o pracy dla Imperium. Jej rodzina przyjmuje postanowienie bez entuzjazmu, ale aprobuje – przynajmniej to znana instytucja. Charakter jej pracy wprawia ich jednak w osłupienie i wściekłość. Nie ma mowy, żeby ich córka pracowała na imperialnej barce więziennej. Co za wstyd.

A jednak jestem tu, pomyślała teraz Zahara, królowa swojego miniaturowego państwa, księżna pustych łóżek i dziedziczka chronicznego bólu brzucha. Mimowolny obiekt pożądania setek sfrustrowanych strażników więziennych i emocjonalnie upośledzonych szturmowców. Dozownik leków odpowiedzialny za utrzymanie pasażerów imperialnej barki więziennej „Czystka” przy użyciu tak długo, dopóki nie zostaną osadzeni na stałe na jakimś odległym więziennym księżycu.

Ironia losu oczywiście polegała na tym, że za jakiś standardowy tydzień, kiedy w końcu dotrą na miejsce, miała wrócić do rodziców – jeśli nawet niekoniecznie z podkulonym ogonem, to w dosyć zbliżony sposób. Jej matka skrzywi się i zacznie kręcić nosem, brat będzie z niej szydził, ale ojciec weźmie małą córeczkę w ramiona i kiedy minie odpowiedni okres, jej pokuta się wypełni i zostanie ponownie przyjęta do stada. A czas, który spędziła na barce, stanie się tym, czym miał być od samego początku – młodzieńcza przygoda, tematem uroczych anegdotek opowiadanych podczas obiadów dla dyplomatów. Nie uwierzycie, jak nasza córeczka postanowiła spędzić młodość...

Patrząc teraz na ambulatorium, Zahara poczuła lekki dreszcz niepewności. Spróbowała się go pozbyć, ale jak większość aspektów jej osobowości, nie dawał łatwo z wygraną.

Zamiast tego w jej pamięci pojawił się znów, nieproszony, obraz Vona Longa: jego zakrwawiona twarz w chwili, kiedy próbował do niej mówić przez respirator, kiedy chwycił ją obiema dłońmi za rękę, prosząc, by mógł zobaczyć po raz ostatni swoich synów. Błagał ją, żeby ich przyprowadziła, tak by mógł z nimi porozmawiać na osobności. Chwilę później wyczuła za plecami zagrożenie a gdy się odwróciła, ujrzała Jaretha Sartorisa – na tyle blisko, że czuła zapach jego skóry, kiedy cedził słowa przez wąskie, prawie nieruchome usta.

„Składa pani hołd, pani doktor?”

Longo umarł tego samego dnia a Zahara Cody postanowiła, że to jej ostania podróż na pokładzie „Czystki” – i ostatnia pod skrzydłami Imperium. Teraz musiała skontaktować się z rodzicami i powiadomić ich, że wraca do domu. Luksusowa odzież i piękne kryształy nigdy nie były jej priorytetem, ale przynajmniej będzie mogła spać w nocy. A wieczorami będzie siadać do kolacji z bogatymi i wpływowymi i zapomni o tym, co stało się z Vonem Longiem i Jarethem Sartorisem.

Czy tego właśnie chcesz?

Zahara się otrząsnęła. Tak czy inaczej, zakładała, że będzie mieć dużo czasu na podjęcie decyzji.

Tyle, że teraz silniki stanęły – nie pracowały już od ponad godziny.  
Z drugiego końca ambulatorium odezwał się głos kolejnego z więźniów:  
- Hej, pani doktor! Dolecieliśmy już?  
Tym razem Zahara nie odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ 5

# SŁOWO

Jareth Sartoris szedł wąskim przejściem wzdłuż kwater strażników, masując skronie. Bolała go głowa, co nie było tutaj niczym nowym, ten ból był jednak szczególnie – żelazny uścisk wokół płatów skroniowych, który sprawiał, że czuł się jak zatruty niskogatunkowymi neurotoksynami. Tłusty osad, jaki pozostał mu w gardle po śniadaniu, także nie poprawiał mu samopoczucia.

Nie spał już, kiedy nadeszło wezwanie od naczelnika. Ostatniej nocy pracował na trzecią zmianę, więc wczesnym rankiem padł na łóżko i zapadł w stan niespokojnej nieświadomości. Już po dwóch godzinach obudziła go nagła cisza i poczucie, że jego mocno zakorzeniony świat wypadł ze swojej orbity. Byli siedem standardowych dni od celu, więc dlaczego silniki zamilkły? Sartoris ubrał się, chwycił ze stołówki szklaneczkę chłodnego kawy i odgrzewany kotlet z banty i ruszył korytarzem do biura naczelnika, próbując zgromadzić w sobie wystarczająco dużo bezmyślnego impetu, by zaprowadził go tam, dokąd potrzebował.

Na prawo od niego otworzyły się drzwi turbowindy. Wyszło z niej trzech strażników – Vesek, Austin i jakiś wymuskany żółtodziób – którzy ruszyli krok w krok za nim. Musieli iść gęsiego, żeby zmieścić się swobodnie w korytarzu. Sartoris nie przystanął, nawet się na nich nie obejrzał.

- Zastanawialiśmy się z chłopakami – odezwał się Austin po pełnej szacunku chwili milczenia – czy pan kapitan mógłby, no, wie pan... trochę nas oświecić, co jest grane.

Sartoris pokręcił głową, wciąż się nie odwracając.

- O co chodzi?

- Słyszałem, że wysiadły nam oba silniki – wtrącił Vesek. – Podobno stoimy gdzieś pośrodku Nieznanych Regionów i czekamy na holownik.

Austin zachichotał.

- Barka pełna zostawionych na pastwę losu skazańców. Na pewno jesteśmy priorytetem dla Imperium.

- Nie gadaj – burknął Vesek. – Może nas tu zostawiają, żebyśmy sobie dryfowali, co?

- Spytaj świeżaka. – Austin wskazał na wymuskanego strażnika idącego przed nim. – Hej, Armitage, myślisz, że nas uratują? – Zaśmiał się, nie czekając na odpowiedź młodzieńca. – Jemu pewnie by się to spodobało. To pasuje do jego artystycznej duszy, nie, Armitage?

Nowy po prostu go zignorował i szedł dalej.

- Ile czasu spędziłeś dziś rano nad tą fryzurą, świeżak? Myślisz, że doktor Cody zwróciła na ciebie uwagę?

- Dobra, dobra. – Sartoris rzucił im kuse spojrzenie. – Dostyc już tego jazgotu, zrozumiano?

Przez resztę drogi do biura naczelnika nikt się nie odezwał.

Biuro Klotha było urządzone tak, aby sprawiało wrażenie większego niż było w rzeczywistości – jasne kolory, holomurale i ogromny prostokątny iluminator wychodzący na rozgwieźdżony bezmiar kosmosu – jednak Sartorisowi paradoksalnie zawsze wydawało się przytłaczające. Jakiś czas temu zauważył przepalony piksel w rogu pustynnego krajobrazu nad biurkiem Klotha, jak spuszczone oczko w cyfrowej tkaninie. Od tego czasu coś w tej technologii z drugiej ręki jakby go uwierało; miał nieustanne wrażenie, że jego oczy są zwodzone fałszywym poczuciem przestrzeni.

- Na początek złe wieści – powiedział Kloth. Stał w swojej normalnej pozie, z rękami splecionymi na plecach i wzrokiem skierowanym na iluminator. – Nasze silniki są poważnie uszkodzone. Prawdopodobnie nie nadają się do naprawy. A jak z pewnością wiecie, znajdujemy się wciąż o siedem standardowych dni od celu naszej podróży.

Jeden ze strażników, zapewne nowy, wydał z siebie ledwo słyszalny jęk. Sartoris usłyszał go tylko dlatego, że stał tuż obok.

- Jednak – ciągnął naczelnik – jest też dobra wiadomość.

Kloth odwrócił się powoli w ich stronę. Na pierwszy rzut oka jego twarz miała zwykły, biurokratycznie oschły wyraz: lekko wygięta, kanciasta górna warga, szara oprawa oczu i niebieskawe wory świeżo ogolonych policzków. Dopiero po spędzeniu z nim dłuższego czasu można było dostrzec miękkość kryjącą się pod tą skonstruowaną z rozmysłem zewnętrzną powłoką – pozbawione kręgosłupa, galaretowate stworzenie, przepełnione drżącą obawą przed wyciągnięciem na zewnątrz i zdemaskowaniem.

- Wygląda na to, że komputer nawigacyjny rozpoznał imperialny statek - powiedział Kloth – a ściśle rzecz biorąc, gwiazdny niszczyciel, w tym samym układzie.

Wprawdzie nasze próby nawiązania z nim kontaktu pozostały bez odpowiedzi, jednak wystarczy nam mocy, żeby do niego dotrzeć.

Zrobił przerwę, najwyraźniej w oczekiwaniu na aplauz czy chociaż wyrażające ulgę westchnienia, jednak Sartoris i pozostali tylko się na niego gapili.

- Niszczyciel? – spytał w końcu Austin. – I nie odpowiada na nasze sygnały?

Kloth przez chwilę milczał i w skupieniu pocierał palcem podbródek w geście niezadowolenia; Sartoris widział ten gest tysiące razy, aż wreszcie zaczął w nim budzić szczególną odrazę.

- To nie wszystko – powiedział. – Według naszych bioskanów na pokładzie jest tylko garstka żywych organizmów.

- Ile to jest garstka? – zaciekawiał się Vesek.

- Dziesięć, może dwanaście istot.

- Dziesięć albo dwanaście? – Vesek pokręcił głową. – To wygląda raczej na problem ze skanerem. Niszczyciel może przewozić ponad dziesięć tysięcy ludzi.

- Dziękuję – odparł sucho Kloth. – Znane mi są standardowe specyfikacje imperialnej floty.

- Przepraszam, panie naczelniku. Ale albo nasza aparatura poważnie szwankuje, albo...

- Albo tam coś się stało. – To były pierwsze słowa Sartorisa w gabinecie. Zaskoczyła go szorstkość własnego głosu. – Coś, z czym nie chcemy się zmierzyć.

Wszyscy zwrócili wzrok w jego stronę. Przez chwilę, która wydawała się bardzo długa, nikt się nie odzywał. Wreszcie naczelnik odchrząknął.

- Co chce pan przez to powiedzieć, kapitanie?

- Nie sądzę żeby Imperium porzuciło gwiazdny niszczyciel na takim odludziu bez powodu.

- To prawda – zgodził się Austin. – Może...

- Wewnętrzna diagnostyka atmosfery nie wykazuje żadnych oznak znanych nam toksyn ani skażenia – powiedział Kloth. – Oczywiście zawsze istnieje możliwość, że nasze przyrządy błędnie wskazują liczbę żywych organizmów na pokładzie. Sprawdzamy wiele zmiennych: elektryczną aktywność mózgu, puls, ruch. Każda z nich może wypaczyć wyniki. W każdym razie... – Uśmiechnął się w zupełnie nieprzekonujący, teatralny sposób, jak gdyby niewidzialne haczyki uniosły kąciki jego ust. – Najważniejszy czynnik jest taki, że być może uda nam się zdobyć części zamienne do naszych silników i ruszyć w dalszą drogę, zanim zupełnie zawalimy harmonogram. W tym celu postanowiłem wysłać grupę zwiadowczą, w której skład wejdą kapitan Sartoris, ISW Austin, Vesek i Armitage oraz mechanicy. Grupa sprawdzi, co da się uratować. Powinniśmy zadokować w przeciągu godziny. Jakies pytania?

Pytań nie było, więc Kloth odprawił ich we właściwy sobie sposób – odwrócił się do nich plecami i pozwolił im poszukać wyjścia. Sartoris już miał pójść w ich ślady, ale zatrzymał go głos naczelnika.

- Kapitanie?

Zatrzymując się w drzwiach, Sartoris zaczerpnął powietrza i poczuł, że ból w jego głowie zmienia się w głuchy łomot gdzieś w zatoce czołowej, jak olbrzymi zakażony, pulsujący ząb. Drzwi się za nim zamknęły i pozostali we dwóch w przestrzeni,

która wydawała się dziwnie ciasna.

- Czy źle robię, wysyłając pana z tymi ludźmi?

- Nie rozumiem, panie naczelniku.

- Panie naczelniku? – Na ustach Klotha pojawił się cień wcześniejszego uśmiechu. – Już dawno tego od pana nie słyszałem, kapitanie.

- Ostatnio rzadko się widzimy.

- Zdaję sobie sprawę, że ta podróż może być dla pana szczególnie... trudna – powiedział Kloth, a Sartoris modlił się, żeby tylko nie zaczął znów pocierać podbródka. W przeciwnym razie kapitan mógłby ulec pokusie walnięcia go prosto w tę nadętą, niezadowoloną twarz. – Po tym, co stało się dwa tygodnie temu, spodziewałem się, że obok rezygnacji doktor Cody znajdzie się i pańska.

- Dlaczego?

- Widziała, jak z zimną krwią zabił pan więźnia.

- Jej słowa są tyle samo warte, co moje.

- Takie przestarzałe techniki przesłuchań nie są już dobrze widziane, kapitanie. Imperium traci przez pana więcej informacji, niż zyskuje.

- Z całym szacunkiem, panie naczelniku, Longo był nikim, zwykłym cwaniaczkiem...

- Tego się dowiemy, prawda?

Sartoris zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w dłoń, powodując ostry ból.

- Chce się pan mnie pozbyć ze swojego statku, naczelniku? Wystarczy jedno słowo.

- Wręcz przeciwnie. Może pan potraktować tę misję, jako szansę odkupienia. Jeśli nie w moich oczach, to z pewnością w oczach Imperium, któremu obaj tak wiele zawdzięczamy. Czy to jasne?

- Tak jest.

Kloth odwrócił się i wbił wzrok w kapitana, jakby w poszukiwaniu jakiś oznak sarkazmu lub szyderstwa. W ciągu dziesięcioleci swojej służby Jareth Sartoris dotarł na sam kraniec galaktyki i nieraz żył w warunkach, jakich nie życzyłby najgorszemu wrogowi. Musiał spać w takich miejscach i popełniać czyny tak ohydne, że oddałby niejedną część ciała, żeby móc o nich zapomnieć. To proste „tak jest” nie było gorsze od całej reszty.

- Zatem rozumiemy się? – spytał Kloth.

- Doskonale – odparł Sartoris. Kloth odwrócił się do niego plecami w samą porę. Biuro naczelnika było największym pomieszczeniem na barce, jednak dla Sartorisa wydawało się i tak za małe. Kiedy wyszedł na chłodniejsze powietrze korytarza, zorientował się, że mundur ma zupełnie przeпоcony pod pachami.



## ROZDZIAŁ 6

# MARTWI CHŁOPCY

- Jak będziesz tak wypatrywał – powiedział Kale – to w końcu na pewno zobaczysz coś niedobrego.

- Już zobaczyłem. – Trig zajmował swoje zwykłe stanowisko w więziennej celi, wyglądając przez kraty. Po drugiej stronie korytarza dwóch rodiańskich więźniów, którzy siedzieli tam, odkąd on, Kale i ich ojciec zjawili się na pokładzie, rzucało mu złowrogie spojrzenia. Od czasu do czasu mruzcili do siebie w języku, którego Trig nie rozumiał i wskazywali na braci, wydając odgłosy, które brzmiały jak śmiech.

Ale teraz tylko patrzyli.

Minęły co najmniej dwie godziny, odkąd „Czystka” zupełnie stanęła. Trig nie wiedział, kiedy dokładnie to się stało. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie Imperium odbierało razem z wolnością – poczucie czasu. Na taką wiedzę więzień nie zasługiwał. Dlatego też Trig musiał polegać na swoim organizmie, który podpowiadał mu, kiedy jest pora jedzenia, snu i gimnastyki.

Teraz podpowiadał mu, że należy się bać.

Hałas dochodzący z innych części korytarza był głośniejszy niż zwykle. Stojąc przy kratkach, Trig był w stanie rozróżnić poszczególne głosy – więźniów, którzy pokrzykiwali w Basicu i tysiącu innych językach, żądając informacji, dlaczego barka stoi i jak długo potrwa, zanim ruszy w dalszą drogę. Odstępstwo od codziennej rutyny wywoływało u nich niepokój i dezorientację. Ktoś wołał o szklankę wody, ktoś inny domagał się jedzenia, jeszcze inny głos krzyczał i parskał histerycznym, jazgotliwym śmiechem. Słysząc było donośny basowy ryk – pewnie Wookiech, uznał Trig, chociaż te osobniki, które widział na barce z reguły się nie odzywały, chyba, że w sytuacji zagrożenia. Ktoś walił jakimś metalowym przedmiotem o ścianę celi - miarowe bam, bam, bam. Można od tego zwariować, pomyślał Trig, można kompletnie ześwirować.

- Dobra, dosyć tego! – rozległ się głos strażnika. – Następny gnój, który choćby piśnie, wyląduje w karczerze!

Chwila ciszy, ziewnięcie... a potem nerwowy chichot. Po nim kolejny, a na-

stępnie dziki, falsetowy wrzask. Wreszcie cały poziom więzienny wybuchnął gwarem, jeszcze głośniejszym niż wcześniej. Trig zakrył dłońmi uszy i odwrócił się w stronę korytarza. Nagle cofnął się zaskoczony.

- Wembly – sapnął. – Przestraszyłeś mnie.

- Dwaj martwi chłopcy – stwierdził ISW Wembly z prawdziwym żalem. – A tak was polubiłem. Porządne chłopaki. Nie żeby to miało jakieś znaczenie w tym zgniłym kuble na śmieci, ale... – strażnik westchnął. Był to otyły mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, o obwisłej twarzy, z żyłkami na nosie i głębokimi zmarszczkami pod wilgotnymi oczami. Z oczami, które były stworzone do płaczu, ustami stworzonymi do śmiechu a ramionami do tego, by nimi wzruszać. Wembly był zadziwiającym przykładem kompulsywnej ekspresji. – Będzie mi was brakowało, serio.

- O czym ty mówisz? – spytał Kale.

Rozległ się szcęk i zza pleców Wembly'ego zabręczał syntetyczny głos:

- Nie słyszeliście? Aur Myss wyznaczył dziesięć tysięcy kredytów nagrody za wasze głowy.

Trig spojrział na jednostkę typu BLX stojącą za Wemblym. Z jakiegoś powodu ten android roboczy przyplątał się do strażnika i wszędzie za nim łąził a Wembly z równie niejasnych przyczyn na to pozwalał. Teoretycznie, jako jeden z wyższych rangą strażników więziennych na pokładzie „Czystki”, mógł mieć androida asystenta, jednak Trig nie znał żadnego innego strażnika, łącznie z samym kapitanem Sartorisem, który by takiego asystenta tolerował.

- Dziesięć tysięcy? – wymamrotał Kale ze swojej pryczy. – Ma tyle?

- Tylko mi nie mów, że jesteś zaskoczony. – Wembly spojrział z bólem i splótł ręce na potężnym brzuchu, demonstrując niedowierzanie. – Wyrwałeś mu połowę twarzy, czego się spodziewałeś?

- Tę brzydszą połowę. – Kale rzucił się na pryczę ze stłumionym jękiem. – Pewnie teraz lepiej wygląda.

- Szczerze w to wątpię – wtrącił BLX. – Według mojego doświadczenia...

Wembly bez wahania przerwał androidowi:

- Lepiej wygląda, tak? Pamiętaj, żeby mu to wyjaśnić, kiedy jego sługusy będą wam podrzynać gardła. – Spojrział na drugą stronę korytarza, gdzie rodiańscy więźniowie obserwowali ich przez kraty. Nagle Trig zaczął rozumieć intensywność ich spojrzeń. Podejrzewał, że w myślach już wydają te dziesięć tysięcy kredytów.

- Hej, Wembly, przecież jesteś strażnikiem – odezwał się. – Czy to nie znaczy, że masz nas pilnować?

- To dobre, mały, zapisz to sobie. Jakbyś jeszcze nie zauważył, powstrzymanie was, wykolejeńców, przed wybijaniem się nawzajem nie leży w zakresie naszych obowiązków. – Wyciągnął pulchną dłoń, wskazując pozostałą część pokładu więziennego. – Jeśli chodzi o waszych kolegów, gdy tylko ruszymy, to będzie jak wyrok na wasze biedne szyje.

- I nie możesz nic zrobić? – zapytał Trig.

- Hej, przecież was ostrzegłem, prawda?

- Tak, to prawda – zawtórował BLX. – I to nie bez narażania naszego bezpieczeństwa. Gdyby kapitan Sartoris dowiedział się...

- Posłuchajcie – powiedział Wembly, zniżając głos w niemal przeproszającym tonie. – W tej chwili mam większe zmartwienia. Wysyłamy oddział abordażowy na pokład gwiazdowego niszczyciela. Naczelnik nic nie mówi, ale...

- Zaraz, zaraz – odezwał się Kale. – Jakiego gwiazdowego niszczyciela?

- Komputer pokładowy wykrył dryfujący wrak. Właśnie do niego zadokowaliśmy. Kloth wysłała oddział po części. Jeśli nie znajdą nic, żeby uruchomić główne silniki, kto wie, jak długo będziemy tu tkwić?

- To mi przypomniało, proszę pana – powiedział BLX – że o ile się nie mylę, po południu czeka mnie kąpiel w oleju. Czy obejdzie się pan bez mojej pomocy przez godzinę albo dwie? W przeciwnym razie mogę zawsze...

- Nie spiesz się – odparł sucho Wembly, po czym odwrócił się znów do Kale'a i Triga. – Słuchajcie, muszę spadać. Zróbcie to dla mnie i nie wychylajcie się przez jakiś czas, co? Postaram się, żeby nic wam się nie stało, dopóki nie dolecimy na miejsce.

Kale kiwnął głową.

- Dzięki – powiedział i tym razem jego wdzięczność wydawała się szczerą. – Wiem, że ryzykujesz, przychodząc do nas. I doceniamy to, prawda Trig?

- Co? – Trig podniósł wzrok. – A, tak. Pewnie.

Strażnik pokręcił głową i spojrzał znów na Kale'a.

- Uważaj na niego, dobra?

- Cały czas.

Wembly zacisnął wargi.

- Wpadnę jeszcze, jak będę miał ochotę posłuchać wyzwisk. O ile będziecie jeszcze żyli, w co wątpię. – Odwrócił się i poczłapał, nucąc pod nosem. Kragły mężczyzna, którego figurę łączyła z żyroskopową naturą galaktyki jakaś szczególna zależność. BLX podążył posłusznie za nim. Kiedy strażnik i android zniknęli za rogiem, Trig skierował znów wzrok na cele naprzeciwko.

Po drugiej stronie korytarza Rodianie wciąż się w niego wpatrywali.

## ROZDZIAŁ 7

# NISZCZYCIEL

Sartoris poprowadził grupę z poziomu administracyjnego przez sterownię do szybu dokującego. Ciasnota tego cylindrycznego pomieszczenia powodowała u niego ściskanie w gardle, zwłaszcza teraz, gdy otaczało go dziewięciu ludzi – Austin, Vesek, Armitage, czterech mechaników i dwóch szturmowców, którzy wparowali w ostatniej chwili, jakby byli panami wszechświata.

Kloth po namyśle zdecydował się wysłać szturmowców; rozkazał im dołączyć do oddziału abordażowego tuż przed wyruszeniem. Sartoris zastanawiał się, dlaczego naczelnik zmienił zdanie. Jeśli na pokładzie niszczyciela było coś, czego powinni się obawiać, to dwóch szturmowców niewiele pomoże.

Ale nie ma tam niczego takiego, powtarzał sobie w myślach Sartoris. Wrzucił tę myśl jak kamyk do głębokiej studni podświadomości i czekał, aż usłyszy stosowny plusk. Odpowiedziała mu jednak tylko cisza, co nie było szczególnie uspokajające.

Podnośnik unosił ich powoli w górę a Sartoris obserwował, jak bladezielone światła ślizgają się po twarzach jego towarzyszy i szukał jakiegoś odbicia własnych lęków. Ale ich twarze wyrażały jedynie obojętną neutralność i mdłe posłuszeństwo. Sartoris pomyślał, że powinien być wdzięczny za strażników, którzy po prostu wykonują rozkazy, zamiast kwestionować ich zasadność. W przeszłości pracował już z jednymi i drugimi i nieodmiennie wołał towarzystwo tych pierwszych – przynajmniej do tej pory. O dziwo, teraz jakaś jego częśćka z zadowoleniem przyjęłaby pewne opory, co do celu ich wyprawy.

Jak można się było spodziewać, ciszę przerwał wreszcie Austin.

- Jak pan myśli, kapitanie, co tam się stało, że na pokładzie jest tylko dziesięć żywych organizmów?

- Naczelnik powiedział, że nie ma skażenia – zaznaczył Vesek. – Więc to musi być jakaś awaria naszej aparatury.

- To dlaczego nie odpowiedzieli?

- Może nasz system łączności nawalił, tak samo, jak bioskanery.

- Niemożliwe. – Jeden z inżynierów, Greeley, pokręcił głową. – Łączność działa idealnie. Tak samo skanery. Wszystko sprawdzone. – Spojrzał w górę. – Po prostu statek widmo i tyle.

Austin popatrzył na niego.

- Co?

- Wrak, no wiesz, może uszkodzony, porzucony przez flotę. W Imperium się o tym nie mówi, ale są takie statki.

- A co z załogą?

- Ewakuowała się – odparł Greeley. – Albo... – Zwilżył usta i spróbował zbagatelizować sprawę. – Zresztą, kto to wie?

- Świetnie. – Vesek westchnął. – Unieruchomiony niszczyciel a my zamierzamy szukać na nim części. To cały Kloth. – Popatrzył na Sartorisa. – Mamy jakiś plan, kapitanie, czy idziemy na żywioł?

- Jak będziemy na miejscu – zapowiedział Sartoris – podzielimy się na dwie grupy po pięciu. Ty, Vesek, ja i Austin pójdziemy z Greeleyem... – wskazał na jednego z inżynierów i na drugiego, który stał obok - ...i Blandingsem. Pozostali, Armitage, Quatermass i Phibes, zostaną ze szturmowcami. Spotkamy się za godzinę przy szy-

bie dokującym.

- Nie chce pan, żeby jeden z nas poszedł z wami? – zapytał jeden ze szturmowców.

- A niby po co?

Szturmowiec wywinął w powietrzu swoim karabinem blasterowym.

- Tak na wszelki wypadek.

Sartoris wiedział, że Vesek i Austin patrzą na niego w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Myślę, że sobie poradzimy – odparł. – Zostańcie z grupą Armitage'a i dajcie znać, jak coś znajdziecie.

- A czego właściwie szukamy? – spytał Austin.

- Wgrałem listę części na wasze złącza danych razem ze szczegółowym rozkładem pomieszczeń i pokładów technicznych niszczyciela. Nie muszę wam mówić, że to duży statek. Przez cały czas utrzymujcie kontakt przez komunikatory. Nie chciałbym wysyłać ekip poszukiwawczych za moją ekipą poszukiwawczą. Wszystko jasne?

Platforma zatrzymała się, czekając, aż włąz ponad ich głowami rozsunie się z cichym hydraulicznym sykiem. Następnie uniosła się do samego końca, na płytę lądowiska.

Początkowo nikt się nie odzywał.

Sartoris sądził, że jest przygotowany na ogrom statku, ale po bitych dwóch miesiącach na „Czystce” był po prostu przytłoczony tym, co zobaczyli. Prawdę mówiąc, nigdy nie był na pokładzie niszczyciela, chociaż widywał okręty wojenne Imperium i zakładał, że ten będzie podobny, tylko większy. Ale nie był. Przypominał raczej odrębna planetę.

Szyb dokujący zaprowadził ich do durastalowej katedry przepastnego hangaru głównego. Jego sklepienie sufity i pokryte panelami ściany pięły się w górę i niknęły w obrazie wymuszonej perspektywy. Patrząc na te długie płaszczyzny, dążące w kierunku ledwo widocznego horyzontu, Sartoris uświadomił sobie, że to, co widzi, to mniej niż dziesięć procent z tysiąca sześciuset metrów długości niszczyciela. Musiał pamiętać o tej liczbie, jeśli nie chciał spędzić całego czasu na pokładzie, zmagając się z jego rozmiarami.

Wziął głęboki oddech – zimne powietrze smakowało jak metalowe wióry i miało sterylny zapach długołańcuchowych polimerów. Na kogoś z klaustrofobią to miejsce powinno działać jak balsam. Ale zamiast ulgi poczuł tylko nowy, nieznaną gatunek paniki, dygoczący w głębi żołądka. Tym razem była to reakcja na pozornie nieograniczoną kompensację czystej przestrzeni. Prychnął na myśl o absurdalności tej sytuacji. Najwyraźniej jednym skokiem pokonał drogę od klaustrofobii do agorafobii, nie dając sobie nawet chwili, by poczuć różnicę.

- Kapitanie?

Sartoris nie raczył się obejrzeć.



- O co chodzi, Austin?

- Z całym szacunkiem, panie kapitanie, myślę, że będziemy potrzebowali więcej niż godzinę, żeby to wszystko przeszukać.

- Trzymajmy się planu – odpowiedział. – Zaczniemy od godziny a potem zobaczymy. Meldujcie, jak zobaczycie coś niezwykłego.

- Całe to cholerstwo jest niezwykle - mruknął Austin a jeden z inżynierów, chyba Greeley, zachichotał cicho.

- Idziemy – rozkazał Sartoris. – Szybciej. Tracimy czas.

- Chwileczkę, kapitanie. – Vesek wyciągnął rękę w przeciwnym kierunku. – Co to jest? O tam?

Sartoris obejrzał się i zobaczył kilkanaście kształtów, najprawdopodobniej mniejszych statków szturmowych i desantowych, rozrzuconych po hangarze.

- Statki kosmiczne – odparł. – Myśliwce TIE, sądząc po wyglądzie.

- Tak, ale nie wszystkie wyglądają na TIE, szefie.

Sartoris przyjrzał się uważniej i zobaczył, że Vesek ma rację. Rzeczywiście były tam statki typu TIE ale wśród nich także cztery czy pięć innych jednostek - frachtowce dalekiego zasięgu i promy transportowe oraz coś, co mogło być zmodyfikowaną koreliańską korwetą.

- Zdobyte statki wroga – powiedział Sartoris, maskując niepewność zniecierpliwieniem. – Kto to wie? – Rzucił spojrzenie na Greeleya. – Czy któryś z nich może mieć części, których szukamy?

- Raczej nie.

- W takim razie... – Przerwał.

Wszyscy zobaczyli to równocześnie. Po drugiej stronie lądowiska coś poruszało się za myśliwcami TIE. Wychylało się z pomostu w ich stronę, rzucając coraz większy cień. Sartoris wyczuł, że za jego plecami szturmowcy sięgają po blastery.

- Co to? – wyszeptał Austin.

- Na terenie lądowiska nie wykryto żadnych żywych organizmów – powiedział Greeley lekko drżącym głosem. – Nie...

- Chwila. – Sartoris uniósł rękę, nie patrząc na nich. – Czekajcie tu.

Zrobił krok na przód, zagłębiając się w otaczającą go ciszę. Przechylił głowę, żeby mieć lepszy widok na słabo oświetlony hangar. Jego serce biło tak mocno, że czuł tętno w szyi i nadgarstkach. Kiedy chciał przełknąć ślinę, gardło odmówiło mu posłuszeństwa. Zdawało mu się, że ma usta pełne piasku. Tylko siłą woli powstrzymał się od zakasłania.

Stojąc w bezruchu, Sartoris wpatrywał się w postaci czające się w cieniach za myśliwcami TIE. Teraz zauważył, że jest ich kilka – pochylały się do przodu a ich chude kończyny były zakończone płaskimi dłońmi. Miarowym ruchom w górę i w dół towarzyszył znajomy jęk serwomechanizmów.

- Kapitanie – wymamrotał jeden ze strażników za jego plecami. – Czy to...

Sartoris wypuścił powietrze z wziętą głęboki oddech.

- Podnośniki binarne – powiedział. – Cały czas wykonują swoją pracę.

Gdy to mówił, jedna z jednostek CLL ukazała się w pełnej krasie. Przez moment stała niezdarnie przodem do nich, po czym obróciła się i podreptała z tupotem

do piętrzącego się za nią stosu skrzyń. Przenoszą tę samą stertę z jednego końca hangaru w drugi, pomyślał Sartoris. Tam i z powrotem, bez końca.

Usłyszał westchnienie i nerwowy chichot któregoś z członków grupy abordażowej. Sartoris nie zareagował. To byłoby jak przyznanie się, że jemu także ulżyło.

- Dostyc czasu już zmarnowaliśmy – powiedział. – Idziemy.

W głębi hangaru znaleźli poduszkowiec. Był to standardowy model użytkowy – toporna konstrukcja z chwytymi serwomechanicznymi ramionami z przodu i z tyłu, przeznaczona do transportu zbiorników paliwa. Ale kiedy wsiedli do środka, opadł na podłogę. Spod spodu wyskoczyła para przestraszonych robotów MSE i piszcząc niespokojnie, znikła w mroku.

- Przeciążenie – stwierdził Vesek z irytacją; w podtekście było „my to mamy szczęście”. – No to chyba idziemy pieszo.

Na początku nie było źle. Żeby dostać się na dolne pokłady techniczne, musieli pokonać ciąg szerokich, cichych korytarzy prowadzących przez środkową sekcję niszczyciela, aż wreszcie odnaleźli drogę do przepastnych magazynów poniżej głównego generatora mocy.

- Cholernie dziwne miejsce. – Głos Austina rozległ się echem w długim tunelu. – Jak myślicie, co tu się stało?

- Kto wie – odparł Vesek. – Tak czy owak, im szybciej się stąd zwiniemy, tym lepiej.

- Jestem za.

- Jedno wam powiem; nie chciałbym być w pobliżu Lorda Vadera, jak się dowie o porzuconym statku. Jak myślicie, ile kosztuje taki niszczyciel?

Austin prychnął.

- Więcej kredytów niż ty i ja zobaczymy w swoim życiu.

- Mówiłem wam, że widziałem go raz na żywo?

- Kogo, Vadera?

Vesek pokiwał głową.

- Mój transportowiec czekał na rutynową kontrolę. I nagle mojemu dowódcy puszczają zwieracze, zbiera nas na pokładzie załogowym i każe wszystko wypuścić na wysoki połysk. Zanim się obejrzałem, stoimy w szeregu w hangarze, ląduje jego transportowiec i wychodzi on.

- I jaki jest na żywo?

Vesek się zastanowił.

- Wysoki.

- Tak?

- A jak się na niego patrzy, to czuje się coś takiego, nie wiem... Jakiś taki chłód w środku. – Vesek się wzdrygnął. – Trochę tak jak tutaj.

- Dobra – powiedział Sartoris. – Dostyc tych żartów.

Ostatecznie jego uwaga okazała się niepotrzebna. Zanim dotarli na śródokręcie, rozmowy zupełnie zamarły i wszyscy pograżyli się w ponurej, pełnej zadumy ciszy.

Sartoris był właśnie pośrodku jednego z dolnych pokładów technicznych, kiedy zdał sobie sprawę, że po prostu nigdy nie mógłby się przyzwyczaić do tego miejsca.

Razem z Vesekiem błakali się po jednym z bocznych korytarzy, podczas gdy inżynierowie przetrząsali rozdzielnię energetyczną po drugiej stronie otwartego włazu. Słyszał, jak wyciągają i odrzucają kolejne części. Drugi ze strażników, Austin, przemierzał przyległy ciąg połączonych ze sobą pomieszczeń, rozwodząc się nad tym, że to wszystko zdaje się trwać od zawsze. Sartoris musiał przyznać mu rację.

Pustka na niszczycielu była dezorientująca i denerwująca – przemierzili już prawie kilometr otwartych korytarzy, przygotowani, że za każdym rogiem mogą natknąć się na ostatniego niedobitka, z bełkotem ślaniającego się na nogach. Jak dotąd jednak spotkali jedynie gromadki myszobotów i jednostek porządkowych, robotów sprzątających i instalacyjnych, które wykonywały swoją pracę, jak gdyby nic się nie stało. Jeden z nich – android protokolarny typu 3PO – omal nie oberwał z blastera, kiedy wszedł w drogę szturmowcom, wymachując rękami i papląc bez sensu.

Sartoris myślał o tym, co inżynier Greeley powiedział na temat statków widm. Mimo że cały czas był dopływ energii, że światła i tablice przyrządów były w pełni sprawne, nigdzie nie było ani śladu załogi czy dziesięciu tysięcy szturmowców, którzy powinni znajdować się na pokładach. Były tylko cisza, bezruch i pustka w bezmiarze przestrzeni, która ich otaczała.

- Znajdziecie tu wszystko, co trzeba? – krzyknął Sartoris i po chwili usłyszał echo swojego głosu w głębi korytarza. Inżynierowie nie odpowiedzieli. Spojrzał na Veseka. – Łączyłeś się z drugą grupą?

- Ostatnio nie.

- Sprawdź czy odpowiadają. Nie chcę tu za długo siedzieć.

Strażnik kiwnął głową i włączył swój komunikator.

- Armitage, tu Vesek, słyszysz mnie?

Odpowiedziały mu tylko trzaski.

- Armitage, mówi ISW Vesek. Czy mnie słyszysz? Gdzie jesteście?

Czekali obaj o wiele za długo, jak uznał Sartoris. Tym razem głos Armitage'a w końcu się odezwał, ale był niewyraźny i co chwila zanikał.

- ...laboratorium medycznym... kwadrat siedemna...

- Nie zrozumiałem, Armitage. Powtórz.

- ...w kadzi... – Reszta zginęła w fali białego szumu. Vesek pokręcił głową i spojrzał na Sartorisa.

- Odbieramy mnóstwo zakłóceń z niszczyciela.

Kapitan pokiwał głową, podszedł do włazu i zastukał w gródź.

- Greeley, długo jeszcze? – Wsadził głowę do środka, zatrzymał się wyteżył wzrok.

Inżynierowie zniknęli.

Nie licząc pozornie przypadkowej sterty elementów scalonych i wyróconych do góry dnem kartonów do pakowania, porzucanych po podłodze, pomieszczenie było zupełnie puste – a przynajmniej tak wyglądało. Sartoris poczuł, że spod jego

lewej pachy spływa w dół kropelka potu. W pomieszczeniu było za gorąco, cząsteczki powietrza były za bardzo zagęszczone.

- Greeley? Blandings?

Nie było odpowiedzi. W gardle Sartorisa wezbrała grudka – czyżby strachu? – i zatrzymała się poniżej mostka. Już nie żyją, podszeptał głos w jego głowie. Cokolwiek załatwiło załogę, ich też dorwało. Już jest za późno.

Bzdura, oczywiście. Nigdzie nie było śladów przemocy czy ataku, ale...

- Tutaj – odezwał się wreszcie Greeley, wstając zza jednego z kartonów, a po chwili w ślad za nim ukazał się Blandings. – Mam ostatnią. – Uniósł cieką szypułkę elektronicznej aparatury, niewiele dłuższa od jego palca i włożył ją do znalezionej pudełka. – Zwijajmy się.

- To wszystko? – Sartoris miał nadzieję, że jego głos brzmiał w miarę pewnie.

- Tak jest. Główna podkładka regulacyjna do czwartej serii silników klasy Thrive. Sprawdzona. Możemy iść.

- Na pewno?

Greeley posłał mu długie, zbolące spojrzenie, zarezerwowane dla tych, którzy kwestionowali jego opinie, choć w najdrobniejszych szczegółach.

- Tak, kapitanie. Raczej na pewno.

- Dobra, w porządku. – Sartoris się odwrócił. – Austin?

- Tak, kapitanie? – Głos strażnika dochodził z samego końca korytarza, z większej odległości, niż Sartoris się spodziewał. Jak daleko mógł zawędrować? Sartoris poczuł, jak na nowo wzbiera w nim złość, zalewając mózg czerwona falą. - Wracaj w tej chwili, idziemy stąd.

- Tak, ale... panie kapitanie... – Austin wciąż nie pojawiał się w korytarzu. – Musi pan to zobaczyć, to niewiarygodne... – Jego słowa przerwała seria krótkich, ostrych pokasływań a potem Austin wreszcie się wyłonił, kręcąc głową i zasłaniając usta. Kiedy w końcu złapał oddech i przestał kasłać, byli już w drodze powrotnej do głównego hangaru i Jareth Sartoris nigdy się nie dowiedział, co takiego zobaczył tam ISW Austin.

## ROZDZIAŁ 8

# WITRYNA Z PŁUCAMI

Armitage był artystą.

W rodzinnym domu na Faro wzbudzał zachwyty młodszego rodzeństwa niezliczonymi muralami wykonanymi aerografem, jednak w Imperialnej Straży Więziennej jego talent się marnował. Co najwyżej na prośbę kolegów malował kolejne wizerunki kobiecych kształtów lub co gorsza, maszyn – ich ukochanych śmigaczy, które pozostawili w domach. Armitage nie znosił malować maszyn i ta konieczność zupełnie zniechęciła go do sztuki... a to coś znaczyło w przypadku chłopaka, który kiedyś marzył o tym, żeby pójść do Pangalaktycznego Konserwatorium sztuki na Miele Novej.

Ale kiedy zobaczył to, co znajdowało się w Biolaboratorium 177 na pokładzie niszczyciela, wiedział, że musi to namalować.

Odłączył się na końcu korytarza od szturmowców i inżynierów, Phibesa i Quatermassa, pod pretekstem sprawdzenia magazynu na podpoziomie dwunastym, korzystając z pierwszej okazji, żeby się od nich uwolnić. W końcu ile można narzekać na jedzenie w stołówce albo rozprawiać o tym, którą część ciała Zahara Cody myje najpierw, kiedy bierze prysznic? A jeśli nie brał udziału w takich błyskotliwych konwersacjach, szturmowcy i strażnicy zaraz zaczynali mu dogryzać, pytać, co z nim jest nie tak i czy podoba mu się ta praca. A może wolałby pomagać Rebeliantom w planowaniu kolejnego tchórzliwego ataku na Imperium?

Przeszukanie biolaboratorium byłoby miłą odmianą, niezależnie od tego, jak okazałoby się nudne.

Ale w biolaboratorium nie było nudno.

Pierwszą rzeczą, jaką Armitage zauważył po wejściu, była kadź. Właściwie była to jedyna rzecz, jaką zobaczył, bo potem po prostu przestał się rozglądać. Jej zawartość była zbyt przytłaczająca i – w jakiś dziwny sposób – zbyt piękna, by przejść obok niej obojętnie.

Sama kadź była olbrzymia, długa na całą ścianę i wypełniona jakimś bez-



barwnym, bulgoczącym żelem. W żelu wisały dziesiątki różowych organizmów o dziwnych kształtach, podłączone kablami i rurkami do brzęczącej aparatury ustawionej w rzędzie obok zbiornika. Armitage przystanął i obserwował je w zdumieniu. Z daleka różowe przedmioty wyglądały jak nieprawdopodobna hybryda kwiatu, obranego owocu i embrionu jakiegoś gatunku skrzydlatego zwierzęcia, jakiego nigdy nie widział – przypominały gromadę małych obdartych ze skór aniołów.

Podszedł bliżej i uświadomił sobie, na co patrzy.

To były ludzkie płuca.

Jeśli nawet poczuł dreszcz obrzydzenia, to minął on tak błyskawicznie, że ledwo dał się zauważyć i natychmiast został zastąpiony głębszym i bogatszym uczuciem artystycznej fascynacji. W każdym płucach drogi oddechowe zostały starannie rozdzielone, tak aby zachować tchawicę a ponad nią krtań i wszystkie delikatne narządy mowy. Rury pompowały do płuc tlen, powodując ich rozszerzanie i kurczenie się w kąpiel z bezbarwnego płynu.

Armitage zrozumiał, że oddychają wszystkie razem.

Naliczył w kadzi trzydzieści trzy pary płuc, zanim dał sobie spokój z liczeniem. Każda para była oznaczona liczbami i datami w ramach jakiegoś zaniechanego naukowego eksperymentu, którego natury mógł się tylko domyślać.

Niektóre z płuc różniły się od pozostałych. Ich różową powierzchnię pokrywały gdzieś niedzie szare plamy, a ścianka mięśni spęczniała, przerośnięta szarą bliznowatą tkanką. Armitage przysunął się bliżej – zupełnie zapomniał o wszystkim innym – i wpatrywał się w nie. Oddychały coraz szybciej, czy tylko mu się wydawało? I czy on oddychał razem z nimi? Czuł się wciągnięty w miarowy, niemal hipnotycznie falujący rytm ich ruchów.

Jak zawsze, kiedy napotkał coś tak uderzającego, jego pierwszym pragnieniem było namalować to, uchwycić wszystko, co widział przed sobą. Nie tylko płucną kąpiel – niezły tytuł obrazu, pomyślał – ale także emocje, jakie odczuł, kiedy uświadomił sobie, na co patrzy. Podziw. Wstrząs. Wreszcie jakaś nieoczekiwana bliskość, jakby coś takiego widział już kiedyś we śnie.

Patrzył, jak płuca wciągają tlen przez rurki i zdał sobie sprawę, że oddychają teraz szybciej i głębiej. Gdzieś po drugiej stronie kadzi rozległo się piknięcie maszyny a potem kolejne. Armitage przyjrzał się uważniej i dopiero w tym momencie zauważył, że z płuc odchodzą gumowe rurki, które pompują gęstą, szarą ciecz do czarnych zbiorników w głębi laboratorium.

Po drugiej stronie kadzi zamigotały światełka ponad odległym zestawem aparatury kontrolnej. Płuca rozszerzały się i kurczyły, rozszerzały i kurczyły, coraz szybciej i szybciej.

Nagle, przy pełnym wdechu się zatrzymały.

I wszystkie razem krzyknęły.

Był to przenikliwy, wibrujący wrzask, który unosił się i opadał. Armitage cofnął się gwałtownie. Nigdy w życiu nie słyszał takiego krzyku. Zatkał uszy i schylił głowę. Nie chciał tu już dłużej być. Komunikator w jego hełmie zatrzeszczał – to któryś z pozostałych strażników próbował się z nim skontaktować, ale on nie bardzo potrafił przekazać, co się dzieje. Pragnął stąd uciec.

Wewnątrz kadzi wciąż rozlegały się wrzaskliwe dźwięki. Rury coraz szybciej pompowały szary płyn do czarnych zbiorników. Armitage zauważył, że do każdej krtani podłączony jest jakiś rodzaj wzmacniacza, który sprawiał, że głos brzmiał jeszcze donośniej. Zastanawiał się, kto badał akustyczne parametry tych płuc i po co. Zestaw monitorów za jego plecami rejestrował amplitudę krzyku i przedstawiał ją w formie serii matematycznych funkcji.

Odwrócił się w stronę drzwi.

I zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

## ROZDZIAŁ 9

# POWRÓT

- Nie rozumiem, kapitanie – powiedział Vesek. – Gdzie oni się podzieli?

Grupa Sartorisa przemierzyła lśniącą stalową płaszczyznę głównego hangaru i dotarła z powrotem do szybu dokującego, ale Armitage'a i jego towarzyszy nigdzie nie było.

Za plecami kapitan usłyszał znów kaszel Austina - suchy, oskrzelowy dźwięk zaczynał mu naprawdę działać na nerwy – i uznał, że ma tego dość. Wskazał kciukiem na szyb.

- Musieli pojechać bez nas – orzekł Sartoris. – Chodźmy.

Vesek i Austin weszli na czekający podnośnik, za nimi podążył Sartoris a na końcu Greeley i Blandings niosący pudło ze znalezionymi częściami. Szyb zamknął się szczelnie za nimi i platforma zaczęła się powoli opuszczać. Austin wciąż kasłał. Sartoris starał się nie zwracać na niego uwagi. Musiał przygotować raport na temat gwiazdnego niszczyciela dla naczelnika i nie był zachwycony tą perspektywą. Z pewnością Kloth będzie miał mnóstwo bzdurnych pytań o statek i o to, co tam widzieli. Każda minuta tej rozmowy będzie wyzwaniem dla cierpliwości Sartorisa. Zadawanie niepotrzebnych pytań było jednym z nerwowych niekontrolowanych zwyczajów naczelnika, które ujawniały się, gdy musiał podjąć decyzję i ...

- O nie - stęknął Geeley.

Sartoris podniósł wzrok.

- Co się stało?

Inżynier zaczął coś mówić, ale nagle upuścił pudło z częściami, złapał się za brzuch i zgiął w pół z gardłowym charkotem. Jego ramiona drgały w niekontrolowanych spazmach i Sartoris zrozumiał, że mężczyzna wymiotuje. Blandings i strażnicy, zaskoczeni, odsunęli się od niego z niesmakiem, ale wewnątrz szybu nie było zbyt dużo miejsca i w ciągu paru sekund odór wymiocin wypełnił go całkowicie.

- Przepraszam – powiedział Greeley, ocierając usta. – Paskudne żarcie z me-sy, nie da się...

- Nie ruszaj się. – Sartoris uniósł dłonie. – Umyjesz się, jak wrócimy na barkę.

- Nic mi nie jest, tylko... – Inżynier przełknął ślinę i wziął głęboki oddech. Jego czy i nos łzawiły a Sartoris usłyszał ciche rzęzenie w jego klatce piersiowej, kiedy zrobił krótki wdech. Nad jego uchem Austin zaczął znów kasłać.

- Kapitanie – odezwał się cicho Blandings, spoglądając w kierunku, z którego wracali. – Myśli pan, że tam mogło coś być?

- Nie wykryto skażenia – wypalił Sartoris, trochę za szybko. – Tak mówiłeś, prawda, Greeley?

Greeley pokiwał słabo głową, chciał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Jego skóra przybrała zielonkawy odcień i lśniła od cienkiej, oleistej warstwy potu. Po chwili padł na kolana tuż obok pudła z elektroniką i zwiesił głowę, tak, że niemal dotykała podłogi.

Zanim wróci lina barkę, Vesek i Blandings także zaczęli kasłać.

## R O Z D Z I A Ł 10

# SEGREGACJA

- Czekaj, już idę. – Zahara podążyła za 2-1B przez ambulatorium, zmierzając do łóżka, na którym strażnik o nazwisku Austin siedział skulony z głową między kolanami. Trafił tu z drugim strażnikiem i dwójką inżynierów mechaników. Odpad umiejętnie posegregował nowych pacjentów, przydzielił im łóżka i zajął się Austinem, który wydawał się w najgorszym stanie.

- Dzięki – powiedziała Zahara do androida. – Idź, zobacz, co z innymi. - Usiadła na łóżku obok Austina i nie czekając, aż zwróci na nią uwagę, spytała: - Jak się

pan czuje?

Spojrzał na nią lodowato.

- Chcę rozmawiać z androidem.

- Mój android chirurgiczny zajmuje się teraz pana kolegami – wyjaśniła Zahara. – Co wam się stało?

- A co to panią obchodzi?

- To moja praca. Ilu ludzi tam z panem było?

Austin nie odpowiedział. Bliźniacze strużki gęstych, żółtych smarków ciekły mu z nosa po obu stronach górnej wargi. Otarł je rękawem i zaczął znowu kasłać suchym, szarpiącym żebra kaszlem, zasłaniając usta ręką.

- Proszę posłuchać – odezwała się Zahara. – Mam też innych pacjentów, więc może przestanie pan stroić fochy i skupimy się na tym, jak panu pomóc.

- Niezły z pani numer – mruknął Austin. – Wie pani o tym?

- Słyszałam już gorsze określenia.

- Ci pani pacjenci. Założę się, że... – Przerwał mu kolejny atak kaszlu. Zahara odchyliła się, bo strażnik rozpyłał w powietrzu mikroskopijne kropelki. Po chwili odwrócił głowę, by znów na nią spojrzeć. – Założę się... że pani... – Znowu kaszel, tym razem mocniejszy. – Jest pani...

- Wie pan co – powiedziała – później będzie pan miał mnóstwo czasu na obzucanie mnie wyzwiskami. A teraz proszę się położyć, żebym mogła pana zbadać.

Austin pokręcił głową.

- Proszę przysłać androida.

Tego było już za wiele. Zahara wstała.

- Jak pan chce.

- Kapitan Sartoris miał rację co do pani – rzucił, gdy odchodziła.

- Słucham?

- Ma pani słabość do więźniów. Założę się, że gdybym był nędzną rebeliancką szumowiną, traktowałaby mnie pani jak najważniejszego pacjenta. Jak tylko któryś z nich chce się wyzalić, pani zawsze roni łzy ze współczuciem.

- Coś podobnego. – Czuła się niemal w obowiązku okazać mu, jaka jest zła. – Pański kapitan naprawdę dobrze mnie zna, co?

- To porządny facet.

- Jasne – powiedział swobodnie. – Zabijanie więźniów to prawdziwy powód do dumy.

Austin zakasłał gwałtownie, po czym odchrząknął i płytko odetchnął.

- Nie pani o tym decydować.

Zahara odwróciła się znowu w jego stronę.

- Coś panu powiem o pańskim bohaterskim kapitanie. Miał problemy na długo przed tym, co stało się z Vonem Longiem. Nawet naczelnik o tym wiedział. Nieważne, kim był wcześniej. Teraz jest wypalonym wrakiem człowieka, cierpiącym na klaustrofobię socjopatą z ... – Przerwała, widząc przebiegły uśmiezek pacjenta. Potwierdziła wszystkie jego podejrzenia. – To, co kapitan Sartoris zrobił z Longiem tutaj, w moim ambulatorium, było tylko końcowym etapem długiego i bolesnego upadku.

- I wtedy właśnie go pani polubiła, tak? – spytał Austin z tym twardym uśmie-

chem wciąż przyklejonym do niezdrowo wyglądającej twarzy. – Lubi pani zranionych i potrzebujących. To na panią działa, prawda?

Poczuła, że robi się czerwona i była pewna, że Austin też to zauważył.

- Skoro pan tak mówi.

- Nie tylko ja.

- Pani doktor? – odezwał się syntetyczny głos. – Czy jest pani wolna?

Odwróciła się i zobaczyła 2-1B, który dawał jej znaki z drugiego końca ambulatorium. Na łóżku obok niego jeden z pacjentów – wydawało jej się, że to drugi ze strażników, Vesek – najwyraźniej miał atak. Dwaj inżynierowie i szturmowiec, którzy mu towarzyszyli, siedzieli wokół niego, patrząc z mieszaniną niepokoju i obrzydzenia.

- Już idę.

Zanim dotarła do jego łóżka, Vesek zaczął się zsuwać z materaca pomimo wysiłków androida chirurgicznego. Twarz strażnika była tak biała, że aż przezroczyła, oczy uciekły mu w głąb czaszki a całym ciałem wstrząsały niekontrolowane drgawki, jakby pod wpływem prądu o wysokim napięciu. Po chwili opadł niespodziewanie na plecy, z jego ust wydobyło się niepewne chrząknięcie a następnie gęsta fontanna jasnej, tętniczej krwi, która wystrzeliła w powietrze jak gejzer.

- Uwaga! – Zahara podniosła ręce, osłaniając siebie i siedzących obok inżynierów. Po drugiej stronie łóżka 2-1B wciąż trzymał Veseka. Kiedy podniósł głowę, zobaczyła, że jego fotoreceptory pokryte są krwią. Vesek runął na zaplamione prześcieradło, jakby czynność wymiotowania pochłonęła całą jego energię.

- Zabierz go do balonu – poleciała Zahara. – Wszystkich, którzy wrócili z tego niszczyciela, strażników, inżynierów, trzeba odizolować od innych pacjentów. Natychmiast.

Fotoreceptory androida, już oczyszczone, obserwowały ją z uwagą.

- Tak jest, pani doktor.

- Zrób im testy i pełną analizę toksykologiczną. Dowiedz się, co mogli tam złać.

- Coś jeszcze?

Zastanowiła się chwilę, podsumowując to, co wiedziała.

- Lepiej poinformujmy o wszystkim naczelnika. Będzie chciał być na bieżąco.

- Już się robi.

- Zaczekaj – powstrzymała go Zahara. – Sama się tym zajmę. – Nie czekała już, aż android chirurgiczny przekaże instrukcje inżynierom. Ich twarze były pokryte kropelkami krwi Veseka i wyglądali teraz raczej na przerażonych niż chorych.

- Panie... – spojrzała na jego plakietkę z nazwiskiem – Greeley, ilu ludzi było na pokładzie gwiazdowego niszczyciela?

- Dwie grupy pięcioosobowe – odparł Greeley. – Ale...

- Gdzie jest druga piątka?

- Wrócili przed nami.

Na łóżku Vesek wydał z siebie gardłowy jęk i przetoczył się na bok, tak, że był teraz do nich zwrócony plecami. Pozostali dwaj patrzyli na niego z identycznym wyrazem rosnącej paniki, kiedy android wyprowadzał ich z sali.

- Hej, pani doktor, co za nowiny?



Odwróciła się i zobaczyła, że Devaronianin Gat wstał z łóżka i przyszedł z nią porozmawiać. Wpatrywał się w strażnika na zakrwawionym łóżku i pocierał palcem złamany róg w nieświadomym odruchu, jak ktoś, kto trąca językiem ruszający się ząb.

- Nic, czym powinieneś się martwić.

- Słyszałem jak pani mówiła coś o balonie.

- Wolę dmuchać na zimne – wyjaśniła Zahara. – Dopóki nie będziemy mieć wszystkiego pod kontrolą.

Devish zadął głowę a potem nią pokiwał.

Gdybym mógł w czymś pomóc, niech mi pani da znać, dobra?

- Dzięki, Gat. Będę o tym pamiętać. – Bez zastanowienia położyła dłoń na jego ramieniu i poczuła na sobie czyjś wzrok.

Austin obserwował ją z drugiego końca sali.

I uśmiechał się.

Wróciła do swojej stacji roboczej, włączyła konsolę i czekała, aż na ekranie pojawi się twarz Klotha. Defekt kontrastu powodował, że obraz był zbyt jasny, wydawał się wyblakły, monochromatyczny. Kloth siedział przy biurku. W iluminatorze za jego plecami widać było masywny kształt dolnej części gwiazdnego niszczyciela, znajdującego się bezpośrednio nad nimi. Zastłaniał więcej gwiazd, niż Zahara się spodziewała, co powodowało dziwne wrażenie – jakby dotarli do celu.

- Doktor Cody? Co się stało?

- Mam tutaj pięciu ludzi z oddziału abordażowego – powiedziała.

- Co z nimi?

- Niedobrze. Umieszczam ich w balonie izolacyjnym. Gdzie jest kapitan Sartoris?

- W swojej kwaterze, jak sądzę. Ale, pani doktor...

- On też musi się poddać kwarantannie. A co z drugą piątką?

- No właśnie. – Kloth pokręcił głową i w tym momencie zrozumiał, że bladość jego twarzy nie ma nic wspólnego z kontrastowością monitora. – Druga grupa do tej pory nie wróciła.

## ROZDZIAŁ 11

# CZERWONA MAPA

Sartorisa obudziło z twardego snu pukanie do drzwi.

We śnie wciąż błąkał się po statku, ale był sam. Wszyscy członkowie jego oddziału – Austin, Vesek, Armitage, inżynierowie i szturmowcy – już dawno nie żyli. Coś na pokładzie niszczyciela wybiło ich, co do nogi. Odejściu każdego z nich towarzyszył krzyk i przyprawiający o mdłości trzask, który Sartoris czuł w całym ciele.

Ale szedł dalej, starając się nie zwracać uwagi na dokuczliwe swędzenie skóry brzucha. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy bestia – cokolwiek to było - dopadnie i jego. Wkrótce ujrzy jej prawdziwe oblicze, jeśli takie ma. Może przecież nie mieć twarzy; może to po prostu ucieleśnienie choroby, bezrozumna, żarłoczna próżnia, która wysysa życie.

Przed nim był labirynt korytarzy i krok Sartorisa stał się niepewny. Wiedział, że się zgubił. Nie był nawet pewien, czy zbliża się do bestii, czy się od niej oddala. Skóra na brzuchu swędziała go coraz bardziej. Przestał się drapać i poczuł, że coś odciśka się na jego ciele niczym tatuaż albo sieć zmarszczek. Wyciągnął koszulę ze spodni i obejrzał sobie boki. Rzeczywiście, na skórze odbite było coś w rodzaju mapy – plan gwiazdowego niszczyciela. Rysunek wnikał coraz głębiej w jego ciało i zdał sobie sprawę, że będzie musiał zedrzeć skórę, żeby go odczytać. Zaciskając zęby, dwoma palcami prawej ręki zaczął rozdrapywać ciało powyżej biodra. Nie zważając na lodowate ukłucia bólu, wpychał palce coraz głębiej, zeskrobując zewnętrzną warstwę tkanki. Tłuszcz wypłynął z jego boku z obrzydliwą łatwością. Z rany wytrysnęła ciepła krew i spłynęła po nogach prosto do butów.

Kiedy się obudził z krzykiem, pukanie zamieniło się w walenie.

Usiadł na łóżku, dygocząc. Był cały mokry i przez krótką, niespokojną chwilę wydawało mu się, że wciąż krwawi. Ale gorąca, lepka wilgoć przylegająca do jego skóry okazała się tylko potem – to, dlatego włosy kleiły mu się do czoła a mundur przywierał do pleców. Jediną częścią jego ciała pozbawioną wilgoci było gardło – suche jak piasek.

Otworzył drzwi swojej kwatery i zobaczył dwóch strażników w pomarańczowych kombinezonach i maskach ochronnych, którzy wyglądali ja przybysze z jego przerwane go snu.

- Kapitan Sartoris?

Zmrużył oczy.

- O co chodzi?

- Kapitanie, mamy pana zaprowadzić do ambulatorium.

- Po co?

Chwila ciszy a po chwili:

- Taki rozkaz kapitanie.

- Czyj? – spytał Sartoris i postanowił ułatwić im odpowiedź. – Naczelnika czy doktor Cody?

Strażnicy wymienili spojrzenia. Światło odbijało się w osłonach ich hełmów, więc trudno było stwierdzić, który z nich odpowiedział.

- Nie wiem, panie kapitanie. Ale...

- Kto wydał taki rozkaz? – zapytał znów Sartoris ale myślał już o kaszlu Austina, o wymiotach Greeleya i o pozostałych, o nich wszystkich. Powinien był porozmawiać z naczelnikiem Klothem o drugim oddziale, zanim uda się do swojej kwatery. Ten drobny akt nieposłuszeństwa obrócił się przeciwko niemu – kolejna kiepska decyzja w długim, autodestrukcyjnym łańcuchu wątpliwych wyborów. Trzeba było najpierw złożyć raport – schować wzburzenie do kieszeni i po prostu to zrobić.

- Lepiej niech pan pójdzie z nami, kapitanie.

Sartoris zrobił krok naprzód, żeby zidentyfikować twarze ukryte pod maskami.

- Nic mi nie jest – oświadczył. I chociaż była to prawda, miał dziwne wrażenie, że kłamie. Może z powodu reakcji strażników: kiedy się przysunął, obaj zrobili duży krok tył.

- Jak się czują Austin i ten inżynier, Greeley?

- Austin nie żyje, panie kapitanie. Zmarł jakąś godzinę temu.

- Co? – Sartoris wpatrywał się w nich oszołomiony. – To niemożliwe. Dopiero, co z nim rozmawiałem. – Jak długo spał? W jego głowie zrodziła się koszmarna świadomość możliwego rozwoju wypadków, z którym być może będzie musiał się zmierzyć prędzej czy później. – A co z Vesekiem?

- Naprawdę nie wiem, panie kapitanie.

Na wypadek gdybym chciał zwiać, pomyślał Sartoris. Może i powinienem, przyszło mu do głowy. Ale przecież powiedział im prawdę – faktycznie czuł się dobrze. Cokolwiek przytrafiło się innym na niszczycielu, jego to nie dotyczyło. To zjawisko miało ograniczony zasięg i nie miał zamiaru pozwolić, żeby go to dopadło.

Nie będziesz miał wyboru, podpowiedziało mu doświadczenie.

- Zaprowadźcie mnie na górę – powiedział. – Muszę porozmawiać z Vese-

kiem.

## ROZDZIAŁ 12

# PÓŁNOC

Rodianie byli chorzy.

Trig widział, jak leżą rozciągnięci na swoich pryczach w celi naprzeciwko i tylko z rzadka zmieniają pozycje. Mimo, że działali mu na nerwy, kiedy tam stali i wpatrywali się w niego. Trig uznał tę nową sytuację za jeszcze bardziej niepokojącą. Odychali ciężko, z brzydkim charczeniem. Kaszel był jeszcze gorszy. Od czasu do czasu któryś z nich wydawał z siebie pomruk albo słaby, rozpaczliwy jęk.

- Widać coś? – spytał Kale.

- Uhm.

Strażnik w pomarańczowym kombinezonie ochronnym przeszedł szybkim krokiem a za nim jeszcze dwóch.

- Hej! – Trig zaczął walić w kraty. – Co tam się dzieje?

Strażnicy poszli dalej. Trig odwrócił się i spojrzał na brata.

- O co tu chodzi?

Kale wzruszył ramionami.

- Kto to wie? – Przewrócił się na bok na swojej pryczy, zamknął oczy a po chwili już spał. Trig słuchał przez moment jego chrapania.

- Hej, ty tam – wyszeptał jakiś głos.

Trig się nachylił. Głos dochodził z celi obok.

- Hej – odpowiedział, wyciągając szyję, ale nie sięgał wzrokiem do sąsiedniej celi. – Co się dzieje?

- Nazywasz się Trig Longo, prawda? – odezwał się głos z sąsiedniej celi.

- Tak.

- A twój brat... to Kale, tak?

- Zgadza się – potwierdził Trig. – A na ciebie jak mówią?

Głos zignorował pytanie.

- Wielka nagroda za wasze głowy – wyszeptał. – Dziesięć tysięcy kredytów.

Trig nie odpowiedział. Odsunął się od krat z uczuciem chłodu w żołądku. Głos tym czasem mówił dalej:

- Dziesięć tysięcy kredytów to duża forsa. Tyle, że nikt jej nie zgarnie.

- Dlaczego? – spytał Trig.

- Bo to ja wyznaczyłem tę nagrodę – odpowiedział głos. – I ja sam was zabiję.

Trig zdrętwiał. Nagle zdał sobie sprawę, że przecież zna ten szlamowaty głos, tę wymowę, teraz jeszcze bardziej niewyraźną przez obrażenia wargi, które spowodował Kale, wrywając z niej kolczyki.

- Poprosiłem o przeniesienie, żeby być blisko was – powiedział głos Aura Myssa. – Posmarowałem, gdzie trzeba, że tak powiem. Jak tylko te drzwi się otworzą, rozerwę was obu na strzępy gołymi rękami. A to będzie dopiero początek.

- Może byś się zamknął – odezwał się Kale ze swojej pryczy. Wystraszył tym Triga, który nie wiedział, że jego brat słucha ani nawet, że nie śpi.

Myss zachichotał. Trig domyślił się, że to pewnie jego chichot słyszał wcześniej, kiedy Wembly przyszedł zaprowadzić spokój.

- Jak byście chcieli zginąć? – zapytał. – Pewnie szybko i paskudnie. Możemy to zrobić gdzieś na osobności. Strażnicy znajdą później wasze ciała, ale trochę to może potrwać. Nie żeby kogoś to obchodziło. Nie bardziej niż wasz stary, kiedy Sartoris...

- Zamknij się – syknął Kale. Zerwał się ze swojej pryczy i doskoczył do krat. Wyciągnął rękę, wymachując nią po omacku w kierunku głosu, tak jakby mógł dosięgnąć i trafić Myssa.

- Kale, nie – poprosił Trig, ale zanim Kale zorientował się, co robi i zdążył cofnąć rękę, było już za późno. Myss uczeplił się go, przywierając twarzą do krat swojej celi. Trig usłyszał jak chichocze i stęka, trzymając Kale'a. W celi naprzeciwko jeden z odrętwiałych Rodian podniósł się i patrzył z wyrazem półprzytomnego zainteresowania.

- Nie możesz się doczekać? – zapytał głos. – Chcesz teraz? Chcesz tego? Chcesz, żebym...

Rozległ się ostry trzask i głos urwał się zaskoczonym pomrukiem.

- Schowaj szpony – powiedział stojący przed celą Wembly. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon i maskę, a za nim stał BLX. Kiedy odwrócił się w stronę celi braci, Trig zobaczył własne odbicie w osłonie jego twarzy. – Masz wszystkie pięć?

- Tak – potwierdził Kale, ściskając i wyginając palce. – Chyba tak. Chciał mnie tylko nastraszyć.

- Po co ten kombinezon? – spytał Trig.

Po raz pierwszy strażnik wydał się zakłopotany. Zza jego pleców odezwał się android:

- Doszło do...

- Zwykły środek ostrożności – przerwał mu Wembly. – Nie ma się czym martwić.



- To coś poważnego?

- Nikt nic nie wie. Doktor Cody próbuje to rozgryźć. – Wembly spojrzał na Rodian, którzy leżeli znów na swoich pryczach, kaszląc i wydając te same ciche, jęklive dźwięki, które Trig słyszał wcześniej. – Wygląda na to, że z waszymi sąsiadami też nie jest najlepiej. Przynajmniej dwóch macie z głowy.

- Wembly...

W głębi korytarza ktoś wrzasnął. Wembly odwrócił się z zaskakującą sprawnością jak na człowieka jego postury i najwyraźniej zobaczył coś, co mu się nie spodobało. Bez słowa rzucił się niezadarnym truchtem w przeciwnym kierunku.

Trig nie musiał długo czekać, żeby dowiedzieć się, co zobaczył Wembly. Jeden ze strażników pędził korytarzem w porwanym pomarańczowym kombinezonie i bez maski. Głośno krzycząc, uderzył twarzą w kraty ich celi, aż krew trysnęła. Trig poczuł ją na policzkach i nosie – była uderzająco ciepła i mokra.

Chory strażnik przestał krzyczeć i stał z szeroko otwartymi oczami, kompletnie zdezorientowany. Zaciskał ręce na kratkach, jakby za wszelką cenę chciał utrzymać pozycję pionową. Gorączka promieniowała z niego wyczuwalnymi falami. Oddech miał dziwnie ochryply. Trig zauważył, że strażnikowi zbiera się na kaszel; zachował dość przytomności umysłu, żeby się odsunąć. Strażnik kasłał bez końca, nie zadając sobie trudu, żeby zasłonić usta. Dopiero, gdy przestał, zdał sobie chyba wreszcie sprawę, gdzie się znalazł.

- Nie da się tego zatrzymać – powiedział dziwnym, bezbarwnym głosem, jakby mówił przez sen. – Po prostu się nie da.

- Czego? – spytał Trig.

- To niemożliwe. – Strażnik pokręcił głową a dolna warga lekko mu drżała. Potem się odwrócił i ruszył chwiejnym krokiem w tym samym kierunku, w którym oddalił się Wembly.

Trig poczuł ściskanie w gardle. Był przygnębiająco pewien, że zaraz się rozpłacze. Po części ze strachu, ale też, dlatego, że pomyślał o swoim ojcu. A fakt, że nie wiedział, która jest godzina - mogła być nawet północ – w jakiś sposób pogarszał całą sytuację. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej wszyscy trzej siedzieli sobie bezpiecznie w domu i jedli razem śniadanie. Jak to się stało, że wszystko tak szybko i tak strasznie się odmieniło?

- Hej – odezwał się Kale, kładąc rękę na ramieniu Triga. – Chodź tutaj. - Podciągnął rąbek koszuli i otarł bratu twarz. Pierwsze łzy zmieszały się z krwią strażnika. – Już dobrze.

- Wcale nie jest dobrze – powiedział Trig.

- Bywało już gorzej.

Trig nie mógł odpowiedzieć. Przycisnął głowę do piersi brata i mocno go objął. Kale go przytulił.

- Cii – szepnął. – Już dobrze.

W sąsiedniej celi Myss wydawał różne odgłosy. Naśladował łkanie Triga i chichotał. W celi Rodian jeden z nich zaczął kasłać miarowo i apatycznie; kaszel ustawał tylko na krótkie przerwy na zaczerpnięcie powietrza.

- Kale? – odezwał się Trig.

- Tak?
- A ty nie jesteś chory?
- Ja? Nie, czuję się dobrze. – Jego brat pokręcił głową. – A ty?
- Ja też. – Trig odchylił głowę i spojrzał Kale’owi w oczy. – Jak się źle poczujesz, to od razu mi powiedz, dobrze?
- Jasne.
- Ale naprawdę.
- Obiecuję – powiedział Kale. – Ale tak się nie stanie.
- Przecież tego nie wiesz.
- Zaufaj mi, dobra?

Trig pokiwał głową, ale wiedział, że ma rację. Usiadł z powrotem na swojej pryczy, podparł brodę pięściami i zaczął wpatrywać się w kaszlących Rodian po drugiej stronie korytarza.

Z sąsiedniej celi usłyszał wdech, odgłos zmieniania pozycji i cichy, spokojny wydech.

- Dorwę was, mały – wyszeptał Aur Myss. – Kiedy nadejdzie czas, będę już czekał.

## R O Z D Z I A Ł 1 3

# MOLEKUŁY

Zahara poprawiała przepływ powietrza w swojej masce izolacyjnej, kiedy wy-  
czuła, że za jej plecami pojawił się 2-1B.

- Doktor Cody?
- Nie teraz.
- To ważne.

Ledwie go słyszała. To popołudnie przypominało ciemną, niewyraźną, krwawą  
plamę. Wokół niej spokojne zwykle ambulatorium wypełniło się chorymi więźniami i  
strażnikami, którzy zajęli wszystkie łóżka a kolejni leżeli na podłodze. Pomieszczenie

aż huczało od kaszlu, chrypiących oddechów, odgłosów monitorów i nieustannego wołania o pomoc.

Cokolwiek oddział abordażowy przywłókł ze sobą z niszczyciela, rozprzestrzeniło się na „Czystce” w takim tempie, że ona i Odpad przestali liczyć przyjmowanych pacjentów. Kapitan Sartoris przybył pod eskortą własnej straży i android chirurgiczny zaprowadził go prosto do balonu izolacyjnego. Świadomość, że Sartoris siedzi tam i czeka, aż ona go przebadają, powiększyła stres, który nie był jej teraz potrzebny.

Naczelnik wciąż łączył się z nią ze swojego biura, wpytując o rozwój sytuacji. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Zahara nie potrafi przynajmniej zdiagnozować problemu, nie mówiąc o znalezieniu lekarstwa. Jak dotąd była zbyt zajęta przyjmowaniem pacjentów, segregowaniem ich i usuwaniem objawów, które w zależności od gatunku, obejmowały dolegliwości górnych dróg oddechowych, gorączkę, symptomy żołądkowo-jelitowe, padaczkę, halucynacje, krwotok i śpiączkę. A teraz jeszcze stał przy niej 2-1B, który najwyraźniej oczekiwał, że poświęci mu całą uwagę.

- Słuchaj – zaczęła Zahara. – Nieważne, o co chodzi, to musi...

- Chodzi o Gata – powiedział android. – Nie żyje.

Zahara odwróciła się, marszcząc brwi.

- Co?

- Miał zator dróg oddechowych. Przepraszam, że przeszkodziłem ale pomyślałem, że chciałby pani wiedzieć.

Zahara nabrała powoli powietrza, przetrzymała przez chwilę w płucach i skinęła głową, zanim je wypuściła. Podążyła za androidem w stronę łóżka Gata. Devish leżał na boku, blady, z otwartymi, szklistymi już oczami. Spojrzała na jego nieobecny twarz, złamany róg i opadającą szczękę. To, co było w nim dobre – element przyzwyczajenia i poczucia humoru, który czynił go wyjątkiem wśród jej pacjentów - zniknęło bez śladu. Pochyliła się i zamknęła mu oczy.

- Naczelnik chce znowu z panią rozmawiać. – Odpad zdołał jakoś uzyskać smutne brzmienie głosu.

Zahara wiedziała, o co Kloth zapyta.

- Jak wygląda sytuacja?

- Jak dotąd dwanaście ofiar śmiertelnych.

- W tym cały oddział abordażowy?

- Pomijając kapitana Sartorisa oraz ISV Veseka, tak – odpowiedział android chirurgiczny.

- Obaj są cały czas w balonie?

- Tak jest. Ponadto patogen zdążył się już rozprzestrzenić na całą „Czystkę”. Odbieram informacje o objawach z różnych części bloku głównego: więźniowie, strażnicy, personel pomocniczy. Zachorowalność zbliża się do stu procent. Jeśli nic się nie zmieni, leków i zapasów wystarczy nam na tydzień. Jednak... – Android przerwał a jego głos przybrał bardziej poufny ton. – Nie byłem w stanie wyodrębnić składu molekularnego tego konkretnego szczepu. Pani doktor?

- Tak?

- Jak pani wie, moje oprogramowanie w zakresie chorób zakaźnych ma rozległe możliwości a jednak ten wirus nie przypomina niczego, co widziałem do tej pory.

– Android zniżył głos jeszcze bardziej, przechodząc na syntetyczny odpowiednik szeptu. – Wygląda na to, że poszczególne molekuly mają mechanizm wyczuwania liczebności i stosują go do porozumiewania się między sobą wewnątrz organizmu nosiciela.

- To znaczy?

- Poszczególne komórki nie osiągają pełnej złośliwości, dopóki nie rozmnożą się do takiej liczby, że organizm nosiciela nie daje rady ich zwalczyć.

- Innymi słowy – powiedziała Zahara, – kiedy już jest za późno?

- Zgadza się. W tej chwili nie jestem nawet przekonany, czy nasze stroje ochronne stanowią skuteczną barierę.

Zahara spojrzała niepewnie na pomarańczowy kombinezon, który włożyła zaraz po tym, jak wysłała członków oddziału abordażowego na kwarantannę. Nie czuła się w nim dobrze. Nie podobało jej się to, jaki komunikat wysyła w ten sposób pacjentom, którzy byli wystawieni na działanie wirusa, Ale nie było wyjścia. Chora albo martwa nikomu by już nie pomogła. A android miał oczywiście rację. W tym momencie nie dało się stwierdzić, czy kombinezony i maski coś dają – strażnicy, którzy włożyli je od razu, zgłaszali się już z objawami choroby. Ona sama jednak nie zdradzała żadnych oznak skażenia.

Przynajmniej na razie, uściślił ponury głos w jej głowie.

Na drugim końcu ambulatorium odezwał się alarm – jednostajne, wysokie wycie, sygnalizujące, że jeden z jej pacjentów ma zatrzymanie akcji serca. Zahara ruszyła w tym kierunku ale po chwili rozległ się drugi alarm a potem jeszcze jeden. To musi być jakaś awaria sprzętu, pomyślała w oszołomieniu ale widać było, że nie o to chodzi. Jej pacjenci umierali coraz szybciej, umierali wszędzie naokoło i musiała odłożyć konieczną papierkową robotę na później.

- Ja się tym zajmę – zaproponował Odpad. – Pani ma porozmawiać z naczelnikiem.

- Naczelnik może poczekać.

Zanim dotarła do łóżka było już za późno. Pacjent zmarł a monitory oznajmiały to ciągłym bezradnym wyciem. Wydawało się, że dobiega ono ze wszystkich stron jednocześnie. Pacjent po jej prawej stronie dostał ataku i jego alarm też się włączył. Po raz setny tego dnia Zahara zadała sobie pytanie, co oddział kapitana Sartorisa znalazł na pokładzie niszczyciela.

Tylko jedna osoba mogła odpowiedzieć na to pytanie.

## ROZDZIAŁ 14

# BALON

Alarm w pustej przestrzeni balonu izolacyjnego włączył się tuż przed tym, jak wślizgnęła się do środka. Zobaczyła Sartorisa stojącego nad łóżkiem, na którym leżał wpatrzony w niego Vesek. Twarz młodszego strażnika była tak biała, że Zahara mogła dostrzec cieniutkie niebieskie żyłki, które biegły pod jego podbródkiem i wspinały się po policzkach. Resztę drogi przebiegła, nie czekając, aż włącz zamknie się za nią z ledwie słyszalnym odgłosem.

- Co się stało?

- To pani jest lekarzem – warknął Sartoris. – Może pani mi to powie?

- Parę minut temu jego stan był stabilny. – Sprawdziła monitory. Tętno Veseka było niewyczuwalne, poziom tlenu spadał a ciśnienie krwi leciało na łeb, na szyję. – To pan mu coś zrobił?

Sartoris spiorunował ją wzrokiem.

- Ja?

- Proszę mi podać to foliowe opakowanie. Nie to, tamto obok. – Rozerwała je, wyciągnęła rurkę intubacyjną i nasmarowała ją środkiem nawilżającym. – Niech mu pan odchyli głowę.

Sartoris stał sztywno, patrząc, jak Zahara na ślepo wsuwa Vesekowi rurkę do gardła. Napotkała na jakąś przeszkodę i kiedy spróbowała ją ominąć, strażnik uniósł tułów i wydał krztuszający odgłos z głębi klatki piersiowej. W ciągu ostatnich kilku godzin zdążyła dobrze poznać ten dźwięk.

- Niech pan uważa – powiedziała, gdy gęsty czerwony płyn popłynął przez rurkę, wylewając się z ust Veseka. Włączyła pompę ssącą, ale nie sięgała wzrokiem wystarczająco daleko, żeby skierować rurkę tam, gdzie trzeba. Przez cały czas Sar-



toris wisiał nad jej ramieniem. Czują jego oddech na szyi i musiała bardzo się starać, żeby nie zwracać na niego uwagi. Niemal po omacku przesunęła rurkę i usłyszała pierwsze chrapliwe oddechy Veseka, który łapczywie połykał tlen. Przemyśla mu twarz i przykleiła rurkę z taśmą, żeby się nie zsuwała. Odsunęła się i sama wzięła kilka głębokich oddechów, za każdym razem przytrzymując powietrze w płucach, aż doliczyła do pięciu, żeby odzyskać równowagę.

- Przeżyje? – spytał Sartoris.

- Raczej niedługo. Nie w tych warunkach. – Odwróciła się w jego stronę. – Muszę z panem porozmawiać.

- Właśnie wychodziłem.

Zahara spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Słucham?

- Chciałem porozmawiać z Vesekiem. – Sartoris rzucił okiem na rurkę przytwierdzoną taśmą do ust strażnika. – Teraz będzie ciężko.

- Nie może pan wyjść.

- A kto mnie zatrzyma? – Uniósł brew. – Pani?

- Przechodzi pan kwarantannę, bo jest pan jednym z pierwszych nosicieli tej infekcji – powiedziała Zahara. – Musi pan tu zostać.

Sartoris spokojnie zmierzył ją wzrokiem. Chłodna obojętność na jego twarzy nie przypominała niczego, co do tej pory widziała. Wydawała się na stałe wpisana w jego rysy, jakby wyryta w kościach.

- Powiem wprost – oznajmił. – Nie ma pani nade mną władzy. I nie może pani nic zrobić ani dla mnie, ani moich ludzi, ani żadnego z tych pacjentów. Jest pani bezużyteczna, pani doktor i dobrze pani o tym wie. Gdyby była pani jednym z moich strażników, już by tu pani nie było... jeśli miałyby pani szczęście. W przeciwnym razie byłaby pani już martwa.

- Proszę posłuchać... – zaczęła.

- Niech pani to zachowa dla swoich drogich więźniów – wycedził, wstając i ruszył w stronę zapieczętowanego włazu. – Już dość słyszałem.

- Jareth, zaczekaj.

Na dźwięk swojego imienia zatrzymał się i odwrócił a kiedy zobaczył jej wyraz twarzy, uśmiechnął się krzywo i groźnie.

- Umiera pani ze strachu, prawda?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Powinna się pani bać. Za to panią zapamiętają.

- Co?

- Może pani myśli, że skończyła już pani z Imperium ale Imperium nie skończyło z panią. – Wyjrzał na zewnątrz balonu, gdzie 2-1B miotał się między łózkami przy dźwiękach sygnałów alarmowych, z których każdy oznaczał zator dróg oddechowych lub zatrzymanie akcji serca. – Każdy narażony więzień i strażnik na tej barce umrze w ciągu najbliższych paru godzin, podczas gdy pani będzie odpowiadać na pytania, bo czeka na panią ich mnóstwo. – Do końca życia będzie pani za to pokutować.

- Co widzieliście na pokładzie tego gwiazdnego niszczyciela?- zapytała.

- Co widziałem? – Sartoris pokręcił głową. – Nic, zupełnie nic.

Westchnęła i spojrzała na monitory rozmieszczone wzdłuż wewnętrznej membrany balonu.

- Pańskie krążenie krwi wraca do normy. Wygląda na to, że wirus pana nie atakuje.

- Efekt zdrowego trybu życia – odparł i precyzyjnie się obok niej. – Jeśli uważa pani, że może mnie zatrzymać, to proszę spróbować. W przeciwnym razie będę w biurze naczelnika. Z pewnością chętnie się dowie, jak pani, razem ze swoim personelem, radzi sobie w tej kryzysowej sytuacji.

Zanim zdążyła go zatrzymać, był już na zewnątrz. Coś w planach kapitana budziło jej niepokój. Nie wierzyła, że zamierza tracić czas na rozmowę z Klothem tylko po to, żeby poinformować go o jej nieskuteczności. Czy mogła mieć teraz większe problemy?

Zahara ruszyła za Sartorisem, ale poczuła zawrót głowy. Zatrzymała się gwałtownie, szukając u siebie objawów, które mieli jej pacjenci. Nie miała problemów z oddychaniem, nie czuła bólu ani senności – może to po prostu nagromadzone napięcie wynikające z tej sytuacji?

- Odpad?

- Słucham, pani doktor. – Android nachylał się nad łóżkiem pacjenta, któremu robiła zastrzyk dożylny.

- Chcę, żebyś pobrał krew.

- Komu?

- Mnie – powiedziała, wyciągając ramię.

2-1B popatrzył na nią.

- Ale to wymagałoby naruszenia bariery ochronnej pani kombinezonu.

- Kombinezony i tak nic nie dają – odparła. – Sam to powiedziałaś.

- To były tylko spekulacje...

Dość tego. – Zerwała maskę i odrzuciła ją na bok, potem zdjęła rękawice i podciągnęła rękaw, odsłaniając ramię. Wokoło pacjenci przyglądali się jej w zdumieniu.

- Doktor Cody, proszę... – Syntetyczny głos Odpada niebezpiecznie zbliżał się do paniki. – Moje teorie na temat skuteczności strojów ochronnych znajdujących się na wyposażeniu barki nie są w żadnym wypadku sprawdzone. Ponadto podstawowe zalecenie mojego oprogramowania jednoznacznie stwierdza, że moim zadaniem jest ochrona życia i promocja zdrowia wszędzie tam, gdzie to jest możliwe.

- Zrób to – powiedziała, wpatrując się fotoreceptory androida i czekając na igłę.

## ROZDZIAŁ 15

# KVH

Sartoris szedł korytarzem w stronę biura naczelnika, niosąc dwa karabiny blasterowe E-11. Ich kolby były złożone tak żeby mógł trzymać po jednym w każdej ręce. Zabrał je dwóm szturmowcom spotkanym w korytarzu – jeden z nich, na którego się natknął zaraz po wyjściu z ambulatorium, próbował go zastrzelić. Żołnierz ten, którego Sartoris znał od lat, ruszył w jego stronę chwiejnym krokiem, trzymając w ręku hełm. Miał przekrwione oczy i krzyczał w przerwach między atakami kaszlu. Najwyraźniej nie miał pojęcia, gdzie jest, ale domagał się opieki medycznej. Twierdził, że jego płuca wypełniają się płynem, że nie może oddychać i że tonie od środka, ale nie chcą go wpuścić do ambulatorium. Sartoris chciał go ominąć ale szturmowiec wyciągnął blaster i wycelował w niego. Gdy w końcu zorientował się, do kogo mierzy, zachwiał się i oparł o ścianę.

- Kapitanie, przepraszam, nie zauważyłem...

Sartoris wyrwał mu E-11, przełączył na tryb ogłuszający i strzelił z najbliższej odległości. Dwadzieścia metrów dalej na drodze stanął mu kolejny szturmowiec ale tym razem Sartoris był szybszy i zdjął go, gdy tylko się pojawił. Reszta drogi wyglądała podobnie. Strażnicy i szturmowcy w bezużytecznych kombinezonach ochronnych zataczali się po korytarzach, kaszląc i rzygając krwią w maski. Wyciągali do niego ręce, błagając o pomoc i odpowiedź na pytanie: co się dzieje? Wielu już leżało twarzą do podłogi. Im dalej, tym więcej ciał zalegało na jego drodze. Sartoris omijał je, kiedy mógł: kiedy indziej przechodził po nich. Z każdym metrem stęchły zaduch żółci i potu wiszący w powietrzu stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Nigdy wcześniej nie czuł takiego zapachu. Jeśli tutaj, na pokładzie administracyjnym, było

tak źle, to trudno było sobie wyobrazić, co się działo w bloku głównym – tam dopiero musiał być koszmar. Zastanawiał się, czy naczelnik wycofał już wszystkich strażników z pokładów więziennych i zamknął wszystko na cztery spusty, czekając, aż więźniowie pozdychają.

W końcu dotarł do biura Klotha, wcisnął przycisk dzwonka i czekał na zaproszenie ale naczelnik się nie odzywał.

- Panie naczelniku, tu kapitan Sartoris. Proszę otworzyć.

Żadnej odpowiedzi, ale Sartoris wiedział, że naczelnik jest w środku. W przeszłości wszystkim kryzysom, małym i dużym, stawiał czoła w zaciszu swojego biura – dzisiaj nie mogło być inaczej.

A naczelnik miał coś, czego Sartoris potrzebował.

Kody dostępu do kapsuł ratunkowych.

Konserwacja kapsuł należała do obowiązków ISW Veseka i Sartoris wiedział, że strażnik ma do nich kody aktywujące. To, dlatego siedział przy jego łóżku w balonie, wpatrując się w nieprzytomną twarz Veseka, w jego błędzące oczy i dopytywał się wciąż o kody. Ale Vesek nie był rozmowny. W końcu Sartoris stracił do niego cierpliwość – można mu to wybaczyć, prawda? To chyba zrozumiałe, że ostatecznie musiał wyrzeć pewien nacisk, żeby pomóc strażnikowi skupić się na jego pytaniu.

Nie zamierzał trzymać go za nos aż tak długo. Gdyby Vesek chciał współpracować, gdyby po prostu ocknął się na chwilę i dał mu kody, to wszystko byłoby po prostu ocknął się na chwilę i dał mu kody, to wszystko byłoby niepotrzebne. Sartoris potrzebował jedynie informacji. Tak jak wtedy od tego starego więźnia Longa, ale on też nie by specjalnie rozmowny a to jest w końcu barka więzienna, nie?

Wypadki chodzą po ludziach.

Ale Vesek nie był więźniem, podszeptął Sartorisowi głos w głowie. Vesek był jednym z twoich ludzi, a ty...

- I tak już był na wylocie - mruknął Sartoris i skupił uwagę na zadaniu, które miał do wykonania. Naczelnik Kloth był w środku i trzeba bezzwłocznie z nim porozmawiać. Sartoris miał zamiar przekonać Klotha, że muszą natychmiast opuścić barkę, jeśli chcą przeżyć. W kapsule ratunkowej było dostatecznie dużo miejsca dla nich obu – albo tylko dla niego, gdyby Kloth nie podzielał jego punktu widzenia.

- Panie naczelniku – krzyknął znowu Sartoris.

Po drugiej stronie drzwi wciąż panowała cisza. Sartoris spojrzął na blastery w swoich dłoniach i z powrotem na drzwi. Prawdopodobnie były blasteroodporne i próba wyważenia ich ogniem spowodowałaby rykoszety, które mogły go zabić. Ale musiał zdobyć kody dostępu i to szybko, jeśli...

Nagle drzwi się otworzyły, zupełnie same.

Sartoris nie spodziewał się tego i przez moment nawet wahał się, zaglądając do środka, czy powinien wejść. Biuro Klotha wydawało się puste – pustynny krajobraz na holomuralu, opuszczona konsola, niczym nieprzesłonięty widok na zewnątrz.

Sartoris wszedł do środka i uderzył go intensywny zapach. To była ta sama amoniakalna woń, która gromadziła się w korytarzach, tylko w skoncentrowanej wersji. Zatkanął ręką nos i usta, starając się powstrzymać odruch wymiotny.

- Kapitanie – zbulgotało po drugiej stronie konsoli. – Jak miło pana widzieć.

Sartoris zrobił jeszcze krok do przodu, popatrzył przed siebie a potem w dół. Naczelnik Kloth leżał na podłodze poniżej konsoli, w pozycji embrionalnej, w kałuży czegoś szarawo czerwonego. Gdy zobaczył stojącego nad nim Sartorisa, poniósł się na łokciach zrobił drżący, charkotliwy wdech. Nitki lepkiego płynu ściekały mu z nosa i podbródka. Choroba odarła go z resztek pozornej bezwzględności i okrucieństwa, pozostawiając jedynie trzęsącą się, obnażoną istotę, o której Sartoris zawsze wiedział, że kryje się w środku.

- Obserwowałem monitory – powiedział Kloth. – Ten wirus z gwiazdnego niszczyciela... – Zakasłał znowu. – Rozprzestrzenia się za szybko, żeby go opanować. Zgodzi się pan ze mną?

- Tak, panie naczelniku.

- A więc pozostaje nam tylko jedno... – Kloth z trudem wciągnął powietrze, jakby oddychał przez rurkę. – Musimy opuścić statek.

- I ja tak myślę.

- Zaprowadzi mnie pan do kapsuły ratunkowej – powiedział między atakami suchego kaszlu. – To standardowa procedura. Tam sporządzę... pełny raport. Imperialna... Straż Więzienna nie może podważyć mojej decyzji. Będą mogli potem przejrzeć wszystkie dane z ambulatorium. Zobaczą, że nie miałem wyjścia...

Sartoris mimowolnie się uśmiechnął. Nawet *in extremis* ten człowiek wciąż myślał, jak się wytłumaczyć przed przełożonymi.

- Ma pan kody dostępu do kapsuł? – spytał.

Kloth odkaslnął i pokiwał głową. Zakasłał znowu – tak mocno, że na jego skroniach pojawiły się poskręcane niebieskie gąsienice żył.

- Myślę, że powinien pan mi je podać teraz.

Naczelnik przestał kasłać. Zmrużył oczy a potem szeroko je otworzył. Sartoris wycelował oba E-11 w twarz Klotha. Trzymał je na tyle blisko, że Kloth musiał czuć zapach ozonu, który przywarł do ich łuf i widzieć, że Sartoris przełączył je z powrotem na zabijanie.

- Jest pan bydlakiem – powiedział Kloth. – Powinienem być zwolnić pana ze służby, kiedy miałem okazję.

- Jeszcze nie jest za późno – odparł Sartoris, trzymając blastery nieruchomo. – To może być pańskie ostatnie oficjalne rozporządzenie, jako naczelnika.

- Niech pan to odłoży. Będzie pan potrzebował obu rąk, żeby mnie zaprowadzić do kapsuły.

- Myślę, że sobie poradzę – powiedział Sartoris. – Jak tylko da mi pan kody.

- Zdaje się, że nie mam wyboru, co?

Sartoris popatrzył na niego beznamiętnie.

- Pewnie mógłby mnie pan oszukać. Ale z oszustami i kanciarzami stykam się codziennie, więc w tych okolicznościach nie radziłbym panu.

- Kody są zapisane tutaj. Nie mógłbym ich zmienić, nawet gdybym chciał. – Kloth podał mu kartę danych lekko tylko drżącą ręką. Spokojnie popatrzył Sartorisowi w oczy. – Kapitanie?

- Tak?

W teście predyspozycji psychologicznych Imperialnej Straży Więziennej jest

podsekcja znana jako kwestionariusz Vega – Headleya. Jest ona celowo ustawiona w taki sposób, aby ujawniać wszelkie ukryte postawy psychopatologiczne kandydatów... z założeniem, że takie cechy mogą być przydatne w służbie Imperium. - Wysunął język, żeby zwilżyć górną wargę. – Czy jest pan ciekaw, jaki uzyskał pan wynik w KVH, kapitanie Sartoris?

- Chyba obaj znamy odpowiedź, panie naczelniku – powiedział Sartoris i naciśnął oba spusty.

Przy tak małej odległości efekt był doprawdy spektakularny. Całe sklepienie czaszki Klotha wyparowało w gęstej chmurze purpury, chrząstek i kości. Szyja i ramiona naczelnika opadły na boki, obracając się wokół niewidzialnej osi w wyniku fali uderzeniowej podmuchu energii a następnie wylądowały z mokrym plaśnięciem w rozbryzganej kałuży krwi.

Sartoris włożył kartę danych do kieszeni i odwrócił się w stronę wciąż otwartych drzwi. I wtedy zobaczył w korytarzu młodego strażnika w kombinezonie ochronnym, który wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Jego obsypana wysypką twarz nagle zbladła, tak, że pęcherzyki odznaczały się na niej jak gwiazdy. Kiedy strażnik zorientował się, że Sartoris na niego patrzy, podniósł obie ręce i cofnął się w głąb korytarza. Podbródek mu dygotał, kiedy próbował wykrztusić słowa.

- Kapitanie? P-pan właśnie zastrzelił naczelnika Klotha!

- Wyświadczyłem mu przysługę – stwierdził Sartoris, zauważając zasmarkany nos i piekące obrzęki wokół ust strażnika. – Tobie też wyświadczyć?

Strażnik chyba równocześnie stracił panowanie nad pęcherzem i zwieraczem.

- Zmiaataj. – Kapitan wskazał kierunek lufą jednego z blaserów. – Tam.

Strażnik kiwnął głową, obrócił się i uciekł, stukając butami i głośno łapiąc oddech. Sartoris dobrze mu życzył. Sam ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę kap-suły ratunkowej.

## ROZDZIAŁ 20

# W KLATCE

Mimo, że nie było już nikogo, kto by nadzorował, system monitoringu imperial-



nej barki więziennej „Czystka” spisywał się bez zarzutu, rejestrując rozmowę Triga i Kale’a w ich celi na poziomie więziennym numer pięć. Na ekranach, których widownią były teraz szeregi ciał imperialnych strażników w centrum monitoringu barki, widać było twarze braci wyglądających przez kraty. Chociaż systemy audio były perfekcyjnie skalibrowane, tak, aby przechwycić nawet najcichszy konspiracyjny szept, z głośników niewiele było słychać. Właściwie na całym poziomie więziennym panowała cisza. Ostatnie krzyki i odgłosy kaszlu już ustały, pozostawiając jedynie martwą ciszę, która ciągnęła się w nieskończoność.

Nagle czujniki dźwięku wychwyciły cichy głos Triga:

- Wszyscy nie żyją, prawda?

I niepewna odpowiedź Kale’a:

- Nie wiem.

- Jeśli ktokolwiek przeżył, to już stąd uciekł. Zostawili nas tu. I my też umrzemy.

- Przestań tak mówić – parsknął Kale. – W tej chwili. Rozumiesz?

Trig nie odpowiedział. Jeszcze niedawno obserwował Rodian jak umierają w celi naprzeciwko. Zakastywali się na śmierć, rżąc i dławiąc się kawałkami swoich dziwnych szarych narządów, aż wreszcie zwinęli się cicho na podłodze celi. Jeszcze przez jakiś czas, który wydawał im się wiecznością, drżeli i pojękiwali a potem zastygli w bezruchu. Teraz ich ciała zaczynały cuchnąć. Oczywiście tego system monitoringu nie dawał rady wychwycić, tak jak nikt, kto się tam znajdował, nie mógł tego odoru uniknąć.

Trig powtarzał sobie, że proces rozkładu nie powinien zachodzić tak szybko ale smród i tak był nie do zniesienia. Być może wynikało to ze sposobu, w jaki choroba wchodziła w reakcję z indywidualnym składem chemicznym obcych. Odór był wszędzie, pełzał po korytarzach i sączył się przez kraty. Trig wyobrażał sobie rzędy cel pełne ciał martwych więźniów, zalegających na pryczach i rozciągniętych na podłodze, bezwładne, szare kończyny zwisające przez raty, porozrzucane po korytarzach różnych podpoziomów. Barka zamieniała się w ogromny dryfujący cmentarz.

Więc dlaczego on i Kale nie byli martwi... ani nawet chorzy? Trig zastanawiał się czy dane im było przeżyć przez jakiś rzadki przypadek genetycznej odporności tylko po to, żeby umrzeć z głodu lub odwodnienia w tej klatce jak zaniedbane zwierzęta. Przypomniawszy sobie coś, co zawsze mówił jego ojciec: „wszechświat ma swoje poczucie humoru, tylko niezbyt przyjemne”.

- Co teraz będzie? – zapytał.

Kale podszedł do krat i zwinął dłonie wokół ust.

- Hej! – krzyknął. – Jest tam kto? – Jego głos zabrzmiał nadspodziewanie głośno w pustej przestrzeni. – Halo! Tu jesteśmy! Hej! – Wziął głęboki oddech. – Tu jesteśmy! Tu...

Rozległ się głośny szcęk i drzwi cel wzdłuż całego korytarza zaczęły się równocześnie otwierać. Kale odwrócił się i spojrzała brata.

- Ktoś nas usłyszał.

- Kto?

- Nieważne – powiedział Kale. – Teraz musimy... – Przerwał.

Trig popatrzył na niego.

- Co się stało?

Kale uniósł rękę i przechylił głowę, nasłuchując. Trig nie był pewien, czy faktycznie usłyszał jakiś odgłos z sąsiedniej celi – jego wyobraźnia, zwykle pobudzona, teraz pracowała na dwie zmiany, próbując wyłuskać z tej pustki coś konkretnego.

- Zostań tu – szepnął Kale i wychylił głowę z celi, rozglądając się wokół. Po chwili przywołał Triga skinieniem.

Wyszli razem – Trig pół kroku za Kale'em – kiedy nagle sobie przypomniał...

- Zaczekaj! – krzyknął.

Ale było za późno. Postać z celi obok wyskoczyła z wściekłym rykiem. Trig zobaczył jak Aur Myss spada na jego starszego brata i rzuca go na przeciwległą ścianę, jak jego kończyny młóćą powietrze a ręce próbują dosięgnąć oczu Kale'a.

Kale się przewrócił, kompletnie zaskoczony i przez moment ciało Myssa całkowicie go przykrywało; napastnik wykonywał spazmatyczne ruchy z trudem łapiąc powietrze. Wyglądało na to, że Delphanianin równie ciężko pracuje nad rozszarpaniem twarzy Kale'a jak nad wykonaniem kolejnego wdechu.

Jest chory. Ta myśl przemknęła przez umysł Triga niemal zbyt szybko, by ją pochwycić. Teraz masz szansę. Może jedyna.

Niewiele myśląc, skoczył i złapał Myssa od tyłu za gardło. Oplótł palcami miękkie fałdy ciała otaczające szyję i ścisnął. Proszę, proszę, niech się uda.

Ale atak jakby tchnął w ciało Delphanianina nowe siły. Myss odwrócił się, rozrywając uścisk a postrzępiona szczelina jego ust rozciągnęła się w uśmiechu.

- Chłopcze, przekroczyłeś granice po raz ostatni.

Złapał Triga za twarz i ścisnął ją z potworną siłą pokrytymi łuską dłońmi. Trig poczuł jak zalewa go ciemność, która przesłania wszelkie myśli. Chciał krzyczeć, ale nie mógł otworzyć ust.

Nagle ręce rozluźniły uścisk.

Trig odzyskał wzrok i zobaczył, że Myss wciąż się w niego wpatruje, ale miejsce wściekłości zajęło zdumienie. W jego otartych ustach połyskiwała stal, niczym ostry, metaliczny język. Po chwili Myss runął do przodu i Trig zobaczył rękojeść ostrza, które jego brat wbił z tyłu w czaszkę Delphanianina.

- Zaatakował mnie tym – wyjaśnił Kale drżącym głosem.

- Jesteś pewien, że on...

- Chodź, idziemy.

Szli pospiesznie długim korytarzem w stronę głównego wyjścia, mijając kolejne cele pełne trupów. Kale nic nie mówił. Trig zobaczył kolejną postać, zgarbioną w kabynie wartowniczej. Miała na sobie pomarańczowy kombinezon ochronny.

- Wembly – rozpoznał go Kale.

Strażnik pochylał się nad wajchą, której użył, żeby otworzyć cele. Kale wsunął się do kabiny i dotknął jego ramienia.

- Hej, Wembly, dzięki za...

Ciało Wembly'ego przechyliło się do przodu, potem na bok i wypadło z kabiny.

Jego czoło uderzyło o podłogę z głuchym odgłosem. Obwisłe usta strażnika były rozchylone i pokryte zakrzepłą krwią i śluzem a oczy utkwione tępo w górze. Trigowi wydawało się, że dostrzegł dreszcz, ostatni spazm, który poruszył ramionami Wembly'ego, ale to też pewnie była tylko jego wyobraźnia.

- To on nas wypuścił. Pewnie to była ostatnia rzecz, jaką zrobił.

- To prawda – odezwał się głos.

Odwrócili się i w rogu kabiny zobaczyli należącą do Wembly'ego jednostkę BLX. Android stał niezdarnie z rękami zwisającymi po bokach i wyglądał na zupełnie zagubionego bez swojego pana.

- Chodź – powiedział Trig. – Możesz iść z nami.

BLX wydawał się rozważać propozycję, ale tylko przez chwilę.

- Nie, dziękuję. Tu jest moje miejsce. Kiedy nadejdzie ratunek... – Przerwał tę myśl, pewnie nie potrafiąc przekonać samego siebie, że istnieje taka ewentualność.

- Na pewno?

- Daj spokój – powiedział Kale. – Wynośmy się stąd.

Trig odchrząknął.

- Dokąd idziemy?

- Gdzieś na górze musi być kapsuła ratunkowa, może na poziomie administracyjnym.

- Nie sądzisz, że ktoś ją już zabrał? Naczelnik albo strażnicy?

Kale odwrócił się w jego stronę i chwycił go za ramiona na tyle mocno, że Trig poczuł lekki ból.

- Musimy mieć jakiś plan a w tej chwili ten jest równie dobry, jak każdy inny. Więc jeśli nie masz lepszego pomysłu, to pomóż mi znaleźć drogę na górę.

Trig zagryzł wargi. Pokiwał głową i wydusił z siebie:

- Dobra.

Długo trwało, zanim znaleźli turbowindy, którymi z głównego bloku więziennego mogli dostać się na górę. Większość ciał, które mijali po drodze, wyglądała jak martwi więźniowie na ich poziomie – zwłoki na pryczach, zwłoki na podłodze, zwłoki skulone w kątach z zeszywniałymi już ramionami obejmującymi kolana tak, jakby zwinięcie się w kłębek mogło w jakiś sposób powstrzymać nieuchronność śmierci. Byli wśród nich samobójcy – jeden z więźniów powiesił się na kratkach, inny owinął sobie głowę workiem. Martwi strażnicy i szturmowcy leżeli na podłodze a między nimi krążyły zdezorientowane androidy konserwacyjne, które starały się zrozumieć coś z tej masowej rzezi. Sztywno podnosiły ciała i kładły je z powrotem na ziemi. Kale zabrał dwóm trupom balstery, ale Trig zauważył po sposobie, w jaki brat je niósł, że nie czuje się zbyt pewnie z bronią, chociaż usiłował zachowywać się swobodnie.

Widzieli też inne rzeczy.

Przy jednej z cel leżał martwy strażnik oparty plecami o kraty. Trig zauważył, że został przywiązany za ręce i szyję przez dwóch martwych już więźniów wewnątrz celi. Więźniów zdążyła już zabić choroba, ale to nie ona była przyczyną śmierci

strażnika. Skazańcy zwabili go w jakiś sposób na tyle blisko, że zdążyli go skrępować i zadrzeć na śmierć, dźgając, tnąc i kalecząc prymitywnymi, zaostrzonymi narzędziami, które wciąż ściskali w dłoniach.

Widzieli więźnia obcej rasy, której Trig nie znał, składającego się z dwóch połączonych ciał; jedno było dwa razy większe od drugiego. Mniejsze ciało było już martwe i zwisało bezwładnie, większe zaś tuliło je czule jak dziecko, łkając i z trudem łapiąc oddech. Kiedy przechodzili obok, nawet na nich nie spojrzeli.

Widzieli androida konserwacyjnego, który prowadził pogodną, jednostronną konwersację z martwym szturmowcem.

Widzieli dwóch imperialnych strażników, którzy osunęli się martwi na stolik do dejarika; figury na stoiku kręciły się bez celu po planszy w oczekiwaniu na instrukcje.

W końcu znaleźli turbowindę i zaczęli, aż drzwi się rozsunęły. W środku zobaczyli dwóch martwych strażników skulonych w przeciwległych rogach. Obaj byli uzbrojeni a piersi mieli rozerwane i osmalone przez blasterowe błyskawice, jakby w przedśmiertnym delirium zwrócili się przeciwko sobie. Kale chwycił ich za kombinezony ochronne i wyciągnął z windy a Trig ucieszył się, że brat nie poprosił go o pomoc. Patrząc na zwłoki to jedno, ale dotykać je, podnosić... dźwigać tę bezwładną masę... Na to nie był przygotowany.

A gdyby jedna z tych zimnych dłoni poruszyła się i chwyciła go?

Czy zdołałby, chociaż krzyknąć?

Za ich plecami rozległ się stukot i Trig obejrzał się przez ramię. Pomyślał o Mysie w sąsiedniej celi – celi, która była pusta, kiedy do niej zajrzał. Mysz musiał wybiec, jak tylko Wembly otworzył im drzwi. Czy to znaczyło, że on też był uodporniony? Trig zastanawiał się, czy idzie za nimi. To, że niczego nie widział, nie znaczyło, że niczego tam nie ma.

Na ostatnim poziomie więziennym usłyszeli ciche kwilenie, jakby ktoś płakał. W smutnym, dziecinnym głosie rozpoznawał własne uczucia. Zatrzymał się i popatrzył w kierunku, z którego dochodził dźwięk.

- Słyszysz?

Kale pokręcił głową.

- To nie nasza sprawa.

- A jeśli ktoś potrzebuje pomocy?

Kale rzucił mu zmęczone spojrzenie ale więcej nie protestował. Szli gęsiego korytarzem, mijając kolejne cele pełne martwych więźniów. Trigowi przypominali zaniedbane osobniki jakichś udomowionych gatunków, które zostały zapomniane przez swoich właścicieli i pozostawione na zagładę. Kale trzymał w obu rękach uniesione blastery. Kwilenie stawało się coraz głośniejsze, aż wreszcie Trig zatrzymał się i zajrzał do ostatniej w rzędzie celi.

W środku siedział młody Wookie, znacznie mniejszy od Triga. Prawdopodobnie jeszcze dziecko. Nachylał się nad ciałami, które musiały należeć do członków jego rodziny – dwojga dorosłych i starszego brata lub siostry – przyciskając ich dłonie do policzków. Owinął się ich ramionami w rozpaczliwym uścisku.

- Spójrz tylko na to – wyszeptał Kale.

Trig zobaczył, co mu pokazuje brat. Choroba odcisnęła na martwych Wo-

okiech dziwne piętno. Ich języki spuchły tak, że zwisały z ust jak groteskowe, przejrzałe owoce, gardła zaś popękały, odsłaniając ciemnoczerwone mięśnie. Kiedy młody podniósł wzrok i zobaczył Triga i Kale'a stojących pod celą, w jego błękitnych oczach błysnął strach.

- Nie bój się - powiedział łagodnie Trig. – Nie zrobimy ci nic złego. – Spojrzał na Kale'a. – Musi być uodporniony, tak jak my.

- No i co z nim zrobimy?

- Zaczekaj tu. – Trig pobiegł z powrotem korytarzem do opuszczonego stanowiska strażników. Drzwi były otwarte na oścież; widocznie ktoś porzucił swój posterunek i wyczołgał się, żeby umrzeć w samotności. Trig wszedł do kabiny i znalazł wajchę otwierającą cele – taką samą jak ta, którą na ich poziomie przestawił Wembly. Kraty otwały się ze szczękiem a on wrócił do brata, który wpatrywał się w młodego Wookiego.

- Chodź – zwrócił się do niego Trig. – Jesteś już wolny.

Wookie tylko im się przyglądał. Przestał nawet płakać, ale z jakichś powodów ta cisza wydawała się jeszcze gorsza. Tego Trig zdążył się już nauczyć – cisza zawsze była najgorsza.

- Nie możesz tu zostać. – Trig wyciągnął rękę w kierunku Wookiego. – Chodź z nami.

- Uważaj – ostrzegł Kale. – Urwie ci rękę, jak...

- Nie bój się – powiedział Trig, nie cofając ręki. – Nic ci nie zrobimy.

Kale westchnął.

- Hej, chłopie, posłuchaj...

- On jest zupełnie sam.

- I najwyraźniej chce zostać sam, w porządku?

Przez chwilę Wookie przyglądał im się z uwagą, jak gdyby – podobnie jak BLX Webly'ego – rozważał propozycje. Trig czekał, żeby zobaczyć, czy coś się stanie. W końcu jednak malec pochylał się, uniósł zwiotczałe ramiona swoich rodziców i przycisnął je z obu stron do swojej drobnej piersi. Więcej już na Kale'a nie spojrział, nawet kiedy się odwrócili i wreszcie odeszli.

Byli już na końcu korytarza, kiedy usłyszeli jego krzyk.

Trig zamarł. Drobne włoski zjeżyły się na całej długości jego pleców. „Sam ten dźwięk sprawił, że poczuł się jakby całe ciało pokrywała mu warstwa śliskiego, na wpół stopionego lodu. Oddech zamarł mu w płucach, uwięziony tuż pod przełykiem. Wookie wciąż krzyczał – zdławione, rozdzierające wrzaski mieszały się z przerażającym, mokrym mlaskaniem.

Po chwili krzyki ustały ale wciąż było słychać odgłosy przeżuwania – chciwe, niespokojne, siorbanie i chrupanie. Przypomniał sobie Aura Myssa w sąsiedniej celi, jego szepty i chichot i to wrażenie, że idzie za nimi.

Przecież to niemożliwe. Myss nie żyje. Sam widziałeś.

- Co to? – wyszeptał.

- Nie nasza sprawa. – Kale złapał go za rękę. – Nie zatrzymuj się.

## ROZDZIAŁ 17

# TISA

Tej nocy zmarli ostatni pacjenci Zahary. Ostatecznie wszystko potoczyło się bardzo szybko. Mniej więcej połowa z nich to byli ludzie. Pozostali należeli do różnych obcych ras ale to nie miało żadnego znaczenia. W ostatnich chwilach niektórzy spośród nieludzi przechodzili na swoje ojczyste języki, niektórzy ściskali jej rękę i mówili do niej z pasją – choć łamiącym się głosem, poprzez niekontrolowane ataki kaszlu – jakby była członkiem rodziny albo kimś ukochanym a ona słuchała i kiwała głową, nawet jeśli nie rozumiała ani słowa.

Na Rhinnal uczyli ją, że do śmierci trzeba się przyzwyczaić. Zahara spotkała wielu lekarzy, którzy twierdzili, że potrafią się przystosować; tacy lekarze wydawali jej się straszni, bardziej obojętni i mechaniczni niż androidy, które z nimi pracowały. Stała się unikać ich zimnego, klinicznego wzroku.

Odpad przekazał wieści o ostatnich zgonach bezbarwnym głosem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała. Ten brak emocji był tak osobliwy, że zastanawiała się, czy jego oprogramowanie przewidywało ten rodzaj reakcji. Być może w świecie androidów taki ton uchodził za oznakę współczucia.

Po chwili 2-1B dodał niemal przeproszającym tonem:

- Skończyłem także analizę pani krwi.

- No i ?

- Oczywiście jest pani odporna na patogen. Chodziło mi o to, że udało mi się jak sądzę, dokonać analizy genu odporności w pani strukturze chemicznej i go wyodrębnić.

Popatrzyła na niego.

- Znalazłeś lekarstwo?

- Nie tyle lekarstwo, ile rodzaj przeciwciała neutralizującego wirusa, o ile to, z czym mamy do czynienia, ma faktycznie charakter wirusowy. Ten środek może być



podawany dożylnie. – Android uniósł strzykawkę wypełnioną przezroczystym płynem i rozejrzał się po ambulatorium, po leżących na łózkach ciałach. – Jeśli na pokładzie barki jest jeszcze ktoś żywy, powinien to jak najszybciej otrzymać.

Zahara spojrzała na igłę, na spóźnione wybawienie skapujące z jej czubka. Powinna odczuwać ulgę i może z czasem odczuje. Ale jej pierwszą reakcją na te słowa – „jeśli na pokładzie barki jest jeszcze ktoś żywy” – było głębokie poczucie osobistej porażki, które objawiło się wrażeniem bezwładności w nogach i brzuchu. To ona odpowiadała za zdrowie więźniów i personelu barki. To, co się tutaj stało w ciągu ostatnich kilku godzin było nie do pomyślenia – katastrofa o skali tak porażającej, że nie potrafiła na nią patrzeć inaczej niż przez filtr swojej osobistej winy. Sartoris pewnie chciał jej dogryźć ale zasadniczo miał rację. Nigdy nie zdoła tego zmazać.

Nie ma czasu na użalanie się nad sobą, odpowiedział jej wewnętrzny głos. Trzeba sprawdzić, kto jeszcze ocalał i to im szybciej, tym lepiej.

Jak zwykle głos miał rację. Przyznała to sama przed sobą i spróbowała odsunąć od siebie czarne myśli. Ku jej lekkiemu zdumieniu ustąpiły a raczej prysły jak bańka mydlana.

- Poczekaj tu.
- Doktor Cody? – Odpad wydawał się zaniepokojony. – Dokąd pani idzie?
- Do sterowni. Muszę przeprowadzić bioskan barki i zlokalizować ewentualnych ocalałych.
- Pójdę z panią.
- Nie – powiedział . – Musisz tu zostać, na wypadek gdyby zjawił się ktoś potrzebujący pomocy. – Wyczuwając opór androida, dodała: - To rozkaz, Odpad, jasne?
- Oczywiście, jednak, biorąc pod uwagę okoliczności byłbym znacznie spokojniejszy, gdyby pani pozwoliła mi...
- Nic mi nie będzie.
- Tak jest, pani doktor.
- Wypatruj żywych – poleciła wychodząc.

Nie zaszła daleko, zanim zdała sobie sprawę, że perspektywa odnalezienia kogoś żywego jest coraz mniej prawdopodobna.

Omijała ciała lub przechodziła ponad nimi, oddychając przez usta, kiedy smród stawał się nie do zniesienia. Niemal od razu pożałowała, że nie pozwoliła Odpadowi pójść z sobą. Z jego paplaniną łatwiej byłoby to wszystko znieść.

Dotarła do sterowni i wślizgnęła się przez drzwi, przygotowana na to, co zastała w środku. Personel latający „Czystki” trwał na posterunku nawet po śmierci. Zwłoki pierwszego i drugiego pilota – dwójki grubo ciosanych imperialnych wiarusów, których tak naprawdę nigdy nie poznała – osunęły się na fotele. Usta mieli otwarte, szara skóra zaczynała już zwisać z kości. Kiedy Zahara się do nich zbliżyła, aparatura barki natychmiast wykryła jej obecność. Panele kontrolne zamigotały a z ukrytego głośnika odezwał się generowany przez komputer głos:

- Proszę o identyfikację. – Głos był syntetyzowany tak, żeby brzmiał jak kobiety, urzędowo ale miło. Zahara próbowała przypomnieć sobie, jak piloci nazywali tę mówiącą kobietę. W końcu sobie przypomniała: Tisa. Podobno w trakcie dłuższych rejsów zdarzało się, że niektórzy strażnicy zakradali się tu po godzinach, żeby z nią poflirtować.

- Tu naczelny lekarz Zahara Cody.

- Dziękuję – odpowiedział Tisa. – Potwierdzam rozpoznanie siatkówki. - Nastąpiła chwila ciszy, może pięciosekundowa a po niej pojedyncze usatysfakcjonowane piknięcie. – Tożsamość potwierdzona, doktor Cody. Czekam na polecenia.

- Zrób bioskan barki –powiedziała.

- Rozumiem. Rozpaczynam bioskan. – zamigotały światelka. – Bioskan zakończony. Imperialna barka więzienna „Czystka”, poprzedni stan osobowy więźniów i personelu: pięćset dwadzieścia dwa według...

- Powiedz mi tylko, ilu zostało.

- Obecny stan osobowy żywych organizmów wynosi sześć.

- Sześć?

- Tak jest.

- To niemożliwe.

- Czy mam powtórnie skalibrować zmienne skanowania?

Zahara rozważyła możliwości.

- Jakie są zmienne?

- Pozytywny odczyt żywego organizmu następuje na podstawie algorytmicznej interpretacji fal mózgowych, temperatury ciała, ruchu i tętna.

- A co z obcymi rasami, których normalna temperatura ciała albo puls wykracza poza te parametry? – spytała Zahara. – Ich nie byłoby widać na skanie, mam rację?

- Nie. Parametry skanowania są stale aktualizowane, tak, aby uwzględniały cechy fizjologiczne każdego członka populacji więźniów. Przy obecnym poziomie kalibracji margines błędu w wyliczeniach stanu osobowego żywych organizmów wynosi zero, przecinek, zero, zero, jeden procent...

- Gdzie oni są? – spytała Zahara. – Ta szóstka?

Holoekran Tisy rozświetlił się, ukazując przezroczysty, trójwymiarowy schemat barki. W miniaturze wydawała się o wiele zgrabniejsza. Ograniczona cienkimi, prostymi liniami, wyglądała jak marzenie projektanta o idealnej geometrii. Sterownia zajmowała najwyższy pokład. Z jednego jej końca, niczym peryskop, wyrastał rozsuwany szyb dokujący, który wciąż łączył ich z niszczycielem. Po drugiej stronie sterowni szerokie zejście prowadziło w dół, na przylegający pokład administracyjny; na jego bakburcie i sterburcie znajdowały się kapsuły ratunkowe barki. Mesa, ambulatorium i kwatery strażników zajmowały najdalszą część tego samego poziomu a pod spodem znajdowało się sześć kolejnych kondygnacji, które tworzyły blok główny. Zahara wiedziała, że schodząc jeszcze niżej, można było znaleźć się pośród ukośnych luków i niezliczonych podpoziomów, które kryły najniżej położone cele.

Naliczyła sześć maleńkich czerwonych światełek rozrzuconych po całej barce.

- Obecny odczyt stanu osobowego żywych organizmów – ciągnęła Tisa –

wskazuje jeden aktywny obiekt w sterowni, jeden na poziomie administracyjnym, dwa w bloku głównym na poziomie więziennym numer jeden i dwa w izolatkach.

Izolatki. Wcześniej nawet o nich nie pomyślała. Zarezerwowane dla najgorszych i najbardziej niebezpiecznych więźniów na barce, przystań dla szaleńców i potencjalnych uciekinierów. Tam choroba mogła nie dotrzeć. Tylko czy powinna zejść tam sama? Oczywiście wokół leżało mnóstwo broni, ale nie bardzo uśmiechała się jej perspektywa uwolnienia dwóch najgorszych więźniów naczelnika Klotha tylko po to, żeby wysłać ich w niebyt strzałem z blastera, kiedy ją zaatakują.

- Z drugiej strony - jaki miała wybór?

- Możesz mnie połączyć z ambulatorium?

- Oczywiście – powiedziała Tisa i monitor ponad hologramem rozświetlił się, ukazując punkt medyczny. W rogu ekranu Zahara zobaczyła Odpada, który chodził od łóżka do łóżka, odłączając monitory od ostatnich zmarłych, zbierając zużyte kroplówki i przewody respiratorów. Coś do siebie mówił, zbyt cicho, żeby mogła go zrozumieć. Być może powtarzał tylko wyniki badań, ale gdy go zobaczyła, poczuła nagle niewytłumaczalny smutek.

- Odpad – zagadnęła.

2-1B zatrzymał się i spojrzał na nią z ekranu.

- Och, witam, pani doktor. Czy bioskan się powiódł?

Nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Schodzę do izolatek. Czy możemy się tam spotkać?

- Oczywiście. – Zrobił krótką pauzę. – Pani doktor?

- Tak?

- Ile żywych organizmów pozostało?

- Sześć.

- Sześć – powtórzył bezbarwnym głosem android. – Aha. Rozumiem.

Przez chwilę patrzył na pełne ciało ambulatorium, na tych wszystkich pacjentów, którzy zmarli na ich dyżurze pomimo wszelkich starań a potem spojrzał na ekran.

- Cóż. Zatem zobaczymy się na dole, jak sądzę.

- Do zobaczenia – powiedziała i się rozłączyła.

## ROZDZIAŁ 18

# IZOLATKA

Zahara opuściła sterownię i zjechała turbowindą na najniższy zaludniony pokład barki. Prawie nigdy nie schodziła tak głęboko. Odkąd znalazła się na barce, była tu może dwa razy, żeby zająć się więźniami, którzy byli zbyt chorzy lub zbyt niebezpieczni, żeby przyjść do ambulatorium. Niżej był już tylko podpokład maszynowy i techniczny – ciasne królestwo bezokich robotów konserwacyjnych, które nigdy nie widziały dziennego światła.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując pusty korytarz, w którym odsłonięte kable zwisały z dźwigarów ponad jej głową. Zahara zmrużyła oczy, starając się wychwycić szczegóły. Najwyraźniej główny układ elektryczny nie działał tutaj najlepiej. Gdzieś u góry odpowietrznik wypuszczał z sykiem nieprzerwany strumień nieświeżego powietrza, którego zapach przypominał stęchły oddech umierającego pacjenta. Nigdzie nie było ani śladu 2-1B i zastanowiła się, czy powinna iść dalej bez niego. Właściwie to nie miało znaczenia, skoro nie było tu nikogo żywego oprócz...

- Ojej – jęknęła, kiedy wyrwana z zamyślenia, poleciała do przodu. Przytrzymała się wilgotnej ściany korytarza, ale dłoń się jej ześlizgnęła i Zahara o mało nie poleciała twarzą na podłogę.

Potknęła się o leżące przed nią ciała strażników. Naliczyła ich pięciu – leżeli pokotem, tworząc upiorna układankę. Wszyscy mieli na sobie kombinezony ochronne i maski, oprócz jednego – młodego strażnika, którego Zahara pamiętała sprzed miesiąca, kiedy zjawił się w ambulatorium z drobnym podrażnieniem skóry. Okazał się całkiem sympatyczny i łatwo nawiązali rozmowę. Opowiadał jej o swojej żonie i dzieciach, które zostały na jego ojczystej Chandrili.

Gdy spojrzała na jego ciało, Zahara zauważyła, że strażnik ściska w dłoni kawałek flimsiplastu. Przykucnęła, wyjęła go i zaczęła czytać.

„Kai!

Wiem, wiem... obiecywałem Tobie i dzieciom, że po tym rejsie wrócę do domu. Ale tak się nie stanie. Niestety, na barce dzieje się coś niedobrego. Wszyscy chorują i nikt nie wie, dlaczego. Większość już nie żyje. Na początku myślałem, że nic mi nie będzie ale teraz wygląda na to, że ja też to złapałem.

Przepraszam, Kai. Wiem, że chłopcom będzie ciężko. Proszę, powiedz im, że tatuś ich kocha. Tak mi przykro, że wszystko się tak potoczyło. Powiedz im jeszcze, że służyłem najlepiej, jak umialem i że nie byłem tchórzem, że nigdy się nie bałem.

Kocham cię całym sercem”.

Na samym dole strażnik próbował się podpisać, ale litery wyszły tak koślawe i nieporadne, zapewne przez drżenie ręki, że podpis wyglądał jak bazgroły.

Zahara zwinęła liścik i wsunęła do górnej kieszeni munduru, tuż obok fiolki z przeciwciałem. Wyciągnęła kartę magnetyczną z munduru strażnika i skierowała się w kierunku tablicy z napisem „Izolatki”. Nagle się zatrzymała. Gdzie ten Odpad? Dała androidowi dostatecznie dużo czasu, żeby tu dotrzeć a zwykle był taki punktualny...

Coś mu się stało?

Znowu odezwał się ten głos w jej głowie, który zawsze miał rację. Zastanawiała się czy powinna iść dalej i czy w ogóle powinna tu przychodzić.

Zaszała już tak daleko, pomyślała w końcu.

Z niechęcią schyliła się i wyjęła blaster z rąk jednego z martwych strażników. Był zimny i wydawał się jej dziwnie ciężki. Zahara przeszła wymagane szkolenie w zakresie posługiwania się bronią, zanim podpisała kontrakt, umiała więc zlokalizować mechanizm bezpieczeństwa i przełączyć blaster na tryb ogłuszania.

Były trzy oddzielne cele.

Każda z nich miała solidne metalowe drzwi – matowoszare, wielkości trumny z panelem kontrolnym i miejscem na kartę magnetyczną u góry, po prawej stronie.

Zahara podeszła do pierwszych drzwi. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Jej ciało wydawało się pozbawione wagi, jakby unosiła się w powietrzu. Czuła słaby miedziany zapach własnego strachu, ulatniający się z porów skóry - nieprzyjemne, niepotrzebne przypomnienie, jak bardzo nie chce tego robić.

Nie musisz, pomyślała.

Tak, muszę, zdecydowała się i zbliżyła kartę do otworu. Ręka jej się trzęsła i chwilę to trwało, zanim odpowiednio ułożyła kartę i wsunęła do środka.

Drzwi zaczęły się otwierać.

Uniosła blaster i wycelowała w półmrok. Światło z zewnątrz odrysowało jej sylwetkę w celi jak czarny kontur, wycięty starannie ostrymi nożycami. Mrużąc oczy, zdołała dojrzeć ławę i stół ale poza tym pogrążone w ciszy pomieszczenie o wymiarach dwa na dwa było zupełnie puste.

W środku nikogo nie było.

Wycofała się i podeszła do drugiej celi. Włożyła kartę i...

Ze środka dobiegł dziwny hałas – coś jak warczenie, wyrażające zaskoczenie i wściekłość. Zahara odskoczyła do tyłu, nieporadnie próbując utrzymać blaster w ręku. Bezskutecznie szukała spustu, widząc szarżującego na nią lokatora celi. Stworzenie było olbrzymie, tak duże, że musiało się schylić, żeby zmieścić się w drzwiach celi. Miało ostre białe zęby i oczy, w których błyszcząły iskielki inteligencji.

Zahara cofała się niepewnym krokiem. Chciała zawołać: „Stój”, ale słowa utknęły jej w gardle, jakby próbowała krzyczeć przez sen, wypychając słowa z bezwładnych, zduszonych płuc.

Stworzenie zatrzymało się tuż przed nią i uniosło kudłatą głowę, może na widok blastera. Zorientowała się, że jest to Wookie, w tej samej chwili, w której dotarły do niej dudniące odgłosy z ostatniej celi i stłumione krzyki zza ściany.

- Stój – powiedziała, tym razem wyraźnie. Wycelowała lepiej blaster. – Nie ruszaj się.

Wookie zawył. Zahara uniosła kartę magnetyczną, zastanawiając się, w jaki sposób ma z jednym blasterem trzymać więcej niż jednego więźnia na muszce. Ale było już za późno.

Drzwi ostatniej celi otwały się ze szczękiem, odsłaniając stojącą za nimi postać. Zahara zerknęła na Wookiego ale ten się nie ruszał. Spojrzała, więc na drugiego więźnia i zobaczyła ciemnowłosego mężczyznę przed trzydziestką, ubranego w niedopasowany więzienny uniform. Patrzył na nią ciemnymi, pytającymi oczami.

- Co tu się dzieje?

- Jestem doktor Cody – powiedziała. – Naczelny lekarz. Zdarzył się...

- Więc nie przyniosła nam pani obiadu?

- Co? Nie. – Spodziewała się wrogości, konsternacji albo lekceważenia ale nonszalanckie zachowanie więźnia zbiło ją z tropu. – Niestety, zdarzył się wypadek. – Uniosła blaster, a Wookie wydał głęboki, niespokojny ryk, który zmaćła powietrze wokół niej.

- Dobra, dobra powiedział mężczyzna. – Niech pani opuści ten blaster, co? Chewie sie denerwuje.

- Chewie?

- Chewbacca, mój drugi plot – wyjaśnił ciemnowłosy mężczyzna i zrobił krok naprzód, tak, że wyraźniej zobaczyła jego twarz, po której błędził półuśmiech. – Ja jestem Han Solo.

## ROZDZIAŁ 19

# KAPSUŁA

Zanim znaleźli kapsułę, Trig był już pewien, że ktoś za nimi idzie.

Słyszał za plecami oddech a chwilami głuchoe odgłosy kroków. Coś śledziło ich, poruszając się niezgrabnie głównym korytarzem skrzydła administracyjnego, nie dbając już o zachowanie ostrożności. Czasem słyhać było ciche skrobanie. Kiedy indziej tylko oddech.

Nie musiał nawet wspominać o tym Kale'owi. Kale też wiedział. Ale paradoksalnie, zamiast przynieść ukojenie, ta niewypowiedziana świadomość pomiędzy nimi stała się katalizatorem paniki, która narastała w umyśle Triga; tak jakby musiał sobie radzić nie tylko ze swoim lękiem ale i ze strachem Kale'a.

Wreszcie zobaczyli kapsułę ratunkową wprost przed sobą, na zewnętrznej ścianie.

- Jest. – Kale nawet nie próbował ukryć ulgi w głosie, kiedy otwierał wąż kapsuły. – No dalej, włącz.

Trig wsiadł do środka.

- Ciasno tu.

- Zmieścimy się. – Kale usadowił się zanim i popatrzył na zestaw przyrządów



nawigacyjnych. – Teraz musimy tylko pomyśleć, jak się stąd wydostać.

- Poradzisz sobie z tym?

- Jasne.

- Nie wiesz, co robić, prawda?

- Dasz mi chwilę pomyśleć? – Kale zacisnął pięść i włożył ją między zęby, wpatrując się w oprzyrządowanie. – Myślałem, że są sterowane automatyczne, ale...

Za ich plecami odezwał się głos:

- Co my tu mamy?

To był Sartoris.

Stał z blasterami w obu rękach i wydawał się równie zmartwiony ich widokiem, co Trig, kiedy zobaczył jego. Z samej postawy kapitana Trig intuicyjnie wywnioskował, że są jakoś związani z tym mężczyzną; Sartoris wiedział coś o ich ojcu, choć Trig nie mógł zgadnąć, o co chodzi. A jednak wyczuwał głębokie, osobiste rozdarcie, wywołujące niepokój, który pojawił się na twarzy strażnika i zniknął niemal tak szybko jak ślad oddechu na szybie.

- Wynocha – powiedział beznamiętnie Sartoris.

Kale zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Co?

- Słyszeliście. Jazda. – Sartoris skierował lufę jednego z blasterów na Triga. – Ty też.

- Zmieścimy się wszyscy trzej.

- Jasne. – Sartoris się uśmiechnął, ale ten ponury uśmiech w żaden sposób nie złagodził jego wściekłej miny. – I na pewno byłoby nam razem bardzo przytulnie. Ale mam inne plany. A teraz wynocha. – Wciąż mierzył do nich z blasterów. – Na co czekacie?

- Tak po prostu pozwoli nam pan tu umrzeć? – spytał Kale.

- Chłopcze, jeśli o mnie chodzi, to możecie sobie nawet latać na golasa po mesie. Nie zastrzeliłem was jeszcze tylko dlatego, że musiałbym wyciągać wasze ścierwo z kapsuły. Więc oszczędźcie mi tego kłopotu.

- Nic pan nie rozumie – powiedział Trig. – Na barce coś jest, coś, co ciągle żyje. Śledziło nas. Jeżeli nas pan tu zostawi...

- Synku, nie chce mi się tego słuchać. – Sartoris wycelował blaster w jego twarz. Trig zobaczył otwór lufy, ogromny, czarny i nieskończony i odniósł wrażenie, że jego ciało znika. Poczł mgliście, jakby z odległości lat świetlnych, rękę starszego brata na swoim ramieniu i szarpnięcie do tyłu.

- Chodź – usłyszał głos Kale'a.

Wciąż w stanie nieważkości, Trig pozwolił się wyciągnąć z kapsuły. Potknął się i zobaczył jak Sartoris wyciąga z kieszeni płaski, czarny przedmiot i umieszcza go w systemie nawigacyjnym kapsuły. O nich zdążył zapomnieć – ten problem już go nie dotyczył.

Właz zamknął się z ledwo słyszalnym świstem. Rozległ się stłumiony huk zrywanych nitów i kapsuła wystrzeliła, pozostawiając Triga i Kale'a ze wzrokiem utkwio-

nym w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdowała.

Kale odchrząknął. Po długiej chwili milczenia wreszcie sobie przypomniał, że Trig stoi obok.

- Hej – powiedział. – wszystko będzie dobrze.

Trig spojrzał na niego. Teraz czuł się nie tylko pozbawiony wagi, ale też przeczysty, prawie nieobecny. Tak jakby ktoś podłączył pompę próżniową do jego duszy i wyssał z niej całą nadzieję.

- Chodź - powiedział Kale. – Mam pomysł.

## ROZDZIAŁ 20

# DZIEŃ ŻYCIA

Zaharze wystarczyła niecała minuta, żeby zorientować się, że Han Solo, kimkolwiek był, należy do najbardziej niezwykłych więźniów, jakich kiedykolwiek spotkała. Refleksja ta, nasunęła jej się zwłaszcza wtedy, kiedy próbowała wytłumaczyć mu, co się wydarzyło na pokładzie barki i jak bardzo on i Wookie potrzebują jej pomocy, jeżeli chcą pozostać przy życiu.

- Chwila, chwila – powiedział Han, niecierpliwie wymachując jej ręką przed nosem. – Twierdzi pani, że oprócz nas wszyscy w tym latającym kubie na śmieci nie żyją? – Popatrzył na stojącego obok Wookiego, jakby chciał się upewnić, że się nie przesłyszał. – Ty to kupujesz?

Wookie wydał z siebie głośny, płaczliwy ryk. Zahara słabo znała shyriiwook a to, co rozumiała, opierało się głównie na modulacji głosu. A głos Chewbaccy wyrażał niedowierzanie.

- No właśnie – zgodził się Han. – Ja też nie. – Spojrzał znów na Zaharę. – To wszystko, na co cię stać, pani doktor? Czy ma pani dla nas jeszcze jakaś bajeczkę?

- Niedługo sami się przekonacie. Infekcja, czyli jakiś rodzaj wirusa, ma szacunkowy współczynnik śmiertelności dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek siedem procent.

- Ktoś tu chyba bierze statystyki od androida. – Han zrobił krok w tył. Dopiero

teraz porządnie jej się przyjrzał i uśmiechnął się z uznaniem. – Chociaż muszę przyznać, pani doktor, że ogólnie rzecz biorąc, pani wydaje się być w całkiem niezłej formie.

Zahara poczuła, że się czerwieni.

- Ja... jestem odporna.

- No to my chyba też musimy być, nie?

- Niewykluczone, ale wątpię.

- Więc dlaczego jeszcze żyjemy?

- Byliście zamknięci w izolatce. Teraz, kiedy już wyszliście, jesteście narażeni na zakażenie i muszę wstrzyknąć wam przeciwciała. – Wyjęła z kieszeni strzykawkę i podstawowy zestaw medyczny, który wszędzie ze sobą nosiła. – To potrwa sekundę. Musicie mi tylko podać rękę i ...

Na widok igły Wookie warknął a Zahara poczuła ten dźwięk w głębi piersi. Po raz drugi zobaczyła błysk zębów Chewbaccy, lśniąco białych siekaczy i wyczuła zapach dzikiego stworzenia, płynący z jego futra albo z oddechu. Cofnęła się.

- Potrzebujecie tego – powiedział i odwróciła się w stronę Hana. – Obaj.

Han pokręcił głową.

- Wookie nie przepadają za igłami. Ja też nie.

- Jestem lekarzem.

- No cóż, nad podejściem do pacjenta to mogłaby pani popracować. – Spojrzał na broń, którą wciąż ścisnęła w dłoni. – A może leczenie wiązką blasterową jest teraz standardową procedurą operacyjną imperium?

- To tylko środek ostrożności. Nie mamy czasu na dyskusje. Zbyt wielu ludzi już zmarło.

- Pani doktor, niech... – zaczął Han i przerwał. Idąc za jego spojrzeniem, Zahara domyśliła się, że patrzy na nogę wystającą zza rogu, nogę jednego ze strażników, których ciała omijała idąc tutaj. Han wyciągnął szyję tak, że musiał dostrzec także inne ciała.

Kiedy spojrzał znów na nią, kpiący wyraz znikł z jego twarzy, wyparty przez coś innego – może nie strach ale pewien rodzaj przenikliwej świadomości. Zerknął na Chewbaccę. Wookie wciągnął nosem powietrze i z głębi gardła wydał niespokojne „thraggh”.

- Tak – mruknął Han. – Mnie też. – A potem zwrócił się niechętnie do Zahary: - Nie jestem tym zachwycony, pani doktor.

- Proszę zgódźcie się – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Potrzebujecie tego.

Wyciągnął rękę i podwinął rękaw. Zahara zdała sobie sprawę, że nie będzie mogła zrobić zastrzyku, trzymając jednocześnie karabin blasterowy. Odłożyła blaster i odkopnęła go za siebie na korytarz, potem chwyciła rękę Hana, przemyła ją i zanurzyła w skórze igłę. Han wzdrygnął się, gdy dociskała tłok strzykawki.

- Przetestowała to pani, prawda?

- Właściwie pan jest pierwszy.

Han zrobił wielkie oczy.

- Co?

- Proszę się uspokoić – powiedział Zahara. – Jak u pana z oddechem?
- Powiem pani za minutę – odparł. – Jeśli nie będę jeszcze martwy.

Zahara starała się nie okazywać niepokoju. Ufała bezgranicznie w analizę przeciwciał, którą przeprowadził Odpad, ale to nie znaczyło, że można wykluczyć wszelki margines błędu. Zresztą kto mógł wiedzieć dokładnie jak przeciwciała zareagują na organizm każdego człowieka? I jak się zachowają w przypadku zupełnie innych ras?

Ale jedyną alternatywą było czekanie, aż Chewbacca się zarazi. A ona nie była wcale pewna, czy wtedy przeciwciała coś pomogą.

Odwróciła się w stronę Wookiego.

- Twoja kolej.

Chewbacca wyciągnął rękę. Znalezienie żyły u Wookiego to zawsze było wyzwanie, ale udało jej się wymacać jedną pod gęstym, splątanym futrem, więc wbiła tam igłę. Zamruczał ale się nie poruszył.

- Już – powiedziała. – Teraz możemy...

Wookie zawył.

Pierwszą rzeczą, jaka Cheewbacca poczuł, był to ból młodych. Chór zranionych głosów, które atakowały go ze wszystkich stron naraz. Nie wiedział, co to oznacza, oprócz tego, że na pokładzie barki stało się coś złego i teraz to samo działo się z nim. Miał okropne wrażenie, jakby był częścią, współwinnym tych niewypowiedzianych zbrodni a wszystko z powodu zastrzyku, który zrobiła mu ta kobieta. Choroba, którą wszczepiła mu pod futro, pod skórę, żyła i pełzła przez jego ciało jak żywa, szara istota. Wspinająca się po jego ramieniu, przez bark, do gardła. Choroba cmoknęła językiem i wyszeptała: „Tak, to ty zrobiłeś te rzeczy; tak, to ty jesteś tymi rzeczami”.

Czy naprawdę to zrobił? Czy skrzywdził ich?

Ale to chyba niemożliwe. Przecież lekarka by go nie otruła; wstrzyknęła mu lekarstwo. Więc dlaczego tak bardzo bolało i dlaczego wciąż słyszał krzyki młodych?

Czuł się jakby w czaszce miał pełno płynu, który przytępił mu zmysł powonienia. Za to słuch stał się wyostrzony jak nigdy. Głosy wrzeszczały na niego, już nie błagalnie, ale oskarżając go o nieopisane potworności. Kiedy spojrzał na swoje dłonie, zobaczył, że ociekają czerwienią a w ustach poczuł obrzydliwy, słony smak krwi.

Teraz choroba była w nim.

I choroba chciała jeść.

Warknęła głośnie i wierzgnęła, chcąc ją odegnąć, ale dotarła już zbyt głęboko. Przedzierała się przez jego pamięć, wydobywając z niej szczegóły, których nie pamiętał od blisko dwustu lat. Słyszał stare pieśni śpiewane na Kashyyyku w Dniu Życia, widział twarze – starego Attichitcuka, Kallabowa, jego ukochanej Malli – tylko że teraz ich twarze się zmieniały, rozplływały i rozciągały a usta wykrzywiały dziwny, pogardliwy uśmiezek. Oczy jego ojca, skierowane na Chewbaccę, dostrzegły wstyd, który starał się ukryć. Wiedzieli, czym się stał teraz, kiedy nosił w sobie chorobę i co choroba każe mu zrobić z małymi. Wiedzieli, że zmasakruje ciała w celach i będzie

obżerać się ich parującymi wnętrznościami, wpychając je sobie do gardła bez przeżuwania, zniewolony przez chorobę i jej apetyt. Wiedzieli, że choroba jest nienasycona i że będzie musiał wciąż zabijać i jeść aż nie zostanie nic poza krwią, którą można zlizywać z zimnej durastalowej podłogi. Mówili: „To są prawdziwe pieśni Dnia Życia; te pieśni to jeść i zabijać, jeść i zabijać”.

Nie, to nie prawda. Nieprawda.

Wydał z siebie ogłuszający ryk, przynajmniej tak mu się wydawało i poczuł, że choroba przynosi zapomnienie. Był za nie wdzięczny. Miał szansę się ukryć, uwolnić od tego wszystkiego, co przeżywał. Ale nie próbował uciec; przyjął to z otwartymi ramionami.

Zahara odskoczyła i uchyliła się odruchowo, osłaniając się rękami. Chewbacca machnął na oślep ręką, w której wciąż tkwiła strzykawka – igła pofrunęła przez celę jak krzywo rzucona lotka, uderzyła w ścianę i zniknęła gdzieś w półmroku. Gdyby Zahara nie uchyliła się w porę, ręka Wookiego zmiażdżyłaby jej gardło.

- Hej, stary, spokojnie – powiedział Han, wyciągając rękę w jego stronę. – Chewie, to tylko...

Chewbacca ryknął na niego z wściekłością i Han cofnął się gwałtownie. Zmarszczył brwi i popatrzył na Zaharę.

- Co pani mu zrobiła?

- Nic. Dostał to samo, co pan.

- Może na jego rasę to działa inaczej, nie pomyślała pani o tym? – Spojrzał znów na Chewbaccę, ale jego twarz wyglądała teraz dziwnie obco i nieprzyjaźnie a oczy zdawały się nikogo nie rozpoznawać. Sprawiał wrażenie zagubionego, wystraszonego i gotowego zaatakować wszystko, co uzna za zagrożenie. Zgniły, zwierzęcy fetor, który Zahara poczuła wcześniej, teraz powrócił jeszcze ostrzejszy, niemal obezwładniający, jakby jakiś gruczoł agresji w metabolizmie Wookiego zaczął wydzielać silne hormony. Warczał teraz bez przerwy.

Nagle Zahara zauważyła opuchliznę, która rozdymała jego gardło; to, co uznała wcześniej za warczenie było w istocie serią zduszonych oddechów.

- Co to jest? – spytał Han. – Co mu się stało w szyję?

Zahara nie odpowiedziała. Nie potrafiła wyciągnąć żadnego sensownego wniosku z tego, co się działo, poza tym, że udało się jej znaleźć ostatnich żywych pasażerów barki tylko po to, żeby pomóc chorobie zrobić swoje jeszcze skuteczniej.

Wzięła się w garść i przeanalizowała szybko odporność Wookiego na patogen albo sama choroba stała się bardziej agresywna w ciągu ostatnich paru godzin i skróciła swój czas inkubacji z godzin do minut. Tak czy inaczej...

Chewbacca runął z hukiem na kolana, trzymając się za głowę. Zaczął kiwać się w przód i w tył przy słabnącym akompaniamencie okropnych gardłowych jęków. Kidy ponownie uniósł głowę, zrobił to z ogromnym wysiłkiem a Zahara zauważyła, że wściekłość znika z jego twarzy. Ale to był jedynie efekt uboczny niedoboru tlenu. Oczy Wookiego zaszyły mgłą a potężne ramiona pochyliły się do przodu, ulęgając sile

ciężkości, aż runął na podłogę.

Zahara przykucnęła.

- Niech mi pan pomoże go odwrócić.

- Co? Po co?

- Proszę to zrobić.

Han złapał Chewbaccę za ramię, a Zahara uniosła jego biodra. Przechylili potężne cielsko Wookiego i przewrócili je na plecy. Podłożyła mu rękę pod głowę i uniosła.

- Proszę znaleźć strzykawkę.

- O nie, nie ma mowy. – Han pokręcił głową. – Więcej mu pani tego nie wstrzyknie.

- Chce pan żeby pana przyjaciel przeżył? Proszę znaleźć tę cholerną strzykawkę.

Han chwilę pomyślał potem poszedł w róg celi, mrużąc pod nosem. Zahara zrozumiała, że w tej chwili ocalenie Wookiemu życia w dużej mierze zależy od tego, czy Han jej uwierzy. Jeśli nie, jeśli będzie próbował jej przeszkodzić, to nie będzie mogła nic zrobić, co najwyżej ulżyć Chewbacce w ostatnich chwilach życia.

Han wrócił po chwili ze strzykawką w ręku.

- Mam nadzieję, że...

Zahara wyrwała mu ją, wycisnęła resztkę przeciwciała, odchyliła Chewbacce głowę i wymacała zatkane drogi oddechowe. Ostrożnie omijając przewody tętnicze, wsunęła igłę, wyczuła jak przebija woreczek z płynem i odciągnęła tłok. Androidy wciąż tego nie potrafią, pomyślała. Żaden android nie odważyłby się tego zrobić.

I pewnie nie bez powodu.

Różawoszary płyn zaczął wypełniać zbiornik strzykawki. Han się nie odzywał ale usłyszała odgłos przetykanej śliny. Opróżniła strzykawkę, wbiła ją ponownie i odciągnęła kolejną dawkę płynu.

Po trzech pełnych strzykawkach opuchlizna zaczęła schodzić.

Krzyki w głowie Chewiego stały się głośniejsze.

Jakie są prawdziwe pieśni Dnia Życia?

„Jestem w tobie”, szeptała choroba, „i będziesz śpiewał pieśni, których ja cię nauczę a te pieśni to zabijać i jeść. Będziesz je śpiewał dopóki będę w tobie. Dopóki będę głodna a ja zawsze jestem głodna i zawsze będziesz śpiewał moje pieśni”.

Tak, odpowiedział jej Chewbacca. Jego myśli przybrały dziwnie oficjalną formę, jak czasem, kiedy myślał o czymś bardzo poważnie. Tak, jesteś we mnie. Wciągnąłem cię w płuca, kiedy otworzyły się drzwi więzienia, tak samo jak Han cię wciągnął zaczął kasłać i się dusić. Ale potem lekarka dała nam lek.

Choroba wrzasnęła na niego z wściekłością, ale już jej nie słyszał.

Poczuł, że nacisk na jego klatkę piersiową słabnie. Znowu mógł oddychać. Zwężenie w gardle ustąpiło, pozwalając na pierwszy, nieśmiały przepływ powietrza.



Wzrok też powracał; obraz stał się na tyle wyraźny, że dostrzegł Hana i lekarkę, którzy stali nad nim z zatroskanymi twarzami.

...to są prawdziwe Dnia Życia...

Siła, którą teraz odzyskiwał, była siłą jego rodziny i ojczystej planety. Podniósł się, ale swojego głosu nie chciał wystawiać na próbę. Jeszcze mu nie ufał. Spojrzał na dłonie. Były czyste. Odetchnął z ulgą. Poczł się, jakby wrócił do domu zobaczył bliskich, którzy go poznali i zaprosili do środka. Nie było już krzyków. W jego rodzinnym domu grała muzyka.

- Spokojnie. – Zahara rozerwała opakowanie bandażu i plastrów; próbując opatrzeć maleńką ranę od nakłucia na jego gardle. Nie mogła jej dostrzec przez futro, ale palce instynktownie odnalazły drogę. – Musimy to jak najszybciej oczyścić. Jak się czujesz?

Wydał ochryply jęk a potem jeszcze jeden, głośniejszy.

- W porządku, stary? – spytał Han, kiedy Chewie przytaknął krótkim warknięciem, zwrócił się do Zahary: - Paniusiu, miała pani furę szczęścia.

- Mam nadzieję, że wszyscy je mieliśmy – odparła. – Jeśli ten środek działa, powinniście być bezpieczni.

Pomogli Chewbacce wstać, co wymagało od obojga zaangażowania całych sił. Han przyglądał mu się bardzo uważnie, przygotowany na nawrót choroby, ale Wookie wydawał się stać pewnie.

- Możesz iść chłopie? – spytał Han.

Chewie odpowiedział kolejnym warknięciem.

- Dobra, w porządku – powiedział Han. – Zapomnij, że pytałem.

- Turbowinda jest tam – odezwał się Zahara, wskazując za róg. – Możemy przejść tędy, tylko uważajcie, żeby nie potknąć się o...

Wszyscy troje się zatrzymali.

- Gdzie ciała? – spytał Han. – Trupy strażników?

Zahara popatrzyła na podłogę na której wcześniej leżały zwłoki strażników więziennych. Wszyscy je widzieli.

Ale teraz ich nie było.

- Może nie byli martwi – powiedział Han powątpiewająco.

- Badałam ich.

- No to ktoś przyszedł i ich zabrał. Nie wiem, może to androidy konserwacyjne. – Spojrzał na nią. – Dlaczego jeszcze tu stoimy i o tym gadamy?

Zahara się zastanawiała. Pomyślała, że może 2-1B przyszedł tu, żeby się z nią spotkać i przeniósł ciała. Ale to by nie miało sensu. Zauważyła, że blastery też zniknęły – nawet ten, który dopiero, co wykopała z celi.

Zdawało jej się, że gdzieś w półmroku słyszy skrzypienie, jakby jakiś zabłąkany, samoaktywujący się serwomechanizm odezwał się pośród ścian i sprawił, że

podskoczyła przestraszona. Nagle zdał sobie sprawę, że Han ma rację. Powinni się stąd wynosić i to natychmiast.

- Do turbowindy tędy – powiedziała.

Han i Chewie weszli za nią, drzwi się zamknęły i poszybowali w górę.

- Dokąd idziemy?

- Do punktu medycznego. Muszę pogadać z Odpadem.

- Kto to jest Odpad?

- Mój android chirurgiczny.

- I nazywa go pani Odpad? Jak odpady podzespołów?

- Odpady podzespołów, odpady oprogramowania... – Wzruszyła ramionami, już spokojniejsza, odkąd opuścili ten wilgotny, ciemny dolny korytarz. – Zaczęłam tak mówić dla żartu i jakoś to do niego przylgnęło.

- Nie obraża się?

- Myśli, że to pieszczotliwe określenie – odparła i gdy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że to prawda.

Han odchrząknął, gdy winda zatrzymała się na poziomie ambulatorium. Zahara doskonale pamiętała korytarz usłany rozdętymi ciałami strażników i szturmowców, którzy zmarli, czekając na przyjęcie do ambulatorium – były ich dziesiątki, niektórzy pozlepiani ze sobą ciecżą, która zwymiotowali przed śmiercią. Zapach musiał być teraz jeszcze bardziej intensywny. Spodziewała się, że Han coś powie, może zakryje usta i zatrzyma się na chwilę, próbując wszystko ogarnąć, tak jak ona, kiedy zobaczyła to po raz pierwszy.

Turbowinda stanęła i drzwi otworzyły się odsłaniając korytarz. Zahara przygotowała się na szok, ale szok, którego doznała wychylając się z windy był innego rodzaju – nagły i porażający. Sprawił, że jej nogi stały się dziwnie ciężkie.

Wszystkie ciała zniknęły.

## ROZDZIAŁ 21

# OBUDZILI SIĘ

Han i Chewie szli za Zaharą korytarzem, nie odzywając się. Zwłaszcza Hano wi się to wszystko nie podobało. Nie był też zachwycony tym, że lekarka wciąż oglą-

da się przez ramię. Była niebrzydka, musiał to przyznać, ale ze strachem nie było jej do twarzy. I coś przed nim ukrywała doświadczenie podpowiadało mu, że kobiety i tajemnice tworzyły mieszankę równie nieprzewidywalną jak niestabilny reaktor termojądrowy.

- Daleko jeszcze? – zapytał.

Nie odpowiedziała, nawet nie spojrzała w jego stronę, tylko uniosła rękę, co mogło oznaczać, żeby się zamknął albo żeby się zatrzymali albo jedno i drugie. Han spojrzał na Chewiego, zastanawiając się jak długo będą jeszcze musieli to znosić.

Minęło dużo czasu, odkąd stracili wolność – pewnie całe miesiące od chwili, kiedy Imperialni weszli na pokład „Sokoła Millenium” i zajęli statek razem z jego ładunkiem. Prom kosmiczny przetransportował ich na tę barkę, jako jeszcze jedną parę anonimowych przemytników, którzy dla galaktyki byli nikim.

I na tym się skończyło, gdyby nie to, że tydzień wcześniej Han stracił cierpliwość i próbował uciec w czasie starannie zaaranżowanej awantury w mesie. Powalił strażnika więziennego, Chewie rzucił szturmowcem o stół, a potem wszystko spowiła ciemność.

Całkowita ciemność.

Większość czasu w karcerze upływała mu na rozważaniu, co będzie dalej, – kto, jeśli w ogóle ktokolwiek, mógłby ich uratować. Przemytnik miał niewielu przyjaciół a tacy, którzy byliby gotowi nadstawić karku za kogoś pokroju Hana, praktycznie nie istnieli. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać czy on i Chewie są skazani na spędzenie reszty życia w ciasnym, słabo oświetlonym lochu.

Idąca przed nimi lekarka znów się zatrzymała, odwróciła i spojrzała przez otwarte drzwi. Mimo że nigdy wcześniej tu nie był, Han domyślił się, że to punkt medyczny. Stał obok niej i zajrzał do środka a potem znów popatrzył na lekarkę. Z wyrazu twarzy Zahary odgadł, że nie tak tu wyglądało, kiedy wychodziła.

Wszystkie łóżka były puste.

Cały sprzęt medyczny, wszystkie monitory i pompy dozujące leki działały. Mrugały i ćwierkały do siebie, ale kroplówki rurki i inne przewody zwisały swobodnie a z niektórych wyciekało płynne lekarstwo, tworząc coraz większe kałuże. Prześcieradła i koce, pokryte plamami potu i krwi, wisiały poskręcane w nieładzie lub leżały rozwleczone na podłodze. Han zdał sobie sprawę, że przez tę ciszę ramiona mu zesztyniały a ręka poczuła się niewymownie samotna w miejscu gdzie powinien znajdować się jego blaster. Powziął szybką, ale świadomą decyzję, że musi się uspokoić.

- Ruchliwe miejsce – zauważył.

Pokręciła głową.

- Kiedy wychodziłam, było pełne.

- Bez urazy, pani doktor, ale może ta choroba panią też dotknęła.

- Nie rozumie pan – powiedziała. – Oni wszyscy byli martwi, dwudziestu albo trzydziestu, strażnicy, więźniowie, nie licząc leżących na podłodze. Nie zostawiłabym ich tu, gdybym mogła im jeszcze jakoś pomóc.

- Gdzie pani android?

- Nie wiem. – Podniosła głos: - Odpad?

2-1B nie odpowiadał. Han i Chewie przechadzali się wokół niej, spoglądając na rzędy pustych łóżek. Chewie zaryczał, na co Han mruknął:

- No, mnie też. – Nadepnął na zakrwawioną szpitalną koszulę, która wyglądała jakby ją ktoś rozerwał na pół i popatrzył znów na Zaharę.

- Powiedzmy, że ma pani rację i nikt poza nami nie przeżył.

Jak się stąd wydostaniemy?

- Jest tu gwiazdny niszczyciel.

Han był pewien, że się przesłyszał.

- Słucham?

- Nad nami. Prawdopodobnie wrak. Zadokowaliśmy do niego, żeby poszukać części do silników. Wtedy to wszystko się zaczęło. Nie mam pojęcia czy silniki zostały naprawione, zanim mechanicy zmarli. Jeśli nie...

- Więc ta zaraza przyszła z niszczyciela?

Kiwnęła głową.

- Wygląda na to, że lepiej trzymać się od niego z daleka.

Zahara nie odpowiedziała. Nachyliła się żeby obejrzeć nieregularną smugę krwi pod jednym z łóżek. Sięgnęła ręką, aż trafiła na coś palcami – Han nie wiedział, co to jest – i powoli wyciągnęła to spod łóżka.

- Co to? – spytał Han i po chwili sam rozpoznał.

Była to ludzka ręka, najwyraźniej siłą oderwana od ciała. Kości przedramienia były połamane i zmiażdżone jakimś tępym narzędziem. Dwa palce wyrwano ze stawów. Zahara patrzyła na nią, nie okazując emocji.

- Należała do strażnika – powiedziała.

- Skąd pani wie?

Wskazała na sygnet.

- Akademia ISW. – Upuściła sygnet, który uderzył głucho o podłogę.

Za jej plecami, na drugim końcu rzędu rozległ się ryk Chewbaccy.

- Eee, pani doktor... – odezwał się Han. – Chyba znaleźliśmy pani androida.

Gdy tylko to zobaczyła, Zahara uświadomiła sobie, że jakąś część siebie spodziewała się takiego właśnie rezultatu od momentu, kiedy dotarła do izolatek a Odpada ta mnie było.

Kawałki 2-1B leżały rozrzucone na podłodze za ostatnim łóżkiem. Jego ręce, nogi i głowa zostały metodycznie zdemontowane i zgniecione, korpus obity tak, że panel oprzyrządowania migał apatycznie i nieregularnie tuż pod powłoką. Wciąż jeszcze próbował mówić, wydając zniekształcone dźwięki przez swój wokoder.

- Doktor Cody? – powiedział.

- Odpad, co się stało?

- Przepraszam. Obraz kontrolny napisał na sowej ścianie. To było cudowne. Czy zechcą państwo skosztować ponownie?

- Odpad, posłuchaj mnie – przemówiła, kucając przy nim. – Pacjenci, ciała... co się z nimi stało?

Hej, pani doktor – odezwał się Han za jej plecami. – Zabierajmy się stąd, co? To miejsce...

- Cii – odpowiedziała Zahara, nie odwracając się. Całą uwagę skupiała na androidzie. – Ciąta, Odpad – ponagliła go. – Czy ktoś je zabrał?

- Przepraszam. Nic już nie zostało. Nie chodzi bez trzech i tych dwóch miejsc. Przykro mi. Podjęto wszelkie możliwe próby. - 2-1B szczęknął a w głębi jego dolnych procesorów coś zaiskrzyło i zabrzęczało. – Musimy dochować wierności świętej przysiędze...- przerwał, czknął i jakby uświadomił sobie nagle, o co pytała. - Coś niezwykłego. To cuda, naprawdę. Cudowne. – I nagle z przerażającą przytomnością: - Obudzili się! - Rozległ się jeszcze jeden krótki szczęk, chociaż tym razem bardziej zgrzytliwy a kiedy android znów przemówił jego głos brzmiał sennie i niewyraźnie. – Oni po prostu... – jedzą.

- Co?!

Podzespoły wewnątrz korpusu androida znowu zamigotały, ale więcej się już nie odezwał.

- Hej! – Zahara odwróciła się w stronę swoich towarzyszy. – Czy któryś z was zna się na androidach?

Ale Han i Chewie zniknęli.

## ROZDZIAŁ 22

# GRÓDŹ

Graffiti zabazgrane na wewnętrznej grodzi było w języku delphaniańskim ale Trig domyślał się co oznacza. Gang Facjat. Zakaz wstępu. Kara krwi.

- Uspokój się – powiedział Kale. – Myś nie żyje. Wszyscy nie żyją.

Ale to wcale nie sprawiało, że Trig poczuł się lepiej. Wcześniej te wszystkie ciała go przerażały, ale było coś jeszcze gorszego w tym, że ich nie widzieli. Nie napotkali żadnych trupów od momentu, kiedy Sartoris przegonił ich od kapsuły ratunkowej. Teraz przemieszczali się w poprzek pokładu administracyjnego, zgodnie z planem Kale'a. Początkowo Trig myślał, że to z powodu tej ukrytej trasy, która wiodła

przez wąskie korytarze, wzdłuż rur na ścianach, ale teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego nie widzieli ani jednego ciała.

- Potrzyмай. – Kale podał mu karabiny blasterowe, które niósł. – Zajrzyjmy. – Wyjął ze ściany obluzowany panel, sięgnął do środka i wyciągnął dwa zasobniki energii. – Dokładnie tu, gdzie je tata zostawił. – Wsadził rękę głębiej i grzebał przez chwilę po omacku, po czym wyjął jeszcze jeden blaster, pistolet. – Masz, ty weź ten.

- Nie chcę.

- Nie pytałem, czy chcesz.

Trig zrozumiał, że jego brat ma rację. Niezależnie od tego, czy ktoś ciągle za nimi szedł czy nie broń była mu potrzebna. Załadował zasobnik energii do blastera i docisnął do końca. Starał się znaleźć jakiś zręczny sposób trzymania go, żeby nie krepował mu ruchów, ale zdał sobie sprawę, że mu się to nie uda. Usłyszał głos swojego ojca: „Kiedy trzymasz blaster, wszystko inne schodzi na dalszy plan”.

Kale wskazał ręką na koniec korytarza.

- Chodźmy poszukać drugiej kapsuły ratunkowej.

- Skąd wiesz, że jest druga kapsuła?

- Musi być, bo jej potrzebujemy.

Trig pokręcił tylko głową. Pokrętna logika – ich ojciec byłby dumny.

- Ale poważnie.

- Poważnie? – powiedział Kale. – Imperialni budują wszystko symetrycznie. Są zbyt ograniczeni, żeby wymyślić coś innego. Więc jak jest jedna, musi być i druga w tym samym miejscu, tylko po przeciwnej stronie. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, co mam ci jeszcze powiedzieć.

Trig tylko pokiwał głową. Wolał pierwsze wyjaśnienie.

Piętnaście minut później Kale wydał cichy ale radosny okrzyk. Dotarli do przeciwległego krańca poziomego administracyjnego barki.

- A nie mówiłem?

Kapsuła wyglądała identycznie jak ta, którą zabrał im Sartoris. Trig zastanawiał się jak ją uruchomić bez kodów aktywujących ale nie chciał gasić entuzjazmu Kale'a. Miło było zobaczyć znów uśmiech na twarzy starszego brata. Podszedł do kapsuły i przytknął czoło do iluminatora, zaglądając do środka złowrogo podświetlonej bladym światłem komory.

Poczuł zalewającą go falę chłodu i błyskawicznie się odwrócił.

Ktoś zbliżał się korytarzem.

Tym razem to nie była wyobraźnia; Kale też to usłyszał. Trig widział to po twarzy brata. Obaj zarejestrowali głęboki pomruk, narastający w miarę jak ten kto go wydawał, nadchodził zza rogu.

- Stań za mną – wyszeptał Kale i uniósł oba blastery na wysokość klatki piersiowej. – Jak coś się stanie, najpierw strzelaj a potem uciekaj, kapujesz?

- Czekaj – powiedział Trig, szarpiąc się z pistoletem. – Gdzie się przełącza na ogłuszanie?

Kale powiedział coś jeszcze ciszej ale Trig ledwie go słyszał przez bicie wła-



snego serca. Uświadomił sobie, że za chwilę po raz pierwszy będzie musiał oddać strzał z blastera i że od tego jak sobie poradzi, będzie zależało jego życie. Jeśli pojawi się jeszcze jeden strażnik, to może będą musieli go zabić. Właśnie dlatego od początku nie chciał nosić blastera ale teraz to już nie miało znaczenia, bo...

Zza rogu wyłonił się mężczyzna w pomarańczowym więziennym uniformie z Wookiem przy boku.

- Stać! – krzyknął Kale.

Kiedy mężczyzna i Wookie ich zobaczyli, zatrzymali się ale żaden z nich nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego. Mężczyzna uniósł ręce ale Wookie zaryczał głośniejszym i zgarbił się jakby wciąż nie wykluczał ataku jako ewentualnej reakcji.

- Spokojnie mały, odłóż blastery.

- Nie ma mowy. – Kale pokręcił głową. – Co tu robicie?

Oczy Hana skierowały się w stronę kapsuły ratunkowej.

- Chyba przyszliśmy po to samo.

- Nie wystarczy miejsca – powiedział Kale. – Więc lepiej ty i twój przyjaciel wracajcie tam, skąd przyszliście.

- Jesteście braćmi? – Han się nie poruszył ale skierował teraz uwagę na Triga. Kąciki jego ust uniosły się w dziwnym uśmiechu, krzywym ale szczerym. – Używaliście już kiedyś czegoś takiego?

Trig nie wiedział czy chodzi mu o blastery czy o kapsułę, więc pokiwał po prostu głową.

- Pewnie.

- No jasne. Daj spokój mały, oddaj lepiej spluwy co? – Wyciągnął obie ręce tym swobodnym, krzywym uśmiechem i zaczął iść powoli w ich stronę tak jakby już zdecydował jak to wszystko się zakończy i jakby to była tylko kwestia czasu, żeby wszyscy inni także to zrozumieli.

- Jeszcze krok i strzelam! – krzyknął Kale łamiącym się głosem ale był już za późno. Zarówno on jak i Trig patrzyli na mężczyznę, gdy tymczasem powinni byli obserwować jego partnera.

Wookie z łatwością i w mgnieniu oka pokonał dzielący ich dystans. Powalił Kale'a, wytrącając mu oba blastery, które uderzyły o podłogę. Jednocześnie wyciągnął ogromną futrzaną łapę i schwycił nią Triga. Trig usłyszał "uff" wydobywające się z jego ust i poczuł, jak ucieka z niego całe powietrze, jakby wyssane przez próżnię. On też upadł a kiedy już leżał, zdał sobie sprawę, że upuścił blaster, który jakimś sposobem zdążył się pojawić w ręku mężczyzny.

Wookie trzymał blastery wycelowane w nich a Trig poczuł, jak resztką nadziei wypływa z niego jak brudna woda z wanny. Jak mogli sądzić, że uda im się powstrzymać parę zawodowych kryminalistów niemających nic do stracenia?

Mężczyzna tymczasem podszedł do kapsuły ratunkowej.

- No cóż, chętnie byśmy was zabrali, chłopcy ale jak sami zauważyliście miejsca nie ma w nadmiarze, więc...

- Nie uda wam się – odezwał się głos.

Trig odwrócił się i zobaczył stojącą za nimi kobietę. Dopiero po chwili zorientował się, że to doktor Cody, naczelną lekarz na „Czystce”. Nie widział jej od dnia,

Kiedy zmarł ich ojciec ale teraz jej śliczna twarz – z reguły uśmiechnięta jakby czymś rozbawiona – wydawała się szara i dziwnie martwa, jakby postarzała się o dwadzieścia lat od ich ostatniego spotkania. Nawet jej głos się zmienił. Brakowało w nim tej niewymuszonej, przyjemnej szczypty ironii, którą słyszał wcześniej, tego tonu, który mówił: „Pracuję na imperialnej barce więziennej, czy może być gorzej?” Teraz wyrażał jedynie zmęczenie i rezygnację.

- Co pani chce przez to powiedzieć? – spytał Han.

- No, dalej – powiedziała doktor Cody tym samym dziwnie obojętnym głosem.

– Spróbujcie wsiąść do środka.

Mężczyzna pociągnął za wąż kapsuły ratunkowej ale ten się nie otworzył.

- Co, zamknięte? Skąd pani wiedziała?

Zahara wskazała na czerwone światelko palące się przy napisie : „System bezpieczeństwa włączony” obok wążu kapsuły. Trig też go wcześniej zauważył.

- Zamknięte.

- Więc jak dostaniemy się do środka?

- W sterowni jest przełącznik ręcznego sterowania. – Doktor Cody odwróciła się w stronę Wookiego. – I dajcie już sobie spokój z tymi blasterami, dobrze? Nie sądzę, żebyście musieli się czegoś obawiać ze strony dwójki nastoletnich kanciarzy.

- Hej, to oni na nas wyskoczyli z blasterami – zaprotestował Han a Wookie zawtórował kłótliwym, ostrym warknięciem ale obaj opuścili broń.

- Sterownia jest dokładnie nad nami - powiedziała doktor Cody. – Pójdę zobaczyć czy da się odblokować kapsułę.

- Ja i Chewie pójdziemy z panią, żeby rzucić okiem na silniki. – Han spojrzął na Kale'a i Triga. – Idziecie z nami, dzieciaki?

- Zostaniemy tutaj – powiedział Kale. – No wiecie, popilnować.

Han wzruszył ramionami.

- Jak chcecie.

- Co...? – Trig spojrzął niepewnie na starszego brata ale poczuł, że Kale ścisną jego ramię, delikatnie lecz stanowczo.

- Trzymaj. – Doktor Cody wręczyła Trigowi komunikator. – Odezwe się jak uda mi się otworzyć, żebyście mogli sprawdzić, zanim wrócimy. Postaramy się wrócić jak najszybciej.

- Zostawcie nam blastery – powiedział Kale.

- Jasne – prychnął Han.

- Jeden możecie im dać – stwierdziła Zahara.

Han popatrzył wyczekująco na Chewiego.

- No co? Mojego nie zabierze. – Ale Wookie tylko się w niego wpatrywał. – Świetnie – mruknął Han i cisnął bronią w Kale'a. – Trzymaj chłopcze. Spróbuj sobie nie odstrzelić stopy.

Kale chwycił karabin i kiwnął głową a Han, Chewbacca i doktor Cody ruszyli w drogę.

- Pani doktor? – odezwał się Trig.

Zatrzymała się i odwróciła.

- Czy ktoś jeszcze został oprócz nas?

- Nie sędzę – odpowiedziała a Trig wyczytał z wyrazu jej twarzy, że spodziewała się innego pytania. Ale dopiero teraz, kiedy się oddalili uświadomił sobie o co powinien ją zapytać.

Gdzie się podziały wszystkie trupy?

## ROZDZIAŁ 23

# W ŚRODKU

Czekali od pięciu minut, gdy rozległ się pierwszy alarm.

Kale wyjaśnił, dlaczego zaproponował, że zaczekają tutaj.

- Jak doktor Cody dostanie się na pokład załogowy i otworzy kapsułę, wsiądziemy do środka i powiemy jej, że kapsuła potrzebuje kodów aktywujących, takich jak te, które miał Sartoris. Ona nam je poda i już nas tu nie ma.

- Ona nie jest głupia – zauważył Trig. – Zresztą nie możemy jej tu tak po prostu zostawić.

- Imperialni przyślą statek ratunkowy.

- Skąd wiesz?

- Ona jest wysoko postawiona. – Kale machnął ręką. – Wiesz, ma kontakty.

- To jeszcze nie znaczy, że po nią wróca.

- Naprawdę cię to gryzie, co?

- W końcu pomogła tacie – powiedział Trig. – To coś znaczy.

- Słuchaj... – Kale popatrzył na niego z głupawym uśmieszkiem. – Wiem, że się w niej kochasz, ale...

- Co? – Trig poczuł, że płonie mu twarz i czubki uszu. – Co ty pleciesz?

Kale wzruszył ramionami, wyglądał jak ucieleśnienie braterskiej obojętności.

- Mów, co chcesz ale to widać, choćby po tym jak na nią patrzysz. Zresztą nie dziwię ci się. Brzydka nie jest... – Jego twarz spochmurniała. – Tylko nie zapominaj dla kogo pracuje.

- Co to ma znaczyć?

Kale zaczął coś mówić ale w tym momencie powietrze przeszył wysoki, przenikliwy pisk dobiegający z za zamkniętych drzwi – jakiś miejscowy system alarmowy. Obaj aż podskoczyli a Kale wywinął karabinem blasterowym – trochę zbyt bezczel-

nie, pomyślał Trig; zaczynał się już przyzwyczajać do noszenia broni.

- Co to? – zapytał.

- Zaczekaj tu – powiedział Kale. – Zaraz wracam.

Zanim Trig zdążył zaprotestować, jego brat ruszył korytarzem, trzymając blaster na wysokości klatki piersiowej. Drzwi otworzyły się przed nim z cichym hydraulicznym sykiem. Kale stanął w nich i rzucił przez ramię spojrzenie na Triga.

- Zostań tam, gdzie jesteś – polecił i drzwi się za nim zamknęły.

Po chwili alarm zamilkł. Zupełnie jakby coś na końcu korytarza obudziło się z płaczem, zjadło Kale'a i poszło z powrotem spać. Trig wzdrygnął się na ten wymyślony obraz i próbował wyrzucić go z głowy, ale bez rezultatu. Dzwoniło mu w uszach i zastanawiał się, co ma zrobić i skąd w ogóle wiedzieć, ile czasu minęło, od kiedy wszyscy poszli.

Próbując zająć czymś niespokojny umysł, odwrócił się ponownie w stronę kapsuły ratunkowej. Czerwone światełko wciąż się paliło, spróbował jednak mimo wszystko szarpnąć za wąż w razie gdyby doktor Cody zdążyła już go zdalnie odblokować. Nie otworzył się. Czego się spodziewał? Przytknął znów nos do iluminatora, osłonił oczy dłońmi i wysilił wzrok, próbując dostrzec czy w układzie świecącej tablicy przyrządów coś się zmieniło ale nie zdołał nic wyraźnie dojrzeć.

Nagle wewnątrz kapsuły coś się poruszyło.

Trig odsunął się gwałtownie i zaczął się cofać na drżących nogach. Zesztywniał z szoku a zakończenia nerwowe przypominały rozgrzane miedziane druciki. Serce biło mu tak mocno, że słyszał jego uderzenia w gardle. Wcale tego nie widziałem, wmawiał sobie to tylko światła w środku tak wyglądały, ale...

Wstrzymał oddech, nasłuchując.

Ze środka kapsuły dobiegło go ciche drapanie.

Trig zrobił jeszcze jeden krok w tył, aż poczuł, że plecami dotknął przeciwległej ściany. Skierował wzrok na drzwi, w których parę minut wcześniej zniknął Kale ale Kale nie wracał – nie dawał żadnych znaków życia. A drapanie wewnątrz kapsuły było coraz głośniejsze – nieregularne ale uporczywe skrobanie palców a może szponów o wewnętrzną stronę wążu. Wsłuchując się w nie, Trig zdał sobie sprawę, że staje się nie tylko coraz głośniejsze ale też coraz szybsze i coraz bardziej zażarte, tak jakby to coś wiedziało, że on jest na zewnątrz i chciało się do niego dostać.

Trig uświadomił sobie, że ścisła komunikator tak mocno, że aż zdrętwiała mu ręka. Uniósł go i nacisnął włącznik.

- Pani doktor?

Po długiej chwili ciszy odezwał się głos – mocny i wyraźny.

- Trig?

- Tak.

- Jesteśmy już na mostku,. Szukamy ciągle ręcznego sterowania, żeby otworzyć kapsułę. To nie powinno zbyt długo potrwać.

- Zaraz – powiedział Trig. – Poczekajcie trochę. W kapsule już coś jest.

- Co mówisz?

- Coś jest w środku. Słyszę jak drapie.

- Poczekaj Trig. – Kolejna długa chwila ciszy. Tym razem przeciągnęła się tak

bardzo, że Trig myślał już, że stracił sygnał. Wreszcie odezwał się głos doktor Cody.

– Trig jesteś tam?

- Jestem.

- Mam tutaj bioskan całej barki.

- No i?

- Nie widać żadnych żywych organizmów wewnątrz kapsuły.

Trig popatrzył na właz. Drapanie maniakalnie przybrało na sile a oprócz tego słyhać było jeszcze coś – mokry, obśliniony szcęk zębów tak jakby to, co było w środku, próbowało wygryźć dziurę.

Trzeba było zapytać ją o ciała, pomyślał znów Trig trochę histerycznie. Tak, to pewnie byłby dobry pomysł.

Słowa wypłynęły z jego ust jakby mimo woli:

- Coś tam jest!

- Nie słyszę, Trig.

- Powiedziałem...

- Dobra – oznajmił głos doktor Cody. – Mam, znalazłam wyłącznik blokady.

- Nie, niech pani zaczeka...

Rozległ się szcęk i właz się otworzył.

## ROZDZIAŁ 24

# WIECZNOTRWAŁY

Kiedy Kale wrócił, Triga nie było.

Właz kapsuły był otwarty. Przykucnął i wczołgał się do środka a zielone lampki kontrolne oświetliły mu twarz.

- Trig?

W środku jego brata też nie było a gazowy, zgniły zapach był tak nieprzyjemny, że Kale zrezygnował z dokładniejszych oględzin. Odór kojarzył mu się z legowiskiem drapieznika, usłanym obgryzionymi do kości resztkami ostatniego posiłku. Pomyślał, że będzie musiał się do tego przyzwyczaić, skoro kapsuła była jedynym

sposobem na wydostanie się stąd ale na razie musiał znaleźć brata.

Wycofując się, trącił nogą mały, płaski przedmiot, który wydał z siebie krótki elektroniczny brzęk. Kale zmarszczył brwi. To było niepodobne do Triga, tak coś zostawić to tak samo jak oddalić się bez powodu.

Podniósł komunikator i włączył go.

- Doktor Cody? Mówi Kale.

- Słyszę cię, Kale – odpowiedziała.

- Proszę posłuchać, coś się stało z moim bratem.

- Powtórz.

- Włączył się alarm i poszedłem to sprawdzić. Kiedy wróciłem, już go nie było.

Właz kapsuły jest otwarty ale jego nigdzie nie widać.

- Poczekaj chwilę, Kale. Sprawdzę coś.

Czekając, Kale zaczął się przyglądać wewnętrznej powierzchni drzwi kapsuły. Była porwana dziesiątkami zadrapań. Niektóre z nich, te najgłębsze, przeorały metal. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć drzwi i poczuł wilgoć. Kiedy cofnął palce zobaczył, że ociekają krwią i jeszcze czymś, lepkiem i ciepłym. Wytał je o nogawkę spodni z dreszczem obrzydzenia.

- Kale, skaner wykazuje obecność żywego organizmu około piętnastu metrów w głąb korytarza po twojej prawej stronie. Widzisz coś?

Odwrócił się ale nic tam nie było – te same znajome brudne ściany, przyćmione światła i niski sufit, poźółkły i wyblakły jakby przebarwiony przez lata od potępieńskich, pozbawionych nadziei oddechów tysięcy skazańców.

- Nie – powiedział. – Nic tu nie ma.

- Jesteś pewien? Sygnał jest wyraźny.

- Nie, widzę tylko pusty korytarz. Nie... zaraz.

Odłożył komunikator, uniósł blaster i podszedł do ściany, żeby przyjrzeć się z bliska. Przed sobą na wysokości ramienia zobaczył oddzielny panel ścienny z napisem; „Szyb konserwacyjny 223”.

Kale pchnął sprężynowy panel lufą karabinu blasterowego, odstaniając znajdujący się za nim szyb. Podmuch cuchnącego powietrza uderzył go w nozdrza. Jęknął i omal się nie zakrztusił. Zasłonił nos i usta wolną ręką i zanurzył się w głęboką ciemność, uważnie patrząc w dół.

- Trig?

Jego głos powędrował w dół metalicznej pustki, rozbrzmiewając głucho w otchłani. Kale przypomniał sobie co widział, kiedy poszedł zbadać sprawę alarmu. Nie było tam nic nadzwyczajnego, zupełnie nic, prawdopodobnie jakaś drobna awaria, ale jedna rzecz utkwiała mu szczególnie w pamięci – pojedynczy krwawy odcisk dłoni na ścianie na wpół rozmazany i na tyle świeży, że jeszcze z niego kapkało. Gdy to zobaczył uświadomił sobie, że to nie był dobry pomysł zostawiać Triga samego, nawet na kilka sekund. Wtedy właśnie wrócił i zastał to, co zastał.

Postanowił spróbować raz jeszcze i nachylił się nad szybem.

- Trig, jesteś tam?

Jego brat wyskoczył z szybu z przeraźliwym krzykiem. Powalił Kale'a wpadając na niego z impetem, który prawdopodobnie uratował mu życie. Gdyby działa się



to wolniej – gdyby Kale miał czas, żeby unieść blaster – zapewne odruchowo zastrzeliłby własnego brata. Ale Trig leżał już na nim – wciąż krzyczał, wymachiwał rękami, drapał, wierzgał i wciągał powietrze wielkimi haustami. Kale zauważył, że brat płacze – szłocha wysokim, zdławionym, rozpaczliwie przerażonym głosem, przez co wydawał się znacznie młodszy niż w rzeczywistości.

- Spokojnie - powiedział Kale, obejmując go. Teraz dopiero zobaczyli, że uniform Triga jest cały poszarpany, jakby dobrało się do niego jakieś zwierzę. Rozpruty kołnierz odsłaniał wątlą, gładką pierś a jeden z rękawów był całkowicie oderwany tak, że tkanina była wilgotna i lepka, tak jak wewnętrzna strona włazu kapsuły ratunkowej. Kale przycisnął brata mocno do piersi, dopóki nie poczuł, że wypływają z niego emocje albo przynajmniej zmęczenie spowalnia paniczne konwulsje. Nadal go tulił, aż wreszcie Trig ucichł, tylko czasami gwałtownie łapał oddech.

- Już dobrze – szepnął Kale i odchylił głowę, żeby w końcu przyjrzeć się dobrze twarzy Triga. – Co się stało?

Trig wpatrywał się w niego przekrwionymi oczami. Jego skóra stała się niemal przezroczysta. Twarz była nieruchoma nie licząc delikatnego drżenia podbródka.

- Ktoś cię zaatakował? – spytał Kale. – W kapsule ktoś...?

Czekał, aż jego pytanie dotrze do Triga ale brat nie odpowiadał. Im dłużej wpatrywał się w Kale'a tym bardziej Kale się zastanawiał czy dzieciak w ogóle go widzi. Objął go znowu i przytulił.

- Posłuchaj – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało, w porządku? Obiecuję.

Ale wspomnienie krwawego odcisku ręki znów do niego wróciło. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu złożył bratu obietnicę, której nie będzie w stanie dotrzymać.

## ROZDZIAŁ 25

# MARTWE ŚWIATEŁKA

Te silniki są kompletnie zarżnięte – powiedział Han, podnosząc się znad zdje-

tego panelu podłogowego na środku sterowni barki i wytarł dłonie z pyłu i smaru z reaktora. – Nie wiem, co ci inżynierowie próbowali tu zrobić ale za wiele nie działali. Tą kupą złomu nigdzie nie dolecimy.

- Udało mi się otworzyć kapsułę – powiedziała Zahara. – Kody aktywujące...

- Doktor Cody? – wtrącił głos Tisy. – Odbieram nowe odczyty żywych organizmów na bioskanie.

- Nowe odczyty? – Han popatrzył na Zaharę, marszcząc brwi. – Mówiła pani, że wszyscy nie żyją.

- Bo nie żyją. – Spojrzała na rząd elektronicznych przyrządów. – Tisa, wyświetl wszystkie dodatnie odczyty bios kanu.

- Tak jest, pani doktor. – Przed ich oczami zamigotała siatka cienkich, świecących linii, które krzyżując się zaczęły znów tworzyć barkę w miniaturze.

- Co to...? – zaczął Han.

Trójwymiarowy, wielopoziomowy schemat statku – wcześniej pusty, niemal elegancki układ czystych przestrzeni i linii – teraz roił się od krwistoczerwonych, świecących punkcików. Poruszały się razem w zwartej grupie, wylewając się z bloków więziennych. Pokonywały gromadnie kolejne poziomy i zbliżały się do strefy administracyjnej. Na hologramie wyglądało to tak, jakby posuwały się naprzód z nieproporcjonalną, owadzią prędkością.

- Zaraz, zaraz – powiedział zaskoczony Han. – Co to jest?

Lekarka pokręciła głową.

- Żywe organizmy.

- Dzięki, pani doktor – rzucił. – A jakieś konkrety? Czy mamy się bawić w zga-dywanki?

Zahara wpatrywała się w skupiska maleńkich światełek z których każde stanowiło odrębny organizm. Poruszały się w niewiarygodnym tempie, pnąc się po kłatkach schodowych, kanałach wentylacyjnych i szybach użytkowych.

- To niemożliwe. Wcześniej ich nie było. Tisa, jak to możliwe, że przedtem nie zostały zarejestrowane?

- Wcześniej nie było żadnych żywych organizmów, pani doktor.

- Więc skąd się wzięły? – Patrzyła, jak kolejne czerwone światełka pojawiają się na dolnych pokładach jakby wytwarzały się samoistnie. Przypomniała sobie to, co Odpad powiedział jej o zachowaniu cząsteczek wirusa: jak ukrywają swoją śmiertelność, dopóki nie osiągną takiej liczebności, przy której organizm nosiciela nie jest w stanie ich wokół niej zwalczyć. Mechanizm „wyczuwania liczebności”, jak to określił. Nagle poczuła, jakby zacisnęły się dwie ciasne, żelazne obręcze: jedna blokowała gardło a druga obejmowała klatkę piersiową, wstrzymując oddech.

- Ile stąd jest wyjść? – spytał Han i w tym momencie zdała sobie sprawę, że nią potrząsa. – Hej, pani doktor, mówię do pani.

- Tylko... – wskazała na właz i schody, którymi przedostali się z pokładu administracyjnego - ...tylko to, którym weszliśmy.

- A jakieś inne kapsuły ratunkowe?

- Tylko ta, którą zostawiliśmy za sobą. – Zahara wyciągnęła rękę, wskazując zachodnie skrzydło pokładu pod nimi. Teraz było już całkowicie opanowane przez

gąszcz czerwonych światełek. To było ostatnie miejsce, w którym widziała Triga i Kale'a. Wolała nie myśleć, gdzie są teraz.

Na planie barki widać było szerokie schody prowadzące z pokładu administracyjnego na mostek. I teraz czerwone światełka – martwe światełka, rozpaczliwie powtarzała w myślach Zahara – przesuwały się właśnie w tym kierunku.

- Świetnie – mruknął Han. Uniósł blaster i odwrócił się w stronę drzwi. – Zdaje się, że będziemy musieli torować sobie drogę ogniem. Znowu.

Chewbacca zaryczał, potrząsając potężną głową i wymachując karabinem. Wyglądał na mocno zmartwionego tą perspektywą.

- Czekajcie – powiedziała Zahara, wskazując na wieżyczkę wystającą u góry hologramu i odwróciła się w stronę mostka. – Jakies dwadzieścia metrów od nas, na końcu pokładu załogowego jest szyb dokujący, który prowadzi na górę.

Han popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Co, na gwiazdny niszczyciel?

- To nasza jedyna szansa.

- No nie wiem. Tam, skąd pochodzę jest takie powiedzenie: z gniazda potwora w jego paszczę.

- Czymkolwiek są te istoty, muszą być ich setki. Na jak długo wystarczą wasze zasobniki energii?

I wtedy usłyszała jak nadchodzą. Był to ogłuszający, brutalny hałas nabrzmiały wściekłością i głodem; nieludzki wrzask, który zmroził jej krew w żyłach. Na schodach wiodących z pokładu administracyjnego słychać było zbliżające się kroki. Zahara spojrzała w kierunku, w którym znajdował się szyb dokujący. Kiedy odwróciła się z powrotem w stronę Hana i Chewbaccy, krzyżąc, że muszą się stąd wynosić i to już, ujrzała Kale'a Longa, który wpadł przez półotwarty właz prowadzący z pokładu administracyjnego, niosąc ciało młodszego brata.

- W nogi! – wrzasnął Kale. Sam biegł tak szaleńczo szybko, że jego stopy zdawały się ledwo dotykać podłoża. Rozglądał się we wszystkie strony równocześnie a jego oczy były niemal idealnie okrągłe ze strachu. Trig zwisał bezwładnie w ramionach brata. Zahara pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała kogoś tak przerażonego.

- Gdzie drugi blaster, mały? – krzyknął Han.

- Musiałem go zostawić, żeby wziąć brata...

- Zamknij za sobą drzwi! – rozległ się głos Hana, jednak Kale był już daleko i pędził przez mostek. Han zebrał siły, żeby szarpnąć za rozsuwany właz. – Chewie, pomóż mi z tym, co?

Wookie rzucił się na pomoc Hanowi i wspólnym wysiłkiem zasunęli panel drzwi.

- Tędy – krzyknęła Zahara i ruszyła w lewo. Biegła niemal ramię w ramię z Kale'em przez mostek w kierunku szybu dokującego. Przed sobą widziała jedynie rzędy tablic i przyrządów a między nimi jeden otwarty właz.

Żeby tylko tam był, pomyślała. Proszę, niech będzie tam, gdzie mówiła Tisa.

Oglądając się za siebie, zobaczyła Hana i Chewbaccę, którzy próbowali ich dogonić. Zahara dała nura przez właz i ujrzała drzwi wierzy dokującej. Turbowinda była otwarta i gotowa.

Uda nam się, pomyślała.

I w tym momencie rozsuwane drzwi, które Han i Chewbacca dopiero co zamknęli, rozsadził wybuch.

## ROZDZIAŁ 26

# ARMIA OSTATNICH

Kale wskoczył do wieży dokującej, trzymając wciąż Triga na rękach a tuż za nim wbiegła doktor Cody. Obejrzał się za siebie i zobaczył Hana Solo i Chewbaccę, którzy byli w połowie drogi przez sterownię. Wookie ostrzeliwał to, co ich goniło. Kale nie widział, co to jest ani też za bardzo nie chciał wiedzieć. Wystarczy, że to słyszał.

- Szybciej! – ponagliła doktor Cody Hana i Chewiego. – Muszę zamknąć szyb!

Z miejsca w którym siedział skulony z młodszym bratem w ramionach, Kale widział jedynie lekarkę wyciągającą rękę żeby zamknąć drzwi windy a następnie Solo i Wookiego wskakujących do środka. Chewbacca cały czas strzelała a blasterowa kanonada dzwoniła Kale'owi w uszach.

Nagle Trig podniósł się a oczy miał szeroko otwarte.

- Tata?

Kale popatrzył na niego.

- Trig, co...

- To on. – Młodszy z braci uwolnił się z jego ramion, wyminął Hana i Chewbaccę i wyczołgał się turbowindy z powrotem do sterowni. – Tata tam jest! Krzyknął. – Widziałem go! On...

Kale rzucił się za nim. Wyciągnął rękę tak daleko, jak tylko mógł i chwycił Triga za nogawkę zahaczając palcami o mankiet. Usłyszał głuchy łomot, kiedy brat upadł na podłogę, złapał go drugą ręką w pasie i zaczął wciągać z powrotem do szybu dokującego.

Wtedy podniósł wzrok.

I zobaczył swojego ojca.

Von Longo zbliżał się do nich chwiejnym truchtem, powłócząc nogami jakby był poskręcany i połamany w biodrach i w ramionach. Otaczała go grupa więźniów i strażników.

Tyle że jak zauważył Kale z nagłym przerażeniem to już nie byli więźniowie i strażnicy, nie całkiem, podobnie jak ich staruszek. Obumarła, żółta skóra ojca nosiła sine ślady dwutygodniowego gnicia w kostnicy. Jego czaszka była groteskowo spuchnięta a z jednej strony częściowo się rozpadła tak, że Kale wyraźnie widział wyszczerzony zawias żuchwy, która klekotała w stawie.

Chłopiec zamarł. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, patrzył jak jego ojciec kuśtyka w jego stronę kołysząc się w tym karykaturalnym, krzywym, chodzie z twarzą rozświetloną żarłoczną, znajomą żądzą.

Wreszcie Kale otrząsnął się z odrętwienia. Zerwał się na równe nogi i rzucił z krzykiem w stronę szybu. Zobaczył, że Solo i Wookie, wciągając Triga do środka zerkaają ponad nim w kierunku korytarza, z którego dochodził hałas. Jak we śnie ujrzął twarz doktor Cody, zupełnie białą ze strachu. Kale widział jak lekarka wyciąga rękę i zasłania Trigowi oczy.

Nagle poczuł, że coś chwyta go za nogę.

Nawet nie usłyszał własnego krzyku.

## ROZDZIAŁ 27

# POWIEDZ TO TRZY RAZY

Kiedy Kale się ocknął, leżał na plecach a nad nim klęczała doktor Cody. Wokół niego działo się wiele rzeczy, których nie widział. Ręce Zahary, poruszając się z zawodową biegłością owinęły zakrwawiony pasek materiału wokół jego łydki raz i drugi, mocno zaciągnęły i zawiązały na supeł. Kale syknął wciągając przez zęby zimne, nieznane powietrze o smaku opiłków żelaza i poczuł jak wywracają mu się wnętrzności.

Gdzie my jesteśmy? – pomyślał.

- Wszystko w porządku. – Głos lekarki dobiegał jakby z oddali. – Udało się. Jesteśmy w hangarze niszczyciela.

Kale przekręcił się i spróbował rozejrzeć się wokół. Ból w łydce był palący i na tyle intensywny, że wołał się nie odzywać. Zrobił płytki, niepewny wdech i zatrzymał powietrze w płucach, aż uznał że nie zrobi mu się niedobrze a następnie spojrzął na doktor Cody. Jego pole widzenia trochę się rozszerzyło i za plecami pani doktor ujrzał Hana i Chewiego, którzy stali przy zamkniętym włączniku szybu.

- Gdzie mój brat? – spytał Kale ochryplym głosem.

- Jest tam – powiedziała doktor Cody. – Nic mu nie jest. Spróbuj się nie ruszać.

Kale wyciągnął szyję i zobaczył Triga, który siedział na podłodze oparty o zewnętrzną ścianę szybu dokującego, skulony z brodą opartą o kolana i kiwał się w przód i w tył wpatrując się w pustkę. Nie wyglądał jakby nic mu nie było. Kale przypomniał sobie oszołomiony głos Triga, który powiedział: „Tata tam jest”, widząc gonącą go zajadłą istotę. Zastanawiał się czy jego młodszy brat kiedykolwiek dojdzie do siebie.

Powiedz to, pomyślał i przypomniał sobie stary przesąd, który usłyszał jako małe dziecko. Powiedz to trzy razy a się spełni.

- Ugryzł mnie – odezwał się Kale. – Prawda?

Zahara zacisnęła prowizoryczny opatrunek.

- Nie za mocno? Trzeba zatamować krwotok.

- Ugryzł mnie.

- Wspinają się w górę szybu – mruknął Han Solo, cofając się i spojrzął na doktor Cody i Kale'a. – Jak szybko możemy ruszyć?

Kale też słyszał to skrobanie. Dochodziło ze środka wieży dokującej. Ręce, które waliły i drapały po drugiej stronie szybu. Odgłosy gryzienia. Zrozumiał, że te istoty z barki weszły za nimi na górę. Teraz właśnie łamały sobie kruche paznokcie i zęby wewnątrz tej metalowej rury, próbując się wydostać. Przypomniał sobie to, co zobaczył w sterowni barki, kiedy obejrzał się za siebie. To było niemożliwe, ale przecież prawdziwe. Odgłosy gniewu tych głodnych istot w połączeniu z piekącym bólem w nodze świadczyły, że wspomnienie było realne.

Trupy z barki więziennej powróciły do życia a wśród nich był jego ojciec.

To ojciec go ugryzł.

Kale poczuł, jak usta zalewa mu ślina o smaku miedzi i nachylił się żeby wymiotować. Otworzył usta, ale nic z nich nie wyleciało. Żołądek jednak nie dawał za wygraną, nie odpuszczał, jakby to powiedział jego drogi tatko. Tatko trup, powtarzał mózg Kale'a a jego przepona wciąż drgała i falowała spazmatycznie i z nieznośnym uporem w niekontrolowanym skurczu mięśni.

- Słuchaj, mały. – Zniecierpliwienie w głosie Solo przebiło gęstą chmurę grozy, która zawisła nad jego myślami. – Musimy iść.

- W którą stronę proponujesz? – spytała doktor Cody.

- Jeśli znajdziemy mostek, to może uda nam się uruchomić tego potwora.

Chewie zawył powątpiewająco.



- W końcu to statek, nie? – powiedział Han. – Latałeś jednym, to tak jakbyś latał wszystkimi. Musimy tylko przejść przez... – wykonał niejasny gest - ... to wszystko.

Kale przetarł oczy i po raz pierwszy tak naprawdę rozejrzał się dookoła, po tym wszystkim, co wskazywał Han. Otaczające ich lądowisko i hangar tworzyły bezkresną durastalową pustynię, której granice rozciągały się tak daleko, że niemal poza zasięg wzroku. Nawet teraz perspektywa pokonania tej przestrzeni to było więcej niż Kale mógł sobie wyobrazić. A jednak...

- Pomóżcie mi wstać – powiedział.

Doktor Cody się schyliła; złapał ją za ręce i podniósł się prostując plecy przy jej pomocy. W pierwszej chwili pomyślał, że się uda, – że zdoła oprzeć się na obu nogach.

- Spokojnie – powiedział Zahara. – Nie musimy się spieszyć.

Ból uderzył ze zdwojoną siłą i Kale upadł z powrotem na podłogę z cichym krzykiem, który zabrzmiał raczej jak jęk. Spojrzał w dół. Z rany w nodze obficie tryskała krew; przemoczyła opaskę uciskową i zabarwiła ją na ciemnoczerwony kolor. Zobaczył, że Trig się w niego wpatruje ale nie wiedział czy brat martwi się o niego czy z powodu tego, co widział na dole. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Teraz to wszystko tworzyło całość wyrażającą ich sytuację w postaci rozlanej wokół krwi.

- Nie możesz tak iść – stwierdziła doktor Cody.

- Dajcie mi jedna chwilę.

- Wykrwawisz się, zanim dojdziemy do końca lądowiska.

- Nic mi nie będzie.

Popatrzyła na niego i pochyliła się nad nim na tyle blisko, żeby usłyszał jej szept.

- Posłuchaj tylko. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Jeśli teraz spróbujemy cię ruszyć, umrzesz. – Nie poruszając głową, wskazała na zgarbionego Triga. – A on będzie musiał na to patrzeć. Czy tego chcesz?

Kale pokręcił głową.

- Zostanę tu z tobą – powiedziała głośniejszym głosem, tak żeby pozostali usłyszeli. - Hanie, ty i Chewie weźcie Triga i idźcie w stronę mostka.

Na dźwięk swojego imienia młodszy z braci podskoczył jak ukłuty i usiadł prosto, kręcąc głową.

- Nie. – Popatrzył na brata. – Chcę zostać z Kale'em.

- Chodź do mnie – zawołał Kale.

Młodszy chłopiec wstał i podszedł.

- Powiedziałem, że nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało - powiedział Kale. – Ale żebym mógł dotrzymać tej obietnicy, musisz pójść z innymi i to już.

Trig jeszcze raz pokręcił gwałtownie głową a do oczu napłynęły mu łzy. Przemówił żarliwym szeptem:

- Boję się. Twarz taty...

- Posłuchaj mnie – przerwał Kale. – To nie był tata.

Trig wpatrywał się w niego.

- To było coś innego. Wiemy, jaki był tata. Pamiętamy go i to nie był on. - Po-

patrzył wyczekująco. – Tak?

- Ale...

- Był?

Trig pokręcił głową.

- Musisz iść. Ja dołączę później.

- Co z tobą będzie? – spytał Trig.

- Doktor Cody i ja dołączymy do was jak tylko będziemy mogli.

- Obiecujesz?

- Obiecuje – powiedział Kale. Był zadowolony, kiedy doktor Cody położyła dłoń na ramionach Triga, żeby odwrócić go w stronę Solo i Wookiego. Widok zrozpaczonej, przerażonej twarzy brata stawał się nie do zniesienia, ale Kale zmusił się żeby spojrzeć na nią raz jeszcze.

- Trig?

Oczy chłopca zabłyśły.

- Kocham cię – powiedział Kale.

- To nie kaź mi iść.

- Pani doktor, chce pani blaster? – spytał Solo.

Zahara spojrzała na niego zaskoczona.

- Naprawdę zostawiłbyś mi ostatni blaster?

- No wie pani... – mruknął Han, odwracając wzrok. – Jeśli te stwory zaczną wyłazić z szybu...

- Nie trzeba.

- Na pewno?

Kiwnęła głową.

- Nie zostaniemy tu długo. – Zerknęła na Triga. – Wkrótce się zobaczymy, w porządku?

Kale obserwował wyraz twarzy brata ale Trig nic nie powiedział, nawet nie kiwnął głową, kiedy Han Solo i Chewbacca go zabierali.

## ROZDZIAŁ 28

# RZECZY, KTÓRYCH SIĘ NIE ZAPOMINA

Bez słowa ruszyli przez hangar.

Han szedł pierwszy trzymając przy boku ich jedyny blaster. On i Chewbacca sprawiali wrażenie, że wiedzą gdzie idą a Trig szedł pół kroku za nimi powłócząc sennie nogami. Co jakiś czas Wookiee odrzucał do tyłu głowę i prychał albo chrząkał, zupełnie jakby próbował powietrze i był zdegustowany jego zapachem a Han mówił: „Tak, wiem”, ale szli dalej.

Cisza wisiała czarną chmurą nad ich głowami. Słysząc było jedynie odbijające się echem stukanie butów o rozległą, stalową podłogę a na zewnątrz zgrzytanie gwiazdowego niszczyciela w czarnej próżni kosmosu. Te monotonne odgłosy podkreślały tylko ogrom statku i bezkres otaczającej ich otchłani.

Trig nie mógł tego znieść.

W tej ciszy jego umysł błądził, – chociaż „błądził” było zdecydowanie zbyt łagodnym określeniem. Raczej biegał jak oszalały, hasał po czaszce, wrzeszcząc jak szalenciec, który wymordował całą swoją rodzinę a teraz zatrzymuje się gwałtownie to tu, to tam, żeby zadumać się nad jakimś makabrycznym trofeum.

Dlaczego o tym myślę?

Ale dobrze wiedział, dlaczego.

Myślał o istocie, która wyskoczyła na niego z kapsuły ratunkowej, istocie o której nie zdążył nikomu opowiedzieć nawet swojemu bratu. To stworzenie z kapsuły było kiedyś więźniem, człowiekiem – miał ona nawet na sobie więzienny uniform – ale okoliczności zmieniły je nie do poznania. Jego spuchnięta, martwa twarz i zapadnięte czarne oczy miały jeszcze w sobie coś mgliście ludzkiego ale warczenie z którym wyskoczyło z kapsuły zdecydowanie nie było ludzkie. Stworzenie rzuciło mu się

do gardła i tylko dzięki błyskawicznemu refleksowi Trig zdołał uniknąć ataku.

Odwrócił się, rzucił na oślep korytarzem i wskoczył do szybu konserwacyjnego, przywierając do wewnętrznej ściany a stworzenie runęło w dół, mijając go z rozpaczliwym, piskliwym wrzaskiem. Po chwili, uczepony wnętrza szybu drętwiącymi zwolna palcami Trig usłyszał jak spada z chrzęstem na sam dół. Słyszał płytki, urywany oddech tej istoty, kiedy wciąż głodna próbowała wspiąć się za nim na górę.

Myślał o tym więźniu bez przerwy, mimo całej potworności tego wspomnienia i powtarzał sobie, że to lepsze niż myśleć o tym drugim, który szedł przez sterownię w stronę szybu dokującego.

Bo ten drugi miał twarz jego ojca.

Ta twarz, również rozdęta i zwiotczała, zwisła z czaszki jak za duża maska, porozciągana wokół oczu. Trig nie był w stanie wyrzucić jej z pamięci. Wciąż myślał o tym jak się do niego szczyrzyła tak jakby go rozpoznawała. I o całej reszcie o strażnikach i więźniach.

To nie tata, powtarzał sobie. Kale powiedział, że to nie był on. Zresztą sam widziałeś. Tata nie żyje, pożegnałeś się z nim. Cokolwiek to było, to nie był tata.

I prawie w to uwierzył.

Prawie.

Tylko te oczy.

Oczy były zawsze najbardziej charakterystyczną cechą jego ojca. Bładoniebieskie tęczęwki pokryte złocistymi plamkami, ciemne, dociekliwe źrenice ich bystrość i przejrzystość to, jak wpatrywały się w rozmówcę sprawiało, że czuł się jakby był jedyną osobą w pomieszczeniu. Trig zawsze lubił rozmawiać z ojcem a tata zawsze potrafił go rozśmieszyć samym spojrzeniem.

To stworzenie miało oczy jego ojca.

Trigowi zdawało się, że usłyszał za plecami szuranie w głównym hangarze niszczyciela i obejrzał się gwałtownie za siebie, czując mrowienie w koniuszkach palców. Nic tam nie było, nic oprócz durastalowej podłogi a w oddali, na samym końcu, niemal poza zasięgiem wzroku – maleńkie, skulone sylwetki jego brata i doktor Cody.

Wariuję, pomyślał ale ta myśl nie wzbudziła w nim strachu – właściwie to prawie przyniosła ulgę. W ciągu ostatnich paru dni stopniowo tracił panowanie nad sobą a to, co właśnie zobaczył, jeszcze spotęgowało ten proces. Wariuję, oczywiście, dlaczego nie? A co można zrobić, kiedy martwi wracają do życia i próbują wyrwać ci kawałek szyi?

A jeśli ten trup to był twój ojciec?

Ale Kale powiedział...

- Kale się myli – mruknął. – Po prostu się myli. – I pokiwał głową na potwierdzenie własnych słów, bo jak się jest szalonym to można mówić prawdę. Nie trzeba już udawać, że wszystko jest w porządku i tak jest dobrze.

Znowu usłyszał ten skradający się odgłos za plecami. Odwrócił się, ale wciąż niczego tam nie było. Nie widział już nawet swojego brata i doktor Cody na końcu hangaru. Ich sylwetki zostały wchłonięte przez odległość i mrok. A może to coś co ich śledziło już zjadło tamtych dwoje i też byli martwi a to by oznaczało, że Trig wkrótce znowu ich zobaczy, prawda?

W końcu choroba ich zwróci. Ta choroba chyba każdego zwraca.

Trig poczuł się jak zanurzony w ciepłej kąpieli. Słuch miał przytłumiony a jego wzrok tracił ostrość, kontury przedmiotów zacierały się i zlewały z głębokimi cieniami wzdłuż lądowiska. Nic dziwnego, że Imperium porzuciło ten gwiazdny niszczyciel tutaj w jakimś odległym zakątku galaktyki – ta choroba była gorsza niż wszystko o czym kiedykolwiek słyszał; przy niej Darth Vader razem ze swoimi niezliczonymi armiami wydawał się prawie niewiniątkiem. Ta myśl spowodowała, że Trigowi zachciało się jednocześnie rzygać i śmiać, bo tak właśnie jest, tak właśnie robią wariaci, kiedy ich ojcowie wracają do życia i atakują ich.

Mały?

Hej, mały...

Zdał sobie sprawę, że się zatrzymał. Han Solo stał przed nim wpatrując się w niego jakby przez gęstą i nieruchomą poduszkę z powietrza. Trig wiedział, że porusza ustami, widział jak marszczy brwi zadając pytanie...

...nic ci...

Ale za nic w świecie nie potrafił zrozumieć co Han mówi. Zupełnie jakby mówił w innym języku. Teraz mężczyzna potrząsał nim, trzymając za ramiona i miękki wosk, który zatykał uszy Triga, zaczął się topić przywracając mu słuch.

- ...nie jest? – spytał Han.

Na dźwięk jego głosu Trig poczuł jak niezmacone powietrze wokół niego zaczyna się poruszać, staje się mniej duszne jakby właśnie wydostał się z niewidzialnego kokonu i wziął pierwszy czysty oddech. Poczuł klucie w nosie i ból w gardle, jak gdyby próbował przełknąć zbyt duży kęs i pomyślał, że znowu się rozplacze. A przecież wyplakał już wszystkie łzy.

Han wciąż stał, patrząc na niego z zakłopotaniem.

- Mój tata... – wykrztusił Trig, ale to było wszystko.

Han otworzył usta ale nic nie powiedział. Stojący po jego lewej stronie Chewbacca pochylił się i objął Triga ramieniem, które było jak ciepły koc pachnący lekko stęchlizną. Trig słyszał bicie serca Wookiego i ciche, kojące mruczenie w głębi przepastnej klatki piersiowej. Powoli się rozluźnił i odpłynął.

- No dobra – powiedział Han i odchrząknął. – Już w porządku?

Trig pokiwał głową. To było kłamstwo, nic nie było w porządku, zupełnie nie było ale poczuł się lepiej – trochę.

Rozejrzał się i zobaczył, że stoją pomiędzy kilkunastoma mniejszymi statkami, tymi samymi, które widział wcześniej z drugiego końca lądowiska – stare, zardzewiałe okręty, zełomowane kapsuły ratunkowe, zdobyte statki i promy rebelianckie, mały koreliański frachtowiec. Leżały wokół nich w stertach – porzucona zbieranina zdewastowanej aeronautyki.

Wookie warknął pytająco.

- Nie – powiedział Han. – Szczerze wątpię. – Pokazał ręką. – Możemy dojść do głównego korytarza i dalej prosto.

- Tak – wtrącił Trig, bo wiedział, że powinien coś odpowiedzieć.

- Trochę to potrwa, zanim dotrzemy do mostka. Te statki mają jakiś kilometr długości. Ale jeśli ma silnik, to możemy nim polecieć.

Trig pokiwał głową. Poszli dalej.  
Daleko za plecami usłyszał nowy dźwięk.  
Krzyk.

## ROZDZIAŁ 29

# SINUS

Zahara wzdrygnęła się i popatrzyła na szyb dokujący. Wrzask dobiegający ze środka był nieludzki; ostry, przenikliwy i pełny nienawiści. Składał się chyba z setek zestrojonych ze sobą głosów – YYYYYYYYYY. Pulsował i falował, co matematyczna część jej umysłu uporczywie przedstawiała w formie wykresu. Narastał, uciskając jej bębenki to znów opadał ku ciszy, by znów unieść się do tej samej częstotliwości precyzyjnej dynamiki.

Kale jęknął i zamruczał coś pod nosem. Nachyliła się, żeby go lepiej słyszeć.  
- ..ni utnie...

Spojrzał na niego zaszokowana tym co usłyszała. A w razie gdyby się przesyłała to teraz był już w pełni świadomy i wpatrywał się w nią wskazując swoją obandażowaną nogę.

- Proszę. Musi pani.

Przetoczyła się kolejna fala krzyku. – yyyYYYYyyyy – a Zahara zaczęła, aż ucichnie.

- Co?

yyyyYYYYyy...

- Niech ją pani utnie.

yyyYYYYyyy...

- To nie jest konieczne – powiedziała. – Nie w tej chwili.

yyyyYYYYyyyy...

- Musi pani. Czuję jak to przeze mnie przechodzi. – Oczy miał jasne, przestraszone i całkowicie przytomne. – Proszę, nieważne jak bardzo będzie bolało. Niech pani to zrobi, niech ją pani odetnie.

yyyYYYYyy...

- Nie mogę tego zrobić.

- To niech mnie pani zabije.

Wrzask znów się nasilił, głośniejszy niż do tej pory, wzbierając i zanikając według tego samego schematu. Ciągnął się przez cały czas trwania ich rozmowy i Za-



hara zaczęła krzyczeć, żeby Kale ją usłyszał.

- Twój brat poszedł z Hanem i Chewbaccą, wkrótce znajdą aparaturę komunikacyjną i zapasy leków. Przetrzymasz to, zaufaj mi. Bardzo cię boli?

- W ogóle nie boli.

- Jak to?

- To nie tak. To nie boli. Tylko cały czas czuję, tu, gdzie mój ta... gdzie mnie ugryzło. – Jego oczy były teraz otwarte bardzo szeroko i błyszcząły jak potłuczone szkło. Usłyszała świst powietrza, które chłopak wypuszczał przez nos. Nie miał już sił, żeby panikować. – Niech pani przynajmniej to zdejmie, żebym mógł zobaczyć. Pokażę pani.

- Musi być ucisk na...

- To przechodzi przeze mnie!

- Kale, nie!

Podniósł się i chwycił zakrwawiony opatrunek na łydce, zrywając go warstwa po warstwie. Zahara próbowała go powstrzymać ale odepchnął ją nawet się nie oglądając, skupiony na zdzieraniu płóciennych pasów, które oderwała z własnej kurtki. W końcu ostatni z nich wylądował na przemoczonym, czerwonym stosiku.

- Widzi pani? – Kale popatrzył triumfalnie ale ze zgrozą. – A nie mówiłem?

Zahara spojrzała na jego nogę. W umięśnionej części łydki brakowało kawałka ciała wielkości pięści a pischel prześwitywał wyraźnie przez pajęczynę poszarpanych mięśni i żył. Pomarszczona wyraźnie skóra wokół rany przybrała sinawy, gangrenowaty odcień szarości. Zahara z mieszaniną fascynacji i przerażenia obserwowała jak ten sam szary kolor przesuwają się w górę nogi, mija kolano i dosięga ud, które zaczyna wyraźnie pulsować. Wyglądało to, jakby jakaś ręka prześlizgiwała się pod skórą Kale'a sięgając chciwie w kierunku brzucha.

- Niech to pani wyciągnie! – wrzasnął Kale wysokim, piskliwym głosem, który złął się z krzykami wewnątrz szybu. – Niech pani to wytnie, wyrwie, wyciągnie ze mnie!

Zahara poczuła jak tryby czasu zatrzymują się ze zgrzytem. Przypomniał się jej jeden z nauczycieli na Rhinnal i to, co powiedział kiedyś na zajęciach: „Przyjdzie taki dzień, kiedy będziecie musieli stawić czoło sytuacji, na którą będziecie kompletnie nie przygotowani zarówno fizycznie jak i emocjonalnie. Tego dnia przekonacie się jakimi lekarzami naprawdę jesteście – po tym, na ile poddacie się strachowi a ile zapamiętacie z waszego szkolenia”.

Rozpięła kieszonkę swoich bojówek, wyjęła z niej zestaw medyczny i rozerwała opakowanie. W środku był skalpele, gaza, taśma – najbardziej podstawowe narzędzia w jej fachu. Leżący przed nią Kale wciąż krzyczał. Szara, pulsująca opuchlizna, którą dostrzegła wcześniej, przekroczyła już jego talię i falowała wewnątrz brzucha, zamieniając różową skórę w ciemną, plamistą powłokę. Ten widok przyprawiał ją o mdłości – wyglądało to jak mięso gnijące od środka.

On umiera albo jeszcze gorzej, pomyślała. No, więc zrób coś.

Wyjęła z zestawu skalpel i opuściła jego ostrą końcówkę na odsłoniętą skórę poniżej pępka. Na moment przerażone wrzaski Kale'a zamieniły się w jęki bólu. Wpastrywał się w nią w zupełnym oszołomieniu, kiedy rozchyliła nacięcie i zagłębiła palce

w śliskiej powłoce, sięgając znajdujących się pod nią naprężonych mięśni brzucha. Zimny pot wystąpił jej na czoło i górną wargę. Nie zwracała na to uwagi wyrzuciła wszystko poza tym, co miała przed sobą.

Mięśnie ślizgały się między jej palcami jak naprężone, wilgotne włókna przędzy. Czuła nienormalne ciepło pod nimi, tę inwazyjną obecność, to coś, co drażyło zrećnie krętą ścieżkę ku górze. Jakiś ruch musnął koniuszki jej palców. Chwyliła go i ścisnęła. Nagle coś pękło i spod warstwy mięśni trysnął na nią gęsty, opalizujący śluz, który pokrył jej ręce po nadgarstki.

Wrzaski dochodzące z szybu były teraz ogłuszające.

Zahara wyciągnęła przed siebie ręce i popatrzyła na zakrzepły płyn, który najpierw zaczął się ścinać, potem falować a teraz wydawał się wręcz pełzać po jej skórze jak żywe rękawice w poszukiwaniu jakiegoś otworu, rany przez którą mógłby się dostać do jej wnętrza. Parzył coraz bardziej z każdą kolejną sekundą w której był wystawiony na działanie powietrza. Wytarła ręce o spodnie, powstrzymując się od wymiotów. Powiedziała sobie, że jeśli teraz straci zimną krew to nigdy już jej nie odzyska.

Kale leżał przed nią na podłodze, jego twarz zrobiła się blada i ziemista. Wpatrywał się w jej twarz, wciąż w szoku. Miała nadzieję, że chłopak zemdleje ale na razie był przytomny, chociaż przestał przynajmniej krzyczeć.

- Muszę to zrobić jeszcze raz – powiedziała. – Muszę się upewnić, że wszystko wyciągnęłam.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wsunęła znów rękę przez nacięcie, próbując wymacać tę małą, wijącą się grudkę ruchu ale nie wyczuła jej pod palcami. Kiedy popatrzyła na niego, stwierdziła, że szaroczarny cień zgnilizny wciąż tam jest, tuż ponad talią ale nie przesuwają się dalej w górę.

- Chyba się tego pozbyliśmy.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Kale'a. W końcu stracił przytomność. Oczy miał przymknięte, twarz zwróconą w bok. Podniosła koszulę, którą z niego zerwała. Złożyła ją i przyłożyła do rany, żeby zatamować nowy krwotok, który wywołała. Usiadła obok, przyciskając opatrunek. Oddychała powoli, starając się zmusić serce, żeby zwolniło do w miarę normalnego tempa. Nie była pewna czy nie wyrządziła więcej szkody niż pożytku, ale Kale wciąż żył i oddychał a gdyby nie zrobiła nic to, kto wie, czym by się to skończyło.

Dopiero po pewnym czasie, kiedy trochę się uspokoiła zorientowała się, że w szybie dokującym zapadła całkowita cisza.

Wrzaski wewnątrz szybu ustały.

I wtedy gdzieś bardzo daleko usłyszała inny dźwięk, jakby cichy pomruk.

Po drugiej stronie niszczyli coś się odzywało w odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 30

# CZARNYCH ZBIORNIKÓW CZAR

Chewbacca martwił się o chłopca, bo Trig się nie odzywał, Han też nie ale do tego Chewie był przyzwyczajony – widywał go w różnych okolicznościach. Ale chłopiec to, co innego. Młodzi powinni wyrażać swoje uczucia. Przez ten krótki czas, od kiedy się spotkali, chłopiec przeszedł o wiele za dużo jak na swój wiek i gdyby dalej tłumił to w sobie, mogłoby to być bardzo groźne dla nich wszystkich.

Zaczął się od tego, że usłyszeli krzyk Kale'a po drugiej stronie hangaru. Trig chciał wracać i Han musiał zatrzymać go siłą, żeby nie uciekł.

- Nic mu nie będzie – powiedział wówczas Han chociaż Chewie zdawał sobie sprawę, że to nieprawda, wiedział o co chodzi Hanowi. Chciał zabrać chłopca jak najdalej od szybu dokującego, zanim te stwory się przebiją. Trig stawiał zacięty opór, kopał i wymachiwał rękami, próbował się wyslizgnąć aż w końcu Chewie musiał się w to wmieszać, podnieść chłopca do góry i przytrzymać. Tym razem zupełnie nie przypominało to czułego uścisku. Chłopak był silniejszy niż wyglądał. Chewie niósł go przez następne dwadzieścia minut aż wreszcie Trig wymamrotał cicho:

- Możesz mnie już postawić.

To były jego ostatnie słowa.

Chociaż rozumiał konieczność oddalenia się od szybu, Chewbacca nie miał ochoty zapuszczać się w głąb niszczyiela. Długie korytarze, puste przestrzenie, które odnajdywali za każdym rogiem nie znajdując nic oprócz przypadkowych robotów, pustka, która nie sprawiała wrażenia pustki, – kto to wszystko projektował i dlaczego zostawił? Czy wszyscy z załogi zmarli a jeśli tak to, co się stało z ciałami? Niektóre z przyrządów wciąż działały a co jakiś czas natrafiali na całe ciągi pustych pomieszczeń, w których migwały światełka systemów nawigacyjnych i atmosferycznych, pracujących non stop bez żadnej ingerencji jakiegokolwiek żywej istoty.

Na końcu jednego z korytarzy znaleźli hełm szturmowca, leżący na boku jak pęknięta czaszka. Kolejny zwiślał z łańcucha ponad nim. Jego przód był pokryty plamami zaschniętej krwi. Han kopnął pierwszy z hełmów i Chewie poczuł wydobywający się ze środka słodkawy zapach zgnilizny: plastalowa osłona ust została starannie wyrwana, odsłaniając żuchwę właściciela. Wyglądało to jak artefakt starożytnej cywilizacji, jakiegoś kanibalistycznego kultu. Po co ktoś miałby robić coś takiego?

Wydawało się, że idą już bardzo długo, ale odległość, którą wciąż mieli do przebycia wcale się nie zmniejszała. A co będzie, kiedy dotrą do mostka? Pomimo zuchwałych zapewnień jego partnera Chewie zastanawiał się czy faktycznie będą w stanie polecieć gwiazdym niszcycielem.

Znaleźli jeszcze jeden blaster – było to jak na razie jedyne cenne odkrycie a Chewie był zadowolony że teraz ma swój, choćby po to, żeby lepiej chronić chłopca.

- Co to takiego? – odezwał się idący przodem Han. – Chewie, pomóż mi z tym, okej?

Chewbacca obejrzał się, żeby sprawdzić czy chłopiec za nim idzie – człapał ze wzrokiem utkwionym w podłogę – i dołączył do Hana, który wskazywał na stertę skrzyń tarasujących korytarz. Wyglądało to, jakby zostawił je tu ktoś, kto spieszył się do innych zadań. Chewie odczytał napis na jednej ze skrzyń: „Imperialny wydział broni biologicznej”.

Kiedy podniósł wzrok, Han odciągał już skrzynie na bok, żeby utorować im drogę. Wielka skrzynia stojąca na górze przewróciła się i Chewbacca zobaczył czerwony stalowy zbiornik, który potoczył się na bok, odbił z głośnym szczękiem od ściany i zatrzymał pod butem Hana.

- Co te kanalie tu kombinowały? – powiedział Han, oglądając zbiornik. – Nie ma na nim żadnych oznaczeń jakby po prostu cały został pomalowany na czerwono. Widzisz gdzieś tu ich więcej?

- Tutaj – zwołał Trig. Podczas gdy Han mówił, Trig wspiął się na drugą stertę składającą się z co najmniej dwudziestu albo trzydziestu skrzyń ułożonych w dwóch czy trzech rzędach. Chłopak był zwinny, Chewbacce zajęło to prawie dwa razy więcej czasu, żeby wdrapać się na piętrząca się koło niego piramidę i zerwać pokrywę, zaglądając do środka.

Skrzynie wypełniały butle – były ich dziesiątki, ustawione starannie w równych rzędach. Było tam też luzem kilka czerwonych zbiorników ale cała reszta – te, które upakowane z wojskową precyzją – była pomalowana na czarno. Chewbacca podniósł jeden z czarnych i potrzasnął. W środku coś chlupało.

Uniósł go do góry, tak żeby Han mógł go zobaczyć i oznajmił w shyriiwook: "Wciąż pełne".

- Mogą mieć inny skład – powiedział Han. – Inną temperaturę zapłonu czy coś. Kto to wie? – Zbiornik wyslizgnął się Chewbacce z rąk i uderzył z hukiem o pozostałe, stojące w skrzyni. – Hej, uważaj z tym.

Chewie odstawił czarny karnister na miejsce i zauważył, że miernik ciśnienia wskazuje już maksymalną wartość. Zastanawiał się ile czasu minie, zanim te zbiorniki zaczną przeciekać tak samo jak czerwone i co się stanie, kiedy ich zawartość przedostanie się do atmosfery niszcyciela.

Nie powiedział Hanowi, co takiego wyczuł w zbiorniku, że aż go upuścił. Chlupocząca fala w środku przesuwiała się w przód i w tył i wydawało się, że porusza się samodzielnie. Tak jakby coś przelewało się wewnątrz czarnych zbiorników i pełzało po wewnętrznych ściankach, szukając ujścia. Coś żywego.

- Kto to w ogóle wymyślił, żeby włożyć na ten statek? – Zapytał Han z niesmakiem, nie oczekując odpowiedzi. Wspiął się już na prowizoryczną barykadę ze skrzyń, podążając, za Chewbaccą i Trigiem na drugą stronę. Chewbacca miał z nich trzech najlepszy słuch i mógłby przysiąc, że odchodząc usłyszał syk.

Han zatrzymał się w pół kroku.

- Co to?

Chewie stanął, przekrzywił głowę i spojrzał w górę z narastającym lękiem. Dźwięk rozlegający się ponad ich głowami przypominał głośny krzyk. Towarzyszył mu dudniący odgłos, jakby jakieś gargantuiczne, stunogie stworzenie posuwało się ociężale po pokrytym durastalowymi panelami suficie.

Han wskazał w kierunku, w którym zmierzali.

- To dochodzi stamtąd.

Chewbacca zobaczył, że usta chłopca otwierają się pod wpływem szoku. Światła zaczęły pulsować a Wookie usłyszał trzeszczenie i brzęk metalu łamiącego się pod ciężarem tego, co nadciągało.

- Odsuń się mały – powiedział Han, odpychając Triga na bok i uniósł blaster. – Chyba zaraz...

Sufit wybrzuszył się i pękł. Przez dziurę Chewbacca dostrzegł kłębowisko ciemnookich twarzy, rąk i nóg, próbujących się precyzyjnie. Niektórzy nosili imperialne mundury, inni mieli na sobie zbroje szturmowców – tu nagolennik, tam naramiennik – albo połamane hełmy. Dopiero w tym momencie Wookie uzmysłowił sobie ilu ich tam naprawdę było: setki, może więcej – cała armia umarłych. Wyciągali ręce po niego.

Wyciągali ręce po chłopca.

Chewie nie był pewien, kto wystrzelił pierwszy. Któryś z nich, on albo Han, a może obaj równocześnie otworzyli kanonadę blasterowego ognia w kierunku ściśniętej masy wijących się ciał. To nie miało już żadnego znaczenia: jakiś newralgiczny element konstrukcji sufitu załamał się z głośnym trzaskiem.

W ten sposób powstała śluza między światem żywych a światem umarłych. Ciała przed nimi zaczęły wysypywać się – lawina cuchnącego, żółtego mięsa i połamanych zbroi, rozcapierzonych rąk i wrzeszczących ust. Niektórzy spadali na nogi; inni lądowali na wszystkich czterech kończynach i zostawali w tej pozycji jak zwierzęta, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Oczy mieli matowe, pozbawione życia i odrażająco głodne.

- Schowaj się za mną – krzyknął Han.

Trig stał nieruchomo jak sparaliżowany. Chewbacca złapał go za ramię i odciągnął do tyłu. Jednocześnie on i Han odwrócili się i otworzyli ogień.

Trupy cofnęły się jakby nie spodziewały się blasterów. Chewie ostrzeliwał je z najbliższej odległości; hełmy szturmowców eksplodowały i pękały, odsłaniając spuchnięte na wpół przegniłe twarze, które wyrażały jedynie coś w rodzaju zapro-

gramowanej wściekłości. Stojący koło niego Han coś krzyczał, ale zagłuszały go odgłosy blasterów. Korytarz przed nimi wypełnił się dymem. Z oddali, jakby z drugiego końca kosmosu Wookie poczuł, że Trig przywiera do niego kurczowo. Palce chłopca wczepiły się w jego ramię, zaciskając się z całej siły.

Przed nimi i nad nimi kłębiły się kolejne ciała, spadając albo zeskakując - świeże zwłoki piętrzyły się na tych, które już tam były. Chewie zrozumiał, że nie ważne jak długo i jak mocno będą smagać je ogniem z blasterów – wciąż będzie ich przybywać. Zaryczał głośno.

- Wiem, wiem! – Han złapał go mocno za ramię. – Biegnij, będę cię osłaniał!

Zobaczył, że Han wskazuje włącz na końcu korytarza. Zgarniając chłopaka, odwrócił się i ruszył w jego stronę. Zanurkował we włącz nie oglądając się za siebie. Po chwili Han wskoczył w ślad za nim, walnął ręką w konsolę po drugiej stronie by zamknąć drzwi, po czym wypalił w nią z blastera. Chewbacca już słyszał trupy po drugiej stronie jak z krzykiem atakują drzwi.

Wymienili z Hanem spojrzenia i Chewbacca zobaczył na twarzy swojego przyjaciela wyraz, jakiego nie widział od bardzo dawna – autentyczny strach. Przez moment Han był tak blady, że blizna na jego podbródku odcinała się wyjątkowo wyraźnie. Wyglądał jakby postarzał się w jednej chwili o dwadzieścia lat.

Han otworzył usta, żeby coś powiedzieć i w tym momencie coś uderzyło w drzwi z niewyobrażalną siłą. Wydawało się, że wszystko to, co miało sprawić, że ich przyszłość będzie krótka, właśnie zjawilo się po drugiej stronie włączu z paszczą pełną lśniących, żółtych zębów.

Puścili się biegiem.

## ROZDZIAŁ 31

# KIEROWCY TRUMIEN

Kiedy Jareth Sartoris otworzył oczy, był uwięziony wewnątrz kapsuły ratunkowej. Czaszka go bolała, jakby ktoś ją rozłupał na pół kijem gaffi a noga wykręcona w bok, była przygnieciona urwanym przednim pulpitem.

Ostrożnie z wielkim wysiłkiem zdołał ją wyciągnąć – uniósł kolano i obrócił po-



woli kostkę, przygotowany na ostre ukąszenie bólu, które jednak nie nastąpiło.

A więc nic nie jest złamane.

Odetchnął z ulgą. Powoli odzyskiwał zmysły. Czy jest w kosmosie? Jak długo był nieprzytomny?

Zerknął na monitor nawigacyjny kapsuły i sprawdził licznik, który wciąż odmierzał minuty i sekundy od jego wylotu z barki. Według odczytu wystartował prawie cztery godziny wcześniej, co oznaczało, że był nieprzytomny od kiedy...

Odwrócił głowę i zauważył roztrzaskany iluminator.

I wtedy sobie przypomniał.

Kapsuła wystartowała z „Czystki” zgodnie z planem; kapitan zostawił za sobą braci Longów z jednakowym wyrazem cierpienia na twarzach. Delikatnie ukłucie wyrzutów sumienia, które poczuł w tym momencie, właściwie go zaskoczyło. Czy naprawdę spodziewali się, że weźmie ich ze sobą?

Nie, oczywiście, że nie. W Imperialnej Straży Więziennej obowiązywało hasło: „Tutaj nie ma dzieci”. To byli więźniowie, skazańcy, wrogowie Imperium i to, co wydarzyło się między nim a ich ojcem – Sartoris zaczął już myśleć o śmierci Longa najbardziej mglistymi ogólnikami – nie miało teraz żadnego znaczenia.

A jednak głos w jego głowie powtarzał cicho, lecz nieustępliwie: „Zabiłeś ich ojca a teraz zostawiasz synów na pewną śmierć”.

No dobra i co z tego? Dorastanie w galaktyce nie było lekkie. Ojciec Sartorisa, drobny złodziejczek uzależniony od igiełek śmierci lał go bez opamiętania przez całe dzieciństwo. Czasem przestawał dopiero, kiedy obawiał się, że zabije chłopaka. Pewnej nocy, gdy Jareth miał szesnaście lat, ojciec rzucił się na niego z zardzewiałą pałką; po raz pierwszy chłopiec się postawił, wyrwał mu broń i rozłupał ojcu czaszkę. Nigdy nie zapomniał jego twarzy w chwili gdy umierał z wyrazem żalostnego osłupienia jakby nie mógł zrozumieć dlaczego syn podniósł na niego rękę. Po wszystkim Jareth wyciągnął ciało z nory, w której mieszkali i porzucił je w alejce. Lokalne organy ścigania prawdopodobnie uznały po prostu, że stary padł ofiarą ostatniej ze swoich niezliczonych błędnych decyzji. Następnego dnia, Jareth zataił swój wiek, zaciągnął się do sił zbrojnych Imperium i nigdy nie wracał do przeszłości.

Sartoris nigdy nie spłodził własnych dzieci – a w każdym razie nic o tym nie wiedział – i było to prawdziwe błogosławieństwo. Przez całe dorosłe życie rzadko marnował czas na myśli o tej hałaśliwej, neurotycznej kreaturze, która zwała się jego ojcem a tym bardziej o perspektywie własnego ojcostwa. Jednak, kiedy kapsuła wystrzeliła z barki więziennej, zostawiając za sobą Triga i Kale’a Longów, Sartoris uświadomił sobie, że wspomnienie ojca od lat nie było tak wyraziste. Właściwie „wspomnienie” było zbyt łagodnym określeniem. Miał niemal wrażenie, że Gilles Sartoris siedzi tuż obok niego i uśmiecha się z aprobatą, widząc jak jego syn – po latach występków – wreszcie odnalazł swoje przeznaczenie. Fakt, że Jareth Sartoris nigdy nie doczekał się potomstwa, nie powstrzymał go przed wysłaniem synów innego mężczyzny w odwieczną ciemność.

Myślał o tym wszystkim cztery godziny temu, kiedy zdał sobie sprawę, że coś

jest nie tak, bo wewnątrz kapsuły ratunkowej rozległa się kakofonia alarmów – coś niedobrego działo się z systemem sterowania. Zamiast wyprowadzić go w przestrzeń kosmiczną, trajektoria lotu zakrzywiła się ku górze i przechyliła na bok, unosząc się wzdłuż barki. Wyjrzał przez iluminator...

I wtedy zobaczył ponad głową otwartą paszczę doków gwiazdowego niszczyciela. W jej stronę unosiła się kapsuła.

Promień ściągający, pomyślał, kiedy pochłonięty go cienie hangaru. Dlatego nie mogliśmy się ruszyć, nawet jak naprawili silniki: był włączony promień ściągający. Pamiętał jak pomyślał, że barka więzienna przy swoich ponad dwustu metrach długości, była za duża, żeby ją wciągnąć do hangaru, ale niszczyciel mógł ją zablokować po zadokowaniu, trzymając za łączącą ich wieżę. Zanim inżynierowie się zorientowali, o co chodzi było już pewnie za późno.

Gdy kapsuła przemierzała hale lądowiska, Sartoris poczuł, że przechyliła się na bok. Potem nastąpiło szarpnięcie i nagły, rozdzierający trzask. Kapsuła osiadła ze zgrzytem metalu ocierającego się o metal, jakby przygwożdżona przez dwa większe obiekty a następnie jej boki zaczęły się zapadać do środka. Sartoris ryknął z bólu, czując jak nogę przygniata mu pulpit nawigacyjny. Wszystko jeszcze raz się zatrzęsło. Kapitan poleciał do przodu i uderzył o coś twarzą.

Ostatnią rzeczą, jaka stanęła mu przed oczami, zanim stracił przytomność był obraz ojca siedzącego z uśmiechem obok.

Gdy odzyskał już orientację, Sartoris zwolnił blokadę ramion i wziął głęboki oddech, odsuwając od siebie wszelkie wątpliwości. Żył i tylko to się liczyło. Przełączył wewnętrzny system zamków na ręczne sterowanie, zgiął nogę i wyrzucił ją przed siebie, wypychając drzwi. Wypadły z zawiasów, poszybowały w powietrzu i znikły. Po chwili usłyszał jak spadają z brzękiem na podłogę.

Wystawił głowę i rozejrzał się dookoła. Kapsuła utkwiała między dwoma innymi statkami – starym X-wingiem i przewróconym myśliwcem typu TIE, który leżał na jednym z płatów baterii słonecznych. Szczęśliwie dla Sartorisa kapsuła wylądowała włączem do góry; w innym wypadku utknąłby tu na dobre, uwięziony między dwoma symbolami galaktycznej walki o władzę. Świadomość, że mógłby umrzeć z głodu włącz ramieniem o włącz dopóki starczyłoby mu sił nie pozwoliła docenić ironicznego wymiaru takiej śmierci.

Wygramolił się na X-winga, chwilę się zatrzymał, po czym zeskoczył na podłogę i rozejrzał się po hangarze.

Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał – prawie pusty z garstką uprowadzonych statków rozrzuconych wzdłuż jednego krańca. Sartoris ruszył powoli naprzód, pamiętając o bolącej kostce. Bał się przewrócić bo to by pogorszyło sytuację. Kiedy był tu ostatnio, ponaglał pozostałych członków oddziału abordażowego, nie pozwalając na dokładniejsze oględziny, ale teraz snuł się między statkami jak człowiek oceniający swoje zasoby. W czasach jego młodości żartowali z pilotów, którzy latali myśliwcami TIE, bo te misje odznaczały się wysoką śmiertelnością – mówili na nich „kierowcy trumien”. Sartoris popatrzył w górę i dostrzegł, że włązy i osłony są

pootwierane, niektóre widocznie siłą bo dyndały na zawiasach. Zastanawiał się czy to kierowcy trumien próbowali się wydostać czy jakiś nieznany drapieźnik z zewnątrz chciał się dostać do środka.

Jaki drapieźnik? Nikogo tu nie ma, pamiętasz?

Jakby w odpowiedzi cisza pękła i w hangarze rozległ się opętańczy chór wysokich głosów. Było to tak niespodziewane, że Sartoris aż podskoczył i dostał na plecach gęsiej skórki, która spelzła na jego ramiona a potem w dół po rękach. Skóra głowy nagle wydała się za ciasna. Przez moment stał nieruchomo idealnie wyprostowany z uczuciem głębokiego, irracjonalnego przerażenia wzbierającym, ołowianym ciężarem w żołądku. Omiótł hangar spojrzeniem, ale niczego nie dostrzegł.

Jeszcze jedna fala krzyków, tym razem głośniejsza.

Bez żadnego powodu przez umysł przemknął kolejny obraz ojca, wyjęty prosto z dzieciństwa: stary mlaskał wargami – od igiełek śmierci miał zawsze sucho w ustach. Sartoris nigdy nie zapomniał tego cichego, wilgotnego odgłosu, który jego ojciec wydawał, kiedy zakradał się nocą do jego pokoju, żeby sprawić mu lanie.

- Weź się w garść – wymamrotał, nie zdając sobie nawet sprawy, że mówi na głos. Serce tłukło mu się głuchym odgłosem o obolałe żebra. – W tej chwili. Musisz...

I wtedy znów rozległ się krzyk. Tym razem wydawał się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie. Wędrował w górę i w dół, odbijając się od ścian hangaru jak żywa istota szukająca pożywienia.

Sartoris odwrócił się sam bliski krzyku. Nic nie widział. Natężenie wrzasku – teraz był to jakby cykloniczny wybuch wściekłości – wciąż narastało, wypełniając pustą przestrzeń lądowiska ogłuszającym zgiełkiem. Kapitan chciał wierzyć, że to tylko alarm, nieszczelna śluza powietrzna, cokolwiek, tylko nie to, czym było w rzeczywistości – kakofonia ludzkich głosów.

Wytrzeszczał oczy żeby dojrzeć cokolwiek, ale wciąż niczego nie widział. Ciemnawe krańce głównego hangaru ciągnęły się w nieskończoność jak równanie bez ostatecznego rozwiązania. Sartoris uświadomił sobie, że nie ma pojęcia co stało się z drugim oddziałem abordażowym, tym, który tutaj zaginął. Krzyki, które teraz usłyszał nie przypominały żadnych znanych mu głosów. Może jedynie najgorsze koszmary z dzieciństwa. To wrzaski umarłych, przemknęło mu przez myśl, trupów, które nie chcą być pochowane.

A trupy wydawały się głodne.

Nagle Sartoris zapragnął uciec.

Ale dokąd?

I wtedy rozległy się strzały.

## ROZDZIAŁ 32

# NIENAWIŚĆ

Gdy usłyszała blastery, Zahara w zwierzęcym odruchu odskoczyła od szybu. Po chwili jednak do głosu doszedł rozum. Zawróciła, chwyciła Kale'a pod ramiona i zaczęła go odciągać. Jego poharatane ciało wymykało się jej z rąk. Gdy wlokła je po podłodze hangaru. Głowa chłopca zwisała, ale Zahara dostrzegła, że powieki ma uchylone a gdzieś w źrenicach tli się iskierka przytomności.

- Strzały... – wykrztusił Kale. – Dlaczego...

Otworzył szerzej oczy, zmarszczył brwi a na jego twarz powróciła świadomość. Poruszał ustami, usiłując wypowiedzieć kolejne słowa, pewnie pytanie, którego Zahara nie mogła usłyszeć w tym zgiełku.

Pociągnęła go za sobą bardziej energicznie, idąc tyłem tak żeby mieć na oku szyb. W tym momencie pierwsza błyskawica blasterowego ognia przebiła zewnętrzną powłokę szybu. Zahara jednocześnie ją usłyszała i poczuła jej drgania na durastalowej podłodze. Skwierczący trzask pozostawił czarne rozcięcie w ścianie wieży, niby krzywy uśmiech idioty, wypuszczającego obłok dymu. Po chwili ściankę rozsadziła kolejna eksplozja a potem jeszcze jedna. Woń rozpalonego metalu przebijała się przez zapach ozonu i gryzący dym; lekarka uznała, że tak śmierdzą zepsute maszyny. Nastąpiła kolejna seria wybuchów, jeszcze potężniejszych a po nich rój szrapneli przeszył powietrze tuż koło twarzy Zahary.

Cofała się nadal, nie odwracając wzroku.

Dziura w ścianie była już na tyle duża, że Zahara widziała zmarłych wewnątrz szybu. Łypali na nią i chwyтали gorącą poskręcaną durastal, próbując odginać ją do środka. Szyb był zapchany ciałami – więźniowie wciąż w swoich uniformach, zarówno ludzie jak i nie ludzie, strażnicy, administratorzy już nie podzieleni, ale stłoczeni wszyscy razem w gorliwej jedności, której brakowało im za życia. Mogła dostrzec już

ich twarze oświetlone bezrozumną, zwierzęcą przebiegłością. Zielona, pokryta łuską ręka, ściskająca blaster wypaliła na oślep w przestrzeń hangaru. Czerwona smuga zniknęła w oddali i trafiła w coś poza zasięgiem jej wzroku. Kolejne blastery strzelały wewnątrz szybu, poszerzając z każdej strony zrobioną przez siebie dziurę.

Uważaj, gdzie idziesz. Jeśli będziesz za szybko biegła...

Jeszcze nie zdążyła tego pomyśleć gdy potknęła się o własne stopy i runęła na podłogę, przygnieciona ciałem Kale'a.

Uciekaj, wstawaj, szybko!

Poderwała się szukając ręką Kale'a z trudem dźwignęła go z podłogi i podniosła wzrok. To był błąd.

Zaczęły wyłazić.

Koślawa dziura, którą wypalili, blasterami w ścianach szybu miała postrzępione krawędzie, więc kaleczyli się, wychodząc na zewnątrz. Ostre kolce z durastali przecinały mundury i wrzynały się głęboko w zwiotczone wory przegniłych wnętrzności, którymi stały się ich ciała. Jeden z nich – strażnik, którego Zahara mgliście pamiętała z jego wizyt w ambulatorium – nadział się na szpikulec i teraz zwisał, wymachując kończynami, podczas gdy inni wspinali się po jego ciele.

Kale jęknął i spróbował się wyprostować. Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, po czym opadł znów bezwładnie. Domyśliła się że chciał jej coś powiedzieć; mimo ciężkich ran znalazł w sobie dość siły, żeby krzyknąć ale i tak zgłuszyły go blastery.

Pociągnęła go szybciej stawiając krótsze kroki. Ciężar chłopca ją spowalniał a kilka pierwszych trupów zmierzało już w jej kierunku. Jednym z nich był Gat. Jego znajomą niegdyś twarz wykrzywił odrażający głodny grymas. Zjem cię, mówił grymas i będziesz mi smakować.

Na krótką chwilę zapadła cisza i chociaż Zaharze dzwoniło w uszach zrozumiała, co krzyczy Kale.

- Puść mnie!

- Nie – powiedziała, nie zastanawiając się nad tym, czy on ją słyszy czy nie. Ważne było, że powiedziała to sobie samej: nie zostawi go tutaj. Naprzeciwno, w odległości może sześciu metrów od niej trzech martwych strażników i jakiś tuzin więźniów zatrzymało się jakby oswajając z nowym otoczeniem. Nagle rzucili się biegiem w jej kierunku, bezwładnie powłócząc nogami i wymachując ramionami. Otwierali szeroko usta i przez cały czas strzelali. Wychodziło im to coraz lepiej.

- Zostaw mnie! – krzyczał Kale. – Biegnij! Uciekaj!

Zamknij się pomyślała. Adrenalina buzowała w jej głosie; bieg tyłem zmienił się teraz w sprint tyłem. Nie czuła już nóg, które uderzały o podłogę z szaleńczą, obezwładniającą prędkością. Trupy zostawały w tyle. Próbowaly ją gonić, ale była dla nich za szybka, nawet ciągnąc za sobą Kale'a...

Rozległ się jeszcze jeden metaliczny brzęk. Kale poruszył się gwałtownie w jej ramionach i znieruchomiał.

Zatrzymała się czując wilgotne ciepło rozlewające się po brzuchu i nogach. Wszystko poniżej pasa miała mokre od krwi.

Spojrzała w dół.

Prawa połowa twarzy Kale'a zniknęła, pozostawiając krwawą miazgę. Rozłupana czaszka wystawała spod skóry jak strzaskana terakota a żuchwa zwisała krzywo na jednym zawiasie. Przyjął na siebie strzał, który rozerwałby brzuch Zahary. Nienaruszone oko chłopca, zwrócone ku górze, zachodziło już mgłą. Czuć było mdlący, słodki zapach przypalonych włosów i skóry.

Gdy głowa Kale'a opadła, Zahara zauważyła, że lewa strona jego twarzy jest niemal zupełnie nietknięta poza pojedynczą kropką purpury pod okiem.

Usłyszała stłumione warczenie i podniosła wzrok.

Trupy naprzeciwko niej przyspieszyły, zwabione świeżą krwią.

Zahara zostawiła ciało chłopca i rzuciła się do ucieczki.

## ROZDZIAŁ 33

# KŁADKA

Zgubili się – Trig był pewien.

To się stało, kiedy uciekali na oślep od włazu, który Han zablokował strzałem z blastera. Nikt się nie odzywał, nikt nie mówił którędy iść po prostu biegali najszybciej jak mogli byle dalej od tych drapiących, wrzeszczących stworzeń, które zostawili za plecami. Wydawało mu się, że przebiegli całe kilometry – wiedział, że to niemożliwe ale trudno kwestionować subiektywne odczucia. W końcu byli zbyt wyczerpani żeby oddychać, zwolnili. Z trudem łapali powietrze ale wciąż się nie odzywali. Wtedy Trig po raz pierwszy pomyślał, że Han chyba się pogubił i prowadzi ich teraz w złym kierunku.

Może z powrotem do tych stworów w suficie, może...

Trig nie chciał o tym myśleć. Lepiej skupić się na tym, dokąd zmierzają. Długie korytarze i główne szyby tranzytowe wyglądały identycznie, wymienniki powietrza i kolektory też wydawały się takie same a kiedy dotarli do kolejnego rzędu turbowind, dokładnie takich jak poprzednie, Trig nie mógł już dłużej tego w sobie dusić.



- Kręcimy się w kółko – stwierdził.

Han nic nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrzął. Wędrował wzrokiem tam i z powrotem po zbliżającej się pajęczynie korytarzy analizując w głowie możliwości.

- Trig chrząknął.

- Słyszałeś? Powiedziałem...

- Uważasz, że sam potrafisz zaprowadzić nas na mostek, mały? – warknął Han. Jego oczy wydawały się puste i zapadnięte. – Proszę bardzo.

- Mówię tylko... – Trig wskazał drogę, którą Han najwyraźniej wybrał - ...że to nie wygląda tak, jak powinno.

- Tak? No cóż, jesteśmy na gwiazdym niszcycielu, ścigani przez żywe trupy. Nic nie wygląda tak jak powinno. – Han potarł twarz a kiedy opuścił rękę i spojrzął na Chewbaccę jego mina zdradzała wysoki stopień zwątpienia. – Przyszliśmy stamtąd, tak?

Wookie wydał z siebie płaczliwy, niepewny jęk.

- Świetnie. To ty masz podobno wyostrzony zmysł orientacji.

- Wydaje mi się że pojedziemy tą windą, wiecie, do góry... – zaczął Trig.

- Jesteśmy tuż koło wieży dowodzenia. – Han przykucnął i dotknął czubkami palców pokładu pod ich stopami. – Czujecie jak podłoga wibruje?

Trig pokiwał niepewnie głową.

- Musimy być dokładnie nad głównym generatorem mocy. – Han wycelował kciukiem w prawo. – Tędy i z powrotem w tę stronę; czuję to. Jesteśmy prawie na miejscu, to musi być za tym włazem.

Dotknął przycisku na ścianie. Rozległo się brzęczenie i cała platforma zadrżała jeszcze silniej a przed nimi otworzyła się ogromna przestrzeń.

Niemal równocześnie zrobili krok w tył wpatrzni w otchłań.

Niezdrowo wyglądające żółte i zielone światła rozświetlały ją od góry. Trig pochylił się lekko do przodu, wyciągając szyję tak daleko jak tylko miał odwagę ale nie zdołał ogarnąć wzrokiem całości. Kiedy jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności, stwierdził że stoją nad głęboką jakby bezdenną przepaścią która przez chwilę wydawała się studnią kosmosu. Trig, spragniony, pozwolił sobie wreszcie na drżący oddech.

- Widzicie? – powiedział Han trochę niepewnie. – Mówiłem, że jesteśmy na górze.

Trig wpatrywał się w masywny, cylindryczny kształt, mającący daleko w dole, widoczny tylko w połowie. Ich głosów prawie nie było słychać na tle czeluści.

- Co jest tam na dole? – zapytał.

- Pewnie turbina głównego silnika.

- Duża.

- To duży statek, chłopcze. Imperium takie lubi. – Han pokazał palcem w drugą stronę a kiedy się odezwał, wzmochnął głos z całą pewnością siebie, jaka mu jeszcze została. – Widzisz ten kwadratowy szyb serwisowy po drugiej stronie? To pewnie platforma głównej windy na mostek.

Trig zmrużył oczy. Nie widział nic z drugiej strony i wątpił czy Han coś tam wi-

dział. Jego uwagę wciąż przyciągała cicha turbina. Jak by to było spaść z tak wysoko? Miałby dużo czasu, żeby sobie pokrzyczeć, to pewne – jeden niekończący się wrzask pochłaniany przez ciemność. Zastanawiał się, co by było gdyby dolna część gwiazdnego niszczyciela była otwarta i można by było przez nią przelecieć żeby wpaść prosto w nieprzyjazną lodowatą toń galaktyki.

- Jak się tam dostaniemy?

Han wskazał ręką.

- Przyjrzyj się dobrze.

Trig zmarszczył brwi. Mająca przed nimi kładka była tak wąska, że w pierwszej chwili wziął ją za występ ściany. Biegła wzdłuż krawędzi tak daleko jak tylko sięgał jego wzrok, prawdopodobnie aż na drugą stronę.

- Nie ma barierki.

- No cóż, jak się nie ma, co się lubi...

- Musi być jakiś normalny sposób, żeby się tam dostać.

- Na pewno – odparł Han. – Ale jeśli o mnie chodzi to nie zamierzam tu sterceć dłużej niż to konieczne.

Trig przypomniał sobie o turbowindzie, którą im proponował parę zakrętów wcześniej. Niewątpliwie byłby to normalny sposób dostania się na mostek. Ale czy wróciłby tam sam? Czy w ogóle potrafiłby ją znaleźć?

Zerknął na Chewbaccę ale potężny Wookiee wydawał się niewzruszony a Han wchodził już na kładkę. Przywarł plecami i rozpląszczonymi dłońmi do ściany i posuwał się wolno do przodu, próbując utrzymać równowagę.

- Trzymaj głowę wysoko i nie patrz w dół, a wszystko będzie w porządku. - Zerknął na Wookiego. – No, na co czekasz?

Chewbacca wszedł za nim z żalosnym skowytem i Trig zrozumiał, że przyszła kolej na niego. Pomyślał, że Han pewnie miał rację co do wieży dowodzenia – przy całym swoim uporze i pewności siebie wydawał się zadziwiająco zorientowany w ogólnym układzie niszczyciela. Kiedy chłopiec zbliżył się do kładki postawił na niej stopę, poczuł, że wnętrzności podjeżdżają mu do gardła. Nogi mu dygotały aż po uda, dłonie miał spocone i stwierdził nagle ponad wszelką wątpliwość, że właśnie tak zginie – spadając w przepaść. Gdzieś się zapodziały cały jego zmysł równowagi.

- Nie mogę – wymamrotał.

Han odwrócił się i popatrzył na niego. Pod jego wzrokiem Trig zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

- No, chodź... nie mamy czasu na rozmowy motywacyjne.

Trig spróbował przełknąć ślinę ale gardło okazało się za ciasne. Wydusił z siebie słowa:

- Musi być jakaś inna droga. Może wróć do turbowindy.

- Sam? – spytał Han.

- To poczekam na was tutaj. Jak już uruchomicie silniki... - Pokiwał energicznie głową, próbując sam siebie przekonać do tego pomysłu. – Po prostu spotkajmy się tutaj, dobrze?

Han popatrzył na niego po raz ostatni. Odległość między nimi była już na tyle duża, że Trig nie zdołał dostrzec wyrazu jego twarzy ale jakaś mała, wstydliva częst-

ka jego umysłu podejrzewała, że irytacja miesza się na niej z odrobiną pogardy.

Ale jeśli nawet Han odczuwał pogardę, nie było jej w jego głosie.

- W porządku – powiedział. – Wrócimy po ciebie. – Razem z Chewbaccą odwrócili się i poszli dalej, stawiając ostrożnie kroki.

Trig wpatrywał się w dwa ciemne kształty zanurzające się coraz głębiej w cień, dopóki było cokolwiek widać. Wreszcie sylwetki zniknęły a on został zupełnie sam.

Nigdy nie czuł do siebie takiej nienawiści jak w tym momencie. Pomyślał, że Kale poszedłby z nimi bez wahania i że przez całe życie przeżywał sytuacje w których nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Ta była tylko jedna z wielu. I pewnie nie ostatnia.

Wydawało mu się, że stoi już nad przepaścią bardzo długo, czekając że Han zawoła gdzieś z oddali: „Tu jesteśmy” albo „udało się” ale niczego takiego nie usłyszał.

Może spadli, wyszeptał tchórzliwy głosik w jego głowie. Ale gdyby tak było, czy nie usłyszałby ich krzyku?

Usiadł przy otwartym włazie w bezpiecznej odległości od krawędzi i wpatrywał się w otchłań, wsłuchując się we własny oddech i głuchy, miarowy łomot tętna.

W końcu usłyszał jakieś dźwięki dochodzące z dołu czeluści. Cichy szelest daleko poniżej zasięgu jego wzroku.

To oni. Są na dole.

Skoczył na równe nogi, przejęty bardziej tą myślą niż ukłuciem bólu w kolanach i spróbował sięgnąć wzrokiem głębiej w dół. Słyszał kiedyś, że załogi gwiazdowych niszczycieli liczą po osiem tysięcy ludzi albo więcej – a jeśli wszyscy byli zakażeni? Pewnie gnieździłiby się gdzieś razem w ciemnościach. Może ci z szybu wentylacyjnego nadeszli właśnie stąd, może tutaj czekali? A potem wyruszyli w stronę głównego hangaru, jakby przywołani przez...

Odrócił się tknięty przecuciem, że ktoś go obserwuje.

To nie było tylko przecucie.

W końcu korytarza, oddalonym o jakieś dziesięć metrów spoglądała na niego wyłaniająca się z mroku twarz z półprofilu. Nawet z tej odległości Trig od razu ją rozpoznał, chociaż dopiero po chwili zdołał wykrztusić przez zdrętwiałe z szoku usta:

- Kale?

Brat wpatrywał się w niego z ukosa nie odwracając głowy, jakby w transie. Po-tem wyciągnął rękę i przyciskiem na ścianie otworzył znajdujące się przed nim drzwi.

- Kale, poczekaj! Nie...

Kale przeszedł przez drzwi i zniknął.

Trig pobiegł za nim korytarzem, zataczając się lekko. W nogach czuł mrowienie od długiego siedzenia bezruchu – czy naprawdę czekał tu aż tak długo? Kolana miał zupełnie miękkie i zaczął się zastanawiać czy nie ugną się pod jego ciężarem.

Dopał do włazu, który otworzył jego brat i nacisnął guzik. Drzwi które się otworzyły, nie były tak duże jak te, które Han odkrył nad turbiną; ten fakt sprawił, że Trig w jakiś sposób poczuł się lepiej.

Przeszedł na drugą stronę.

- Kale? To...

Głos uwiązał mu w gardle.

Pomieszczenie było jeszcze ciemniejsze niż hala, którą zostawił za plecami. Na pierwszy rzut oka wydawało się równie duże jak przepaść nad którą bał się przejść – ale wyglądało raczej na główne składowisko odpadów. Góra śmieci unosiła się do samego sufitu a smród zgnilizny unoszący się z jej szczytu przyprawiał o mdłości.

Trig zakrył ręką usta i rozejrzał się łzawiącymi oczami; bał się zakrztusić. Nigdzie nie widział brata ale przecież Kale właśnie tu wszedł, zaledwie parę sekund wcześniej.

- Kale – powtórzył cicho bo nie wiadomo czemu bał się tu krzyżeć. – To ja. Co ty tu robisz?

Za jego plecami zatrzaskał się wąż.

## R O Z D Z I A Ł 3 4

# WZGÓRZE SKÓR

To nie były śmieci.

Trig zdał sobie z tego sprawę, gdy zrobił jeszcze jeden krok naprzód w nadziei, że trafi na jakiś ślad Kale'a po drugiej stronie. Wtedy właśnie wszedł stopą na coś miękkiego i plastycznego a kiedy spojrział w dół zobaczył, że to była ludzka noga.

Bardzo powoli podniósł wzrok.

Noga była połączona z tułowiem na którym leżał kolejny i jeszcze jeden a cały piętrzący się przed nim stos musiał się składać z setek poćwiartowanych ciał – głowy, ręce, nogi i całe ciała, nagie kości. Wiele z nich miało jeszcze na sobie przegniłe imperialne mundury i niekompletne zbroje szturmowców. Stos sięgał aż do sufitu. zewsząd atakowały Triga upiorne szczegóły. Zwłoki były okaleczone jak ochłapy w rzeźni, niektóre z nich wyglądały na częściowo pożarte, jakby ktoś powygryzał kęsy mięsa. Ręce i nogi były opuchnięte do tego stopnia, że skóra zaczynała pękać jak na kiełbaskach. Trig zauważył nagle, że stoi w lepkiej kałuży cieczy, która wyciekła ze

zwłok i zalała podłogę.

Poczuł że pomieszczenie zaczyna wirować. Krzyk wezbrał w jego gardle ale zamarł, bo chłopiec nie był w stanie otworzyć ust. Potknął się usiłując nie patrzeć na to, co miał przed sobą i wszędzie dookoła. Marzył o tym, żeby to znikło ale nie potrafił od tego uciec. Gdzieś za nim były drzwi którymi wszedł, właz który pozwoliłby mu się stąd wydostać ale nie mógł znaleźć aktywującego go przycisku. Po omacku oklepywał ściany i walił w nie na oślep pięściami ale bez efektu.

Wreszcie tama w jego gardle pękła i wydał z siebie wrzask, który był połączeniem słów „nie„ i „Kale”. W tym momencie usłyszał miękki, wilgotny odgłos z wnętrza trupiej góry. Ciała zaczęły się poruszać, wypychane i przesuwane przez coś w środku.

I wtedy zobaczył wygrzebującą się istotę.

Najpierw ukazała się biała głowa, biała jak larwa; potem precyzyjnie się cała reszta.

Postać w ociekającym, postrzępionym ubraniu i zakrwawionym hełmie szturmowca wstała i popatrzyła na niego. Czarne polaryzujące soczewki hełmu były porysowane i brudne, pokryte śluzem i posoką. Filtr powietrza był z jednej strony ułamany i Trig dostrzegł pod nim łuszczące się zainfekowane gardło. Wokół osłony ust zakrzepła krew, jakby coś wygryzło sobie drogę na zewnątrz.

Postać ruszyła chwiejnym krokiem w jego stronę.

Trig zrobił krok do tyłu, ale potknął się i upadł. Poderwał się zaraz, dał susa w bok i zaczął biec wokół góry. Wyobrażał sobie, że usłyszy goniącą go istotę ale mógł to być jedynie łomot własnego serca. Nie miał odwagi się obejrzeć, czuł jednak że tam jest, że się zbliża. Stale nasilająca się obecność którą odbierał jak ucisk w oczodołach i klatce piersiowej, pchała go naprzód coraz szybciej.

Wszystko wirowało wokół Triga. Kręcił głową na prawo i lewo. Drzwi, gdziekolwiek były przepadły na dobre. Strach pozbawił go zupełnie zmysłu orientacji. Nie pamiętał już nawet, skąd przyszedł.

Gdy tak uciekał wokół stosu, przeskoczył nad trzema ciałami, związanymi ze sobą sznurami za kostki i nadgarstki i wtedy coś na górze przykuło jego uwagę – błysk światła.

Zadarł głowę i zobaczył w suficie odsłonięty szyb wentylacyjny, prowadzący dziesięć albo piętnaście metrów w górę, może nawet więcej.

W końcu się zatrzymał i obejrzał się za siebie. Postać w hełmie szturmowca podążała za nim cały czas. Za kilka chwil go dogoni.

Tym razem Trig nie dał sobie czasu do namysłu.

Zaczął się wspinać.

Było jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Stos poćwiartowanych kończyn i odciętych głów tworzył luźne, ruchome podłoże; zwłoki się osuwały gdy czepiał się ich wspinając się coraz wyżej. Smród wydawał się gęstnieć w miarę jak odsłaniał ukryte poziomy zgnilizny, dotąd odcięte od powietrza. Nie zawsze udawało się Trigowi po-

wstrzymać odruch wymiotny a ustawiczne mdłości jeszcze bardziej utrudniały wspinaczkę.

Starał się skoncentrować na szybie wentylacyjnym, myśleć tylko o ucieczce. Co parę sekund oglądał się jednak za siebie – nie mógł się powstrzymać.

Istota w hełmie wspinała się za nim.

Parła na przód z twardą bezwzględnością bohatera jednego z jego koszmarów. A Trig, nawet podczas niezdarnej wspinaczki, nie mógł przestać myśleć o głosie Aura Myssa z sąsiedniej celi, o tym jak poprzysiągł ich dorwać. Czy trup Myssa go teraz gonił? W jaki sposób znalazł się w tej części niszczyiela przed nim i co robił w tej stercie ludzkich odpadów? Trig nie zadawał sobie jednak takich pytań – mógł myśleć tylko o tym, że ten potwór podążył za nim aż tu, żeby zaspokoić nieśmiertelną żądzę, która nim kierowała.

Gniew.

Mord.

Głód.

Coś się pod nim poruszyło w zboczu góry.

To tylko jeszcze jedna część ciała, nie myśl o tym, nie pozwól żeby...

Trig poczuł jak zimna, pokryta strupami ręka wyłania się ze sterty i chwytą go za kostkę.

Wrzasnął z bólu i przerażenia i wyszarpnął nogę przez co omal nie stracił równowagi i nie spadł. Zmroziła go wizja własnego bezbronnego ciała lecącego w dół z hałdy zwłok z której wynurzają się ręce, ramiona i zęby, odrywając kawałki mięsa aż wreszcie jego krwawiące truchło zajmuje swoje miejsce w usypisku.

Zaczął się wspinać jeszcze szybciej, zrzucając po drodze ciała. By już na tyle blisko szczytu że widział wewnątrz szybu – szeroką rurę, która stała przed nim otworem.

W górę. Po prostu w górę.

Z nadludzkim, jak mu się zdawało, wysiłkiem wyrzucił całe ciało w górę. Jego mózg w tym momencie całkowicie się wyłączył. Nie czuł już obrzydliwego zapachu ani straszliwej, lodowatej, klejącej się do skóry powierzchni przyzmy. Miał jedynie świadomość tego co przed nim i tego ile mu brakuje, żeby się tam dostać. Ostatnie parę chwil w drodze na szczyt góry nie pozostawiło w jego pamięci żadnego śladu – równie dobrze mogło to dotyczyć kogoś zupełnie innego, kogoś obcego.

Odzyskał przytomność umysłu gdy tylko jego palce wczepiły się w zimny metal, cudownie solidny fragment zewnętrznej krawędzi kanału. Z zapartym tchem dźwignął górną część ciała, następnie poderwał nogi i dopiero wtedy pozwolił sobie na oddech. Szyb był niewiele szerszy od jego ramion ale wystarczająco duży.

Trig rozejrzał się wokół bliski hysterii. Serce waliło mu tak, jakby chciało wybić dziurę w klatce piersiowej a grdyka podskakiwała szaleńczo w górę i w dół.

Znowu zaczną beczeć, pomyślał. No to płacz. Chyba ci się należy.

Ale zdał sobie sprawę, że oczy ma suche. Pokonując górę trupów, zdołał uciec przed łzami.

Usłyszał czyjś świszczący oddech a kiedy spojrział w dół, zobaczył, że istota w hełmie szturmowca wciąż pnie się po stercie ciał.



Trig wyrzał jeszcze raz przez otwór szybu, wreszcie wybrał kierunek i zaczął się wspinać.

## ROZDZIAŁ 35

# CAŁA CHORA ZAŁOGA\*

Sartoris wpatrywał się w ciemne postacie po drugiej stronie głównego hangaru, zbliżające się coraz bardziej.

Zauważył je, jak tylko ucichły strzały. Najpierw była ich tylko garstka, potem więcej, teraz już dziesiątki – przemieszczały się jak jeden organizm złożony z niezliczonych mniejszych elementów. Były już na tyle blisko, że rozpoznawał poszczególne twarze – ludzi z którymi przez lata pracował na barce więziennej, strażników do których zwracał się po imieniu, żołnierzy, którzy wykonywali jego rozkazy z bezwzględnością lojalnością, więźniów, którzy drżeli ze strachu na dźwięk jego kroków. Teraz poruszali się razem a strawione przez chorobę ciała napierały jedno na drugie. Zjednoczeni w śmierci stali się braćmi.

I szli po niego.

Za plecami Sartoris usłyszał przenikliwy szcęk metalu uderzającego o metal. Z cienia dobiegł go cichy, zbiorowy jęk, głęboki i głodny. Kapitan odwrócił się i popatrzył na spiętrzone statki, wychwytyjąc błysk ruchu pod X-wingiem. Jakimś sposobem zaszli go też od tyłu. Widział jak tłoczą się w cieniu i go obserwują.

Skąd się tam wzięli?

To była lekcja numer jeden z podręcznika Imperialnej Straży Więziennej, lekcja której się nie zapominało – nigdy nie odwracaj się plecami do więźniów. Teraz Sartoris zrozumiał, że jest już za późno. Nieuchronność własnej śmierci poczuł nagle w żołądku jak łyk skażonej, lodowatej wody. Kropelki potu spływały mu po kręgosł-

---

\* The Whole Sick Crew – nazwa grupy nowojorskiej cyganerii artystycznej w debiutanckiej powieści Thomasa Pynchona V.

pie, skradając się pomiędzy łopatkami w kierunku talii.

Sylwetki naprzeciwko niego przybliżyły się gwałtownie jakby posuwały się naprzód w interwałowych przestrzeniach jak na filmie z którego usunięto fragmenty ukazujące ruch. Śledzili go cały czas a w ich ruchach była przyczajona, prymitywna przebiegłość; zastanawiał się, czy po prostu mierzą go wzrokiem czy też odczuwają atawistyczną przyjemność obserwując jak ofiara się wije. Za parę sekund to nie będzie już miało znaczenia – znajdą się wystarczająco blisko, żeby rzucić się na niego i rozerwać go na strzępy. Mogli go zresztą nawet zastrzelić, gdyby chcieli. Wszyscy mieli blastery.

Istoty za jego plecami zawyły.

Więźniowie i strażnicy przed nim odpowiedzieli wrzaskiem – hasło i odzew? Sartoris widział lepkie nitki śliny zwisające z ust zarówno ludzi jak i nieludzi. Była wśród nich grupa Wookiech, którym spomiędzy kłów wypływały całe wodospady, rozlewając się po brodach i wsiąkając w futro. Wyglądało na to, że wolą pożreć go żywcem, niż rozwalić blasterem – może bardziej im smakowało surowe mięso.

- No dalej – odezwał się Sartoris posępnie. – Na co czekacie?

Całkiem jakby czekali na zaproszenie w tym momencie złamali szyk i ruszyli do ataku. Sartoris który do tej pory nie przewidział jaki będzie jego następny ruch, spojrzał na opuszczonego X-winga, chwycił skrzydło myśliwca i wspiął się na górę. Niepewnym, koślawym truchtem pokonał drogę ze skrzydła do kabiny, odwrócił się i zeskoczył na fotel pilota. Wyciągnął rękę, żeby zamknąćabinę ale osłona była zepsuta i nie chciała się zatrzasnąć.

W ciągu kilku sekund dostrzegł wszystkie słabe punkty swojego zuchwałego planu. Czuł już jak obie grupy przemieszczają się pod X-wingiem. Ich agresywna, zbiorowa siła i głód rosły w miarę jak kołysali myśliwcem w przód i w tył, próbując go wyrzucić podczas gdy inni wspinali się nad dziób. Trzech Wookiech, których Sartoris widział wcześniej, dorwało się już do osłony kabiny i próbowało ją oderwać a może tylko podciągnąć się na tyle wysoko, żeby zaatakować go tam, gdzie siedział. Wyobrażał już sobie ich trzy włochate ciała, zgarbione nad jego obnażonym tułowiem jak wrywają i rozdzierają to, co zostało w kotle krwi, który kiedyś był kabiną X-winga.

Teraz dopiero jego wzrok padł na monitor nawigacyjny. Tablica przyrządów roztaczała mleczną poświatę uspionej elektroniki ale teraz powoli się rozjaśniała, jakby obudzona jego przybyciem. Tuż nad drążkiem migąło miarowo zielone światelko celownika. Sartoris dostrzegł przełączniki aktywujące broń – działka laserowe i torpedy protonowe były gotowe do użycia.

Kilka par rąk opadło z góry i zatopiło szpony w jego szyi. Czuł teraz ich zapach – zakażonych Wookiech ich ociekających śliną głodnych paszcz i coraz bliższych oddechów. Mokra, ciepła ślina spłynęła po jego twarzy i poczuł na karku coś ostrego i twardego.

I wtedy nacisnął spust.

Cały jego świat poleciał gwałtownie do tyłu. Laserowe błyskawice wystrzeliły równocześnie z obu par działek. Oślepiający błysk z luf, który usunął cały tłum więźniów przed nim w tym samym momencie odrzucił go do tyłu. Wookie, którzy chwyтали go za gardło, zniknęli z zaskoczonym rykiem wściekłości. Sartoris zdał sobie sprawę,

że X-wing wciąż ślizga się po podłodze hangaru, wprawiony w ruch przez siłę odrzutu. Jego drogę zakończył zgrzytliwy łomot, kiedy silniki statku uderzyły w coś większego od siebie, może ścianę hangaru.

Wyskoczył z fotela i stwierdził, że zderzył się z imperialnym okrętem desantowym, promem klasy Sentinel, który wyglądał jakby został wessany przez promień ściągający i rzucony płasko na pokład.

Gdzieś tu musi być właz ewakuacyjny. Tylko gdzie?

Sartoris wskoczył na kadłub promu, pobiegł w górę i poczuł, że statek pod jego stopami się przechyla – już tam byli, nadciągali falami a wrzask znów narastał. Kiedy uderzyli w prom od spodu, kapitan stracił równowagę, poleciał do przodu i wpadł do środka przez właz.

Potem zapanowała ciemność.

Sartoris otworzył oczy z cichym jękiem. Leżał na plecach w zaciemnionej ładowni promu a blacha falista uciskała go w szyję. Na zewnątrz wzmocnionego durastalowego kadłuba słyszał niewyraźnie drapanie i walenie. Na chwilę ucichło a potem w ścianę uderzyło coś znacznie mocniej – znowu blastery, pomyślał ze zmęczeniem. Chciał już tylko stracić przytomność.

- To pan ich tu za sobą przywłókł? – zachrypiął głos w ciemności.

Sartoris podskoczył lekko i zobaczył kilka par wpatrujących się w niego oczu. Gdy tylko jego wzrok oswoił się z ciemnością, dostrzegł, że ma przed sobą grupę mężczyzn w niedopasowanych imperialnych mundurach, którzy nachylają się ku niemu z siedzeń przymocowanych do ścian po obu stronach ładowni. Cofnął się odruchowo, daremnie próbując się odsunąć.

- Proszę się nie obawiać – powiedział głos. – Nie jesteśmy zainfekowani.

Sartoris przyjrzał im się bliżej z sercem wciąż w gardle. Nawet przy tym co działo się na zewnątrz wygląd mężczyzn był szokujący. Ich wyniszczone przez głód twarze wyglądały jak czaszki obciążone żółtą jak pergamin skórą. Mieli wargi naciągnięte ciasno na zębach i groteskowo wystające kości policzkowe. Jeden z nich próbował się chyba uśmiechać.

- Jestem komandor Gorrister – powiedział uśmiechnięty, najwyraźniej czekając, że Sartoris także się przedstawi. Gdy to nie nastąpiło, Gorrister westchnął i ciągnął dalej: - Z tego co tam się dzieje, wnioskuję że trafił pan tu podobnie jak my.

Sartoris się skrzywił.

- Coś w tym stylu.

Gorrister zaczął coś mówić ale przerwał mu przeraźliwy huk. Na zewnątrz statku ogień z blasterów nie przestawał walić w opancerzony kadłub. Komandor machnął ręką z obojętną miną.

- Zaraz dadzą sobie spokój – powiedział. – Tak na prawdę to tylko odruch z ich strony...

Sartoris uniósł brew.

- Odruch?

- Owszem. Pewne schematy zachowań bywają trudne do wyeliminowania, nawet jeśli są całkowicie nieefektywne.

Targnęła nimi kolejna seria eksplozji. Ogień się nasilał.

- Jak dla mnie wyglądają na całkiem efektywne – sprzeciwił się Sartoris.

Komandor pokręcił głową.

- Nasz kadłub jest specjalnie wzmocniony, raczej nie do przeforsowania dla ręcznej broni. Dopóki nie rozgryzą cięższej artylerii, jesteśmy względnie bezpieczni. Oczywiście to tylko kwestia czasu, prawda? – Jego górna warga opuściła się na zęby z cichym, ssącym odgłosem. – Jak na razie nie mamy tu zbyt wielu statków ale trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że wisimy gdzieś na skraju Nieznanych Regionów. Na takim odludziu nie ma dużego ruchu.

Oszczędnym gestem wskazał na kabinę, gdzie tablica przyrządów świeciła blado jak krótkowzroczne oko dotknięte kataraktą braku energii.

- Widzieliśmy jak wciąga waszą barkę więzienną – powiedział Gorrister po czym z okropnym, ponurym chichotem który brzmiał jak czkawka, dodał: - Szkoda, że nie mogą zjadać swoich.

- Kto nie może? – spytał Sartoris.

Mężczyzna obrzucił go bladym spojrzeniem, które wyrażało nie tyle zdumienie co jawne niedowierzanie.

- A co, myślał pan, że na pokładzie są tylko pańscy znajomi więźniowie?

- Kto tu jeszcze jest?

- Kto... jeszcze? – Tym razem komandor wykrzesał z siebie prawdziwy śmiech. Brzmiał tak, jakby ktoś zdmuchnął warstwę kurzu z bardzo starej księgi, może nawet oprawionej w ludzką skórę. – A niech to. Pan naprawdę nie ma pojęcia co tu się dzieje, prawda?

Sartoris poczuł rosnącą irytację i nawet nie starał się jej ukryć, mówiąc:

- Może mnie pan oświeci?

- Wszystko zaczęło się dziesięć tygodni temu, kiedy pierwsze zbiorniki zaczęły przeciekać.

- Jakie zbiorniki?

Gorrister go zignorował.

- Niektórzy spośród nas snuli spiskowe teorie, że to nie był wypadek, że wszyscy byliśmy częścią jakiegoś większego eksperymentu... i myślę, że to możliwe.

- Zaraz, zaraz – powiedział Sartoris, siadając na wprost mężczyzny. – Niech pan zacznie od początku.

Komandor przerwał a Sartoris zauważył, że delegacja szkieletów siedząca po jego obu stronach pochyla się do przodu, słuchając z uwagą, jakby nigdy wcześniej nie słyszeli tej historii, mimo że ewidentnie byli jej częścią.

- A jakie to ma teraz znaczenie? – odparł Gorrister. – Opuściliśmy Megluminę, wioząc ściśle tajny ładunek. Eksperymentalną broń dla Imperium z zachowaniem wszelkich zwyczajowych środków ostrożności. Na osobiste polecenie Lorda Vadera. Naszym celem była baza testowa na Khonji Siedem, poza układem Brunet... ale nigdy nie wylecieliśmy ze Środkowych Rubieży. – Zaczerpnął powietrza i wypuścił je z wielkim wysiłkiem. – Początkowo uszkodzenie wydawało się niewielkie i wyglądało

na to, że nasi inżynierowie sobie z nim poradzą. Niektórzy z naszych naukowców badali nawet jaki wpływ ma to na człowieka w szczególności na układ oddechowy. Sądziłyśmy, że sytuacja jest opanowana. – Przerwał i odchrząkał. – Ale nie na długo. Wirus szybko się rozprzestrzenił po całym gwiazdowym niszczycielu. Nikt nie był bezpieczny.

- Chwileczkę – przerwał Sartoris. – Chce pan powiedzieć, że krąży tu jeszcze dziesięć tysięcy takich straszyleł?

- Ależ skąd. Niektórzy z nas zdołali uciec albo chociaż próbowali a część wykazywała naturalną odporność. Wykorzystując ich krew nasi lekarze zdołali uzyskać przeciwciała, zapewne tak samo jak wasi... skoro pan tu jest.

Sartoris mruknął coś niewyraźnie. Nie miał ochoty roztrząsać własnej przypadkowej odporności na chorobę. Gorrister chyba nawet nie zwrócił na to uwagi.

- Odizolowaliśmy część statku – ciągnął – i wstrzyknęliśmy sobie przeciwciała. Na początku wydawało się, że dla nas wszystkich wystarczy. – Jeszcze jedna słaba, upiorna próba uśmiechu. – Niestety lek skończył się szybciej, niż przypuszczaliśmy. Było więcej w laboratorium ale oczywiście nie mogliśmy po niego wrócić. Wtedy plan zaczął się nieco zmieniać. Oczywiście wielu członków załogi zostało zjedzonych, zanim zdążyli się przemieścić. Rozerwani na strzępy i ... hm, strawieni, to chyba odpowiednie słowo.

Gorrister przełknął ślinę. Najwyraźniej ta część jego opowieści wydawała mu się wyjątkowo obrzydliwa.

- Początkowo próbowaliśmy zbierać szczątki. Składaliśmy je w pomieszczeniu na odpady i kroiliśmy na kawałki. Myśleliśmy, że może dzięki temu nie będą się przemieniać, rozumie pan ale nawet to nie zawsze skutkuje. W końcu zrobiło się ich zbyt wielu i nie pozostawało nic innego jak tylko uciekać. – Rzucił Sartorisowi zimne, bezbarwne spojrzenie. – Dopóki się nie zorientowali jak aktywować promień ściągający.

- Oni myślą? – Sartoris wyobraził sobie wrzeszczące stworzenia jak zataczają się wokół statku, waląc pięściami w i strzelając w niego z blasterów. – To szaleństwo.

- Owszem, to istny obłąd – przyznał Gorrister, mrużąc oczy z łagodną miną. – Wiem tylko, że czekali na nas w hangarze, kiedy przyszlismy. Pierwszemu, który przeszedł przez właz, urwali głowę. – Oblizał wargi. Potem zabarykadowaliśmy się, wystaliśmy sygnał alarmowy i czekaliśmy.

- Jak długo jesteście tu uwięzieni?

- Dziesięć tygodni.

Sartoris poczuł, że szczęka mu opada – nie potrafił tego opanować.

- Jesteście zapuszkowani wewnątrz tego statku od dziesięciu tygodni?

- Na początku było nas trzydziestu. Teraz zostało siedmiu, wliczając mnie. – Komandor westchnął tak, jakby pozbywał się resztek powietrza z płuc i oparł się znów o gródź za plecami. Jego brudny mundur tak luźno wisiał na jego wychudzonym ciele, że wyglądał niemal komicznie, jak dziecięce przebranie. – Cały czas próbujemy nawiązać łączność ale wszystkie częstotliwości są zagłuszone. Podejrzewam, że to też może być celowe działanie z ich strony. – Jego oczy odnalazły wzrok Sartorisa, bezbarwne i beznamiętne jak oczy człowieka, który wygłasza przygotowa-



ny dawno temu wykład. – Pytał pan wcześniej, dlaczego uważam, że mogli aktywować promień ściągający. Widzi pan, oni się uczą. W tym rzecz.

-Te stwory? – spytał Sartoris. – Przecież to... zwierzęta.

- Może na początku. Ale proszę zwrócić uwagę: ci, którzy ulegli przemianie na pokładzie niszczyciela dziesięć tygodni temu, już nawet nie próbują atakować blasterami wzmocnionego durastalowego pancerza promu. Już się zorientowali, że to nic nie daje. To ci nowi, więźniowie i strażnicy więzienni do nas strzelają... a jeśli pan posłucha, to zobaczy pan, że i oni już przestali. – Pstryknął palcami. – Tak szybko zmienia się ich zachowanie.

Sartoris zdał sobie sprawę, że Gorrister ma rację. Kanonada z blasterów na zewnątrz promu ustała tak jak przewidział.

- Myślę, że to ma coś wspólnego z chorobą – powiedział komandor. – Z tym, jak została pierwotnie zaprojektowana. Oni tworzą skupiska, plemiona...roje. I porozumiewają się między sobą. Na pewno pan słyszał.

Sartoris przypomniał sobie krzyki, które usłyszał w hangarze, dziwnie cykliczne, następujące po sobie jak hasło i odzew.

- A w dodatku wszyscy przystosowują się w tym samym czasie – dodał Gorrister – jak jeden organizm. Jakby udoskonalenie całego systemu, rozumie pan?

Sartoris pokręcił głową.

- O czym pan mówi? Zaprojektowana choroba? Chce pan powiedzieć, że ktoś to wszystko stworzył celowo?

Gorrister przyglądał mu się przez chwilę z czymś w rodzaju lekkiego uśmiešku.

- Ależ pan naiwny – stwierdził. – Mówiłem panu, że przewoziliśmy ściśle tajną broń. Od dawna pan służy Imperium?

Sartoris nic nie odpowiedział. Zauważył coś, co niepokoiło go bardziej niż ten uśmiešek na twarzy mężczyzny. Podczas ich rozmowy pozostali żołnierze zaczęli zbliżać się powoli do niego, raz po raz obsesyjnie oblizując usta.

Sartoris odsunął się kawałek do tyłu. Teraz dopiero jego wzrok padł na stosik starannie złożonych mundurów, leżących na siedzeniu w rogu.

- Co się stało z resztą pańskich ludzi? – zapytał.

- Musi pan zrozumieć. – Głos Gorristera nie był już drwiący ale łagodny; właściwie brzmiał niemal współczująco. – Wody mieliśmy tutaj wewnątrz promu pod dostatkiem ale bardzo mało jedzenia a to trwa już dziesięć tygodni. To była kwestia przetrwania. Umieraliśmy z głodu, rozumie pan.

Sartoris zmarszczył brwi. Mężczyźni zaczęli się podnosić. Nagle przyszło mu do głowy, że może oszczędzali siły na tę chwilę.

- Chwileczkę. – Wstał, cofnął się i poczuł, że jego plecy napierają na ścianę. – Przecież nie jesteśmy tacy jak oni.

- Oczywiście, że nie – mruknął Gorrister, odrzucając tę myśl. – Ciągnęliśmy losy. Żeby było sprawiedliwie. Każdemu zapewnialiśmy szybką, humanitarną śmierć. Początkowo wyrzucaliśmy resztki tam... – wskazał głową właz ewakuacyjny - ...dla nich, jakby to mogło ich jakoś zaspokoić. Ale to ich tylko zachęcało do powrotu. Więc zjadaliśmy także resztki. W końcu wysysaliśmy nawet szpik z kości. Ale żaden z mo-



ich ludzi nie czuł najmniejszego bólu, zapewniam pana. – Wsunął jedną z wychudzonych rąk do kieszeni munduru i wyciągnął mały transdermalny plaster. – I pan też nie poczuje.

- Co to jest?

- Norbutal – szepnął Gorrister. – Środek paraliżujący. Po prostu pan uśnie. A gdy już zostaniemy uratowani, Imperator uhonoruje pańskie poświęcenie najwyższym odznaczeniem.

Sartoris zaczął myśleć o czymś innym.

Uświadomił sobie, że komandor wspominał o sześciu ludziach a tym czasem widział tylko czterech.

W tym momencie poczuł ręce, które chwyciły go od tyłu, przytrzymując za ramiona.

## R O Z D Z I A Ł 3 6

# SZCZUR LABORATORYJNY

Zahara nie wiedziała jak długo już biegnie. Od nadmiaru kwasu mlekowego czuła skurcze w udach i łydkach, niedobór tlenu osiągnął punkt krytyczny w którym nie dało się już go ignorować w dodatku straciła rozeznanie, gdzie jest – chyba na końcu kolejnego długiego korytarza w głębi poziomego głównego hangaru gwiazdowego niszczyciela, tylko bliżej rufy. Pozbawiona zmysłu orientacji i wyraźnego celu spodziewała się że to tylko kwestia czasu, kiedy coś ją dogoni.

Zatrzymała się, oparła o ścianę i wzięła kilka głębokich oddechów. Jej skronie

pulsowały, czuła ból w gardle i płucach a krtań była nadwyrężona i zdrętwiała, jak zawsze, kiedy się zbyt zmęczyła. Liczyła uderzenia serca, próbując się uspokoić, uspokoić się, po prostu uspokoić.

Wstrzymała oddech, nasłuchując krzyków ale nic nie usłyszała.

W korytarzu panowała absolutna cisza.

Przed sobą miała stertę skrzyń, które tarasowały drogę. Ruszyła w ich stronę, odrobinę spokojniejsza po tym krótkim odpoczynku. Zatrzymała się przy włączniku po lewej stronie i przeczytała umieszczoną na nim tablicę:

„Biolaboratorium 242

Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Spojrzał na klapy zabezpieczającą, którą ktoś wyrwał ze ściany; tak że zwisała na szypułkach różnobarwnych kabli. Otworzyła włącznik łokciem ze świadomością, że to co robi, nie jest zbyt rozsądne.

Z początku laboratorium wydało się jej krzepiąco znajome – obszar badawczy, kliniczna przestrzeń zaprojektowana z myślą o normalnym toku chłodnych obserwacji i interpretacji. Wielka lśniąca kopuła była oświetlona z góry fluorescencyjnymi światłami; białe ściany miały strukturę plastra miodu, podzielone na dziesiątki pustych, przeszklonych komórek.

Każda komórka była wyposażona we własny punkt badawczy i obserwacyjny, chociaż żaden z nich nie wyglądał na działający. W całym pomieszczeniu unosił się silny zapach środków antyseptycznych i chemikaliów z nutą rozgrzanych miedzianych przewodów. W ścianach umieszczono olbrzymie wentylatory ale żaden nie działał, co wyjaśniało panujący tu zaduch.

Posuwając się naprzód, Zahara widziała martwe terminale komputerów, wyłamane drzwi, porzucone klawiatury i pojedyncze klawisze, rozsypane na wytrzymałej durastalowej podłodze jak wybite zęby. W kącie zobaczyła androida protokolarnego typu 3PO, najwyraźniej zepsutego. Jedno z jego złotych oczu migało spastycznie a palce drżały. Gdy się zbliżyła, usłyszała cichy, prawie niesłyszalny jęk wydobywający się z wokodera robota.

Obok niego leżało wywrócone krzesło, przygniatające rozwalony stelaż z fiolkami i strzykawkami. Zauważyła na ścianie plamę krwi w kształcie człowieka z uniesionymi rękami, niczym duch namalowany czerwoną farbą. Naprzeciw niej była stacja robocza, która wyglądała na działającą. Połowę ekranu wypełniały linijki tekstu a mrugający kursor czekał na odpowiedź. Był to pierwszy działający sygnał możliwej łączności, na jaki Zahara natrafiła

Nachyliła się niepewnie i wcisnęła klawisz.

Kolejne dane popłynęły w górę monitora, przelatując zbyt szybko, żeby mogła je odczytać. Po chwili znów się zatrzymały przy tykającym kursorze a ściana naprzeciwko szczyknęła i przesunęła się odsłaniając grubą szybę.

Po drugiej stronie była jeszcze jedna komórka.

Ale ta nie była pusta.

W środku, na wysokości twarzy lekarki wisiały dwa żółte ludzkie ciała, przywiązane do sufitu gęstą siecią kabli, przewodów kroplówek i aparatury monitorującej, jak para ohydnych kukiełek. Oba były w zaawansowanym stadium rozkładu - oczodo-

ły miały puste a rysy twarzy nie do rozpoznania. Zahara zastanawiała się czy to byli ochotnicy, których zostawiono tu po tym co stało się na pokładzie niszczyciela. Jakie to uczucie, myślała, tkwić tam uwięzionym, podczas gdy wszyscy po tej stronie szyby uciekli?

Nad jej głową coś szcęknięło i zaczęło miarowo furkotać – jeden z wielkich wentylatorów w ścianie powyżej szyby. Zahara przygotowała się na podmuch uchającego powietrza ze środka ale poczuła, że powiew działa odwrotnie.

Wentylator pompował powietrze do środka... i to miało sens. Musieli dostarczać tlen obiektom badań, dopóki żyły. Te komory pewnie były hermetyczne i przy wyłączonych wentylatorach ludzie by się udusili. I pewnie tak się właśnie stało, domyśliła się Zahara, kiedy personel naukowy postanowił opuścić laboratorium.

Jedno z ciał podniosło głowę.

Zahara poczuła, że pomieszczenie wokół niej traci wszelką perspektywę. Istota za szybą przyglądała jej się z grymasem na zapadniętej twarzy i poruszała zgnitymi kikutami nóg, bujając się w przód i w tył.

Powietrze, które tam wpadło, zaniósło im mój zapach, pomyślała i to ich obudziło...

Drugi trup też się ocknął. Jego głowa kiwała się w górę i w dół jak gdyby węszył tym, co pozostało z nosa. Zahara zaczęła się wycofywać. Obiekt uniósł obdartą ze skóry rękę, mocując się ze sznurami i przewodami na których był podwieszony do sufitu. Wpatrzona w learkę obydwie ciała zaczęły nerwowo, kołyszący się taniec. Objęły się jedno o drugie i rzuciły do przodu z wyciągniętymi rękami. Raz za razem, coraz wyżej i wyżej. Niektóre z przewodów były już pozrywane ale jedna szczególna rurka, prowadząca wprost do ich klatek piersiowych, była cały czas podłączona. Szary płyn sączący się wewnątrz niej przypominał Zaharze substancję, którą usiłowała wyciągnąć z brzucha Kale'a Longa. Prześlizgiwała się wzrokiem po rurce i zobaczyła że jest połączona z kompletem czarnych zbiorników.

Oni to zbierali, pomyślała Zahara. O to w tym wszystkim chodzi, te ciała wytwarzają ciecz i...

Za jej plecami zaszurały kroki.

Odwróciła się i spojrzała na ścieżkę pomiędzy martwymi stacjami badawczymi ale nic nie zobaczyła. Jej wzrok padał na połamany stelaż z fiolkami i strzykawkami na podłodze, tylko sześć czy siedem metrów od niej na tyle blisko, że zdołałaby pewnie sięgnąć, zanim...

Zanim to co tu się zjawi, dorwie cię w swoje łapy? Naprawdę tak sądzisz, Zaharo? Przy tej szybkości z jaką stworzenia poruszają się, kiedy są głodne?

Pomiędzy dwoma punktami roboczymi pojawił się jakiś kształt, czyjaś stopa zachrząściła o szkło na podłodze. Kształt mignął Zaharze przed oczami i znowu zniknął. Spojrzała jeszcze raz na strzykawki – jej jedyną broń. Mięśnie nóg miała tak naprężone, z wydawało jej się jakby miały pęknąć. Napięcie wędrowało po jej ciele, już dotarło do kręgosłupa.

Łup!

Owróciła się gwałtownie z okrzykiem przerażenia. Jeden z obiektów badawczych zdołał walnąć całym ciałem o szybę, pozostawiając czerwoną smugę, rozsmar-

rowany odcisk twarzy i rąk. Patrzyła jak odchyła się do tyłu w swojej uprzęży z aparatury monitorującej; teraz drugi z nich rzucił się naprzód, wyrznął twarzą i dłońmi o szybę i odbił się z powrotem.

Zabieraj strzykawki i uciekaj ale już! – nakazała sobie.

Skoczyła pokonując dystans trzema wielkimi susami. Chwyciła igły obiema rękami i zaczęła się podnosić.

Ale wtedy poczuła jak coś się porusza za jej plecami.

Odurzająca woń zgnilizny dopłynęła zza jej ramienia jak wiatr z grobu.

Odwróciła się i wtedy ją złapał.

Zahara spojrzała mu w twarz.

Choroba nie wyniszczyła naukowca tak bardzo jak ciała w hermetycznej komorze. Zahara mogła jeszcze rozpoznać jak wyglądał przed zakażeniem - srebrzystoszare włosy, orli nos, głębokie, dystyngowane zmarszczki na twarzy. Człowiek nauki. Miał na sobie zakrwawiony biały fartuch laboratoryjny, którego jeden rękaw był oberwany przy nadgarstku. Otworzył usta z cichym mlaśnięciem i rzucił się na nią.

Wbiła mu strzykawkę w oko a potem jeszcze jedną w bok głowy i nacisnęła jednocześnie oba tłoki.

Stworzenie zeszywniało, otworzyło usta i krzyknęło. Nogi się pod nim ugięły i ciało runęło.

Leżało teraz, wijąc się na podłodze. Zahara ruszyła w kierunku wyjścia. Była już prawie w drzwiach kiedy krzyk osłabł i usłyszała za sobą jego głos, chrypliwe gulgocie:

- Frrrng unn uff...

Upiór próbował mówić.

Obejrzała się, wściekła o to sama na siebie. Stworzenie w białym fartuchu czołgało się na oślep w jej kierunku. Obie igły wciąż sterczały mu z głowy. W jakiś sposób zastrzyki przywróciły kruchą cząstkę jego dawnego człowieczeństwa, wystarczającą, żeby nawiązać kontakt wzrokowy.

Jego usta poruszały się spazmatycznie, produkując kolejne zniekształcone dźwięki, których Zahara nie umiała przetłumaczyć – żałosne próby mowy. Podniósł błagalnie jedną rękę. Chciał coś zrobić, przekazać jej...

- Co tu się stało? – zapytała. – Co wy tu robiliście?

Naukowiec wydawał z siebie cały czas te same śluzowate dźwięki. Jego twarz krzywiła się kurczowo. Wyciągnął rękę w stronę konsoli za plecami Zahary.

- Thrggh uff usss...

- Co? – spytała.

Znowu wydał z siebie ten odgłos, zamachał żarliwie rękami i upadł. Ryczał i tłukł pięściami o podłogę. Potem zaczął poruszać palcami. Zrozumiała, że naśladuje czynność pisania.

Powoli z wielkim wysiłkiem uniósł rękę i wyciągnął jedną ze strzykawek z oczodołu. Przycisnął igłę do durastali i zaczął rysować nią tam i z powrotem, próbując wyryć jakiś prymitywny ideogram. Wydawał wysoki, rozpaczliwy pisk, wciskając czubek igły coraz mocniej w zbrojoną powłokę.

Igła się złamała a naukowiec usiadł – nie wydawał się już taki słaby ani taki

ludzki.

Znowu się do niej szczyrzył.

Zahara zrozumiała, że przeciwiała – obojętne jaki miały na niego wpływ - zaczęły robić swoje.

Spojrzała na rysunki, które wydrapał na podłodze – postrzępione linie przypominające nieregularną falę mózgową. Niewiele z nich wynikało ale czy mogła spodziewać się czegoś innego?

Wciąż jeszcze nad tym rozmyślała, kiedy istota w białym fartuchu skoczyła i przygwoździła ją do podłogi.

Krzyknęła, kiedy stworzenie zacisnęło obie dłonie na jej szyi. Czuła jak zimne palce, ugniatają, szczypią i dławią jej krzyk; ohydne usta zbliżyły się do gardła. Próbowała je odepchnąć ale to było jak siłowanie się z żelaznymi kajdanami. Im mocniej się opierała, tym bardziej nieustępliwy stawał się ucisk. Zaczynała tracić przytomność. Co chirurg z Rhinnal mówił jej o niedoborze tlenu? Czas to mięsień. Czas to mózg. Czuła już ciężką chmurę mroku, która przesłaniała jej wzrok, tłumiała słuch, spychając ją w obojętną, znieczuloną nicość.

Wszystko nagle ustało; durastał metalicznie zgrzytnęła o kość, Zahara poczuła zimny dotyk cuchnącego płynu. Ucisk na jej gardło nagle osłabł, martwe ręce opadły luźno na boki.

Zahara podniosła wzrok – obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Głowa stworzenia była wykręcona na bok a w szyi tkwiła chirurgiczna piła do kości, zatopiona do połowy w szarym mięsie.

Co...?

Za białym fartuchem unosiła się płaska, metalowa twarz, której widok nawet teraz wydawał się jej nierealny

- Odpad... – szepnęła ledwie dosłyszalnie. – Wróciłeś...?

2-1B tylko się jej przyglądał.

- Słucham?

- Ocaliłeś mnie.

- No cóż, tak, naturalnie – odparł android chirurgiczny, nieco skonsternowany. Nagle jakby sobie przypomniał, że zaczął odpiłowywać głowę stworzeniu w białym fartuchu i odrzucił zarówno piłę jak i ciało na podłogę. – Ta istota próbowała wyrządzić pani krzywdę. A zgodnie z oprogramowaniem otrzymanym na akademii medycznej na Rhinnal moim podstawowym zadaniem jest...

- Ochrona życia i promocja zdrowia wszędzie tam, gdzie jest to możliwe - dookończyła za niego Zahara. – Wiem.

Android chirurgiczny wciąż patrzył na nią wyczekująco jakby czekał na rozkazy. Zahara zorientowała się już że to nie jest jej 2-1B nie jej Odpad... ale i tak czuła wdzięczność niewspółmierną do tego, co podpowiadał rozum. Oczywiście na statku tej wielkości musiała się znaleźć jednostka tego typu, a to laboratorium było dla niej idealnym miejscem. Ale i tak łzy w jej oczach nie wynikały tylko z wdzięczności i ulgi;

plakała, bo przypominał jej utraconego przyjaciela i przez chwilę poczuła się tak jakby go odzyskała.

- Co jeszcze mogę dla pani zrobić? – spytał android.

- Czy mógłbyś... – Podniosła się i rozejrzała ponownie po laboratorium, jakby świeżym okiem. – Czy mógłbyś mi powiedzieć coś na temat badań, które tu prowadzono?

- Obawiam się że bardzo niewiele. W ściśle naukowym sensie wiem tyle, że moi programiści pracowali nad łatwym w transporcie środkiem chemicznym spowalniającym normalny proces rozkładu żywej tkanki. W założeniu wirus miałby wnikać w receptory nerwowe i pobudzać mięśnie nawet po wystąpieniu śmierci klinicznej.

Zahara pomyślała o krzyczących do siebie trupach, które łączyły się w zorganizowane armie.

- Czy to miało jakieś... militarne zastosowanie?

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć. To było ściśle tajne a ja jestem jednostką o przeznaczeniu czysto medycznym i naukowym, bezstronną i z pewnością niezbyt kompetentną, jeśli chodzi o utajnione operacje wojskowe.

- W takim razie czy wiesz, gdzie mogłabym znaleźć działającą stację roboczą?

- Jak najbardziej. – Android zawiesił głos i usłyszała jak jego podzespoły stukają i warczą pracowicie pod osłoną korpusu. Znajomy dźwięk znowu przyniósł bolesne wspomnienie Odpada. – Moje czujniki wskazują, że nienaruszone konsole powinny być dostępne w sterowni hangaru. Jestem jednak zmuszony panią poinformować, że biorąc pod uwagę nieprzyjazne środowisko, taka osłonięta przestrzeń może okazać się dla pani szczególnie niebezpieczna.

- Przyzwyczyłam się.

- Doskonale. Czy życzy pani sobie, żebym przedstawił plan najkrótszej drogi?

- Najlepiej takiej, żebym nie musiała przechodzić przez sam hangar.

- Już się robi.

- Odpad?

Przyjrzał się jej ponownie.

- Obawiam się, że...

- Dziękuję. – Miała ochotę chwycić jego chłodną, metalową dłoń i ucałować.



## ROZDZIAŁ 37

# DŹWIG

Trach!

Ten strzał, który uderzył w kadłub imperialnego okrętu desantowego, nie pochodził z broni ręcznej. Sartoris zrozumiał to, kiedy okręt poderwał się nagle do góry i szarpnął w bok; uwolniło go to z rąk żołnierzy, którzy wyłonili się z kabiny i cisnęło przez ładownię prosto na Gorristera.

Działka laserowe X-winga, pomyślał gorączkowo. Te stwory widziały jak ich użyłem...

Chyba jednak Gorrister miał rację, doszedł do wniosku. Potrafią się uczyć.

Komandor wpatrywał się w niego z wyrazem całkowitej dezorientacji jak człowiek wyrwany z wyjątkowo głębokiego snu.

-Co... co się dzieje? – Cała uwaga Gorristera była zwrócona wciąż na Sartorisa. Po chwili otworzył oczy jeszcze szerzej i powiódł wzrokiem wokół ładowni po swoich zagłodzonych ludziach i pustych, zwiniętych mundurach tych, których zabił i zjadł. Przez moment Sartorisowi zdawało się, że dostrzega na twarzy komandora objawioną nagle świadomość bezgranicznej deprawacji w jakiej pogrążał się w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni.

Sartoris uderzył pięścią w przycisk nad swoją głową, dezaktywując mechanizm blokujący właz ewakuacyjny. Chwycił Gorristera za kołnierz i poderwał do góry, wykorzystując jego głowę jako taran. Przy włączonej blokadzie to by się nie udało – nie bez powodu, transportowiec dawał radę odierać ataki umarłych przez dziesięć tygodni – ale teraz gdy mechanizm nie był uzbrojony, właz i czaszka Gorristera ustąpiły pod wpływem uderzenia i stalowa kłapa gwałtownie się odchyliła. Sartoris wytaszczył go na zewnątrz i cisnął wątle ciało na bok, po czym schylił się i złapał pod ramiona pierwszego z brzegu żołnierza. Niedożywione ciało było tak lekkie, że Sartoris zdołał

je wypchnąć przez właz niemal jedną ręką.

Na zewnątrz tłum umarłych otoczył okręt desantowy ze wszystkich stron - morze wygłodniałych twarzy: więźniów, strażników i pierwotnej załogi promu. Tak jak Sartoris podejrzewał jeden z nich wdrapał się już do stojącego obok promu X-winga i gmerał chaotycznie przy tablicy przyrządów. Działka nie były wycelowane w prom – czyżby stwór w kabinie przypadkowo oddał strzał, który odbił się od ściany hangaru i trafił w ich kadłub?

I wtedy Sartoris zobaczył drugiego X-winga w odległości czterdziestu metrów, wycelowanego prosto w niego. W kabinie też był jeden z trupów.

Czy oni wszyscy zmierają wejść do statków?

Sartoris nachylił się, chwycił następnego żołnierza z transportowca i rzucił go w tłum. Stworzenia natychmiast go dopadły i rozerwały żywcem na kawałki. Mimo że starał się nie patrzeć, Sartoris dostrzegł usta mężczyzny rozciągnięte w niemym krzyku, gdy jeden z umarłych wyrwał mu gładko ramię ze stawu. Stworzenie obok niego odgryzło żołnierzowi rękę i uniosło ją w górę, dzierząc jak maczugę.

Sartoris przez właz ewakuacyjny wsunął się z powrotem do środka promu i złapał kolejnego mężczyznę, który nacierał na niego z jakąś prymitywną bronią, pałką czy nożem. Kapitan przerzucił go przez właz jednym automatycznym, napędzanym adrenaliną ruchem. Za jego plecami był jeszcze jeden – Sartoris chwycił go za ramię i za wychudłe łydki i uniosł ponad kadłub promu. Wygłodzony żołnierz wpatrywał się w niego z żalosną bezradnością.

- Proszę - wykrztusił. - Proszę, nie.

Coś w jego głosie spowodowało, że Sartoris zawahał się i przyjrzał mu się lepiej. Zobaczył, że pod warstwą brudu, głodu i zmęczenia kryje się twarz chłopca, wzrostka rzuconego na służbę Imperium, której pewnym celem była śmierć.

- Nie musi pan tego robić.

Zerkając na zataczające się, bezduszne istoty, Sartoris widział, jak pożerają ciała które im rzucił jak wymachują oderwanymi kończynami i walczą o ostatnie kawałki poszarpanych wnętrzności. Spojrzał znów na młodego żołnierza na jego zapadniętą twarz i przerażone oczy. Chłopak też na niego patrzył. Wyglądał, jakby miał zaraz zemleć ze strachu. Sartoris słyszał jego ciężki oddech. Na moment przypomniały mu się ostatek sekundy życia Vona Longa – zobaczył jego zwróconą ku górze twarz i wpatrzone w niego błagalnie oczy, szukające śladu litości.

- Jak się nazywasz? – spytał Sartoris.

- C-co?

- Nazwisko. Dostałeś chyba jakieś po rodzicach, co?

Przez chwilę chłopak wyglądał, jakby tego nie pamiętał. W końcu wykrztusił:

- White.

- Czy ten statek jeszcze lata, White?

- P-prom? – Głowa żołnierza zakołysała się w górę i w dół. – No tak, ale ten promień ściągający...

- Ja się tym zajmę. Może jeszcze tu wrócę a jak wrócę, ty i twoi koledzy... - Sartoris rzucił spojrzenie w kierunku w którym posłał Gorristera. - ...rozumiemy się, White?

- Tajest.

- Spróbuję się przedrzeć i radziłbym ci, żebyś przez ten czas zaryglował ten statek najlepiej jak potrafisz.

Nie czekając na potwierdzenie, że chłopak zrozumiał, Sartoris puścił jego kołnierz, pozwalając mu osunąć się z powrotem do wnętrza promu i rozejrzał się po hangarze. Jego umysł odruchowo zaczął obliczać trajektorię pomiędzy przynętami z ciał, które właśnie wyrzucił. To było proste matematyczne równanie a on zawsze był dobry z matematyki.

Odwrócił się gwałtownie, schylił głowę, pobiegł w przeciwnym kierunku w stronę dziobu promu. Chmara istot rzuciła się od razu do niego, wyciągając chciwie ręce. Sartoris wpadł na jedną z nich, poślizgnął się w kałuży krwi i poczuł nagły ból w lewym przedramieniu ale nie zatrzymał się żeby je obejrzeć.

Pędził co sił w nogach w głąb hangaru. Zełomowane statki za jego plecami były zapewne jego jedyną szansą ucieczki z niszczyciela ale na nic by się zdały, gdyby nie udało mu się wyłączyć promienia ściągającego a to oznaczało, że musi najpierw dostać się na mostek, potem zaś...

Na końcu hangaru były drzwi. Kiedy przez nie przebiegł, usłyszał elektroniczne piknięcie – pewnie zwykły czujnik światła rejestrujący ruch w przejściu.

Obejrzał się ale nic nie zobaczył. Jeśli któryś z tych stworów wlaź tu za nim, to musiał się gdzieś ukryć, co nie miałoby najmniejszego sensu. W którymś momencie pomyślał, strach staje się zbędny, zanika i odpada jak niepotrzebny, obumarły narząd. Ale jego rasa zawsze znajdzie zastosowanie dla strachu, nawet w najbardziej krańcowej sytuacji.

Sartoris zerknął na swoje puste ręce. Nigdy w życiu nie pragnął mieć blastera tak bardzo, jak teraz. Perspektywa wędrówki przez niszczyciel bez broni nie była wesoła. Ale gdyby został tutaj, poniósłby śmierć.

I tak umrze. Pytanie tylko, kiedy.

Idąc tyłem, tak żeby mieć wszystko na oku, wpadł na jakiś twardy przedmiot, który odbił się od niego i zakołysał się na poduszce powietrznej.

Sartoris odwrócił się a na jego twarzy pojawił się mimowolny uśmiech.

To był poduszkowy dźwig, ten, który znaleźli wcześniej i zostawili tu bo nie mógł unieść ich wszystkich.

Może szczęście wreszcie się do mnie uśmiechnęło, pomyślał.

Wziął głęboki oddech, wyciągnął ręce, żeby wspiąć się na pokład dźwigu i wtedy zobaczył krwawą szramę tuż pod swoim lewym łokciem.

Od razu zrozumiał, że został ugryziony.

## ROZDZIAŁ 38

# MOSTEK

- Nie wiem jak ty, stary ale ja liczyłem na coś więcej – oznajmił Han Solo, gdy postawił wreszcie nogę na mostku gwiazdnego niszczyciela. Han nie urodził się wczoraj i widział już wiele dziwnych rzeczy ale wiedział, że jeśli przeżyje tę przygodę to jeszcze przez długi czas ludzie będą mu stawiać drinki.

Już kładka stanowiła ciężką próbę. Przejście nad otwartą przestrzenią bez czegokolwiek za co można by się złapać, było wystarczająco trudne. Zawroty głowy powodowały mdłości a jego błędnik wirował jak zepsuty żyroskop.

Wolał nie patrzeć w dół ale kiedy stwory na dnie przepaści zaczęły strzelać nie miał wielkiego wyboru.

Strzelały gdzie popadnie, jakby nie miały zbyt dużego doświadczenia z blasterami ale to była marna pociecha bo Han zobaczył ile ich jest. Strzelanie w ten tłum byłoby stratą amunicji. Mogły być ich tysiące – z tej odległości nie sposób było ocenić. Han miał wrażenie, że cały czas budzą się nowe, jakby obecność świeżego mięsa przywracała im świadomość. I chociaż celność ich strzałów była kiepska to jednak wydawała się poprawiać. Parę razy wiązki energii trafiły na tyle blisko, że poczuł smak ozonu.

A gdyby stracił równowagę... gdyby się poślizgnął i wpadł w to morze wygłodniałych ciał...

Z pewnym wysiłkiem powrócił myślami do chwili obecnej. Byli na mostku, mając przed sobą szeregi nisko podwieszonych modułów komputerowych i zestawów nawigacyjnych, które służyły do sterowania całym tym kilometrowym cudem międzygwiazdnej destrukcji.

Żadne z urządzeń nie nadawało się do użytku.

Ekran były podziurawione na wylot, zespoły obwodów elektrycznych i

rzędy zaawansowanych czujników spalone, roztrzaskane albo wyrwane ze złączy. Większość z nich wyglądała jak zmiażdżona przez niewyobrażalnie ciężki but. Każdy krok rozbrzmiewał stłumionym chrzęstem kruszonego szkła.

- Chyba w końcu trafiliśmy na kogoś, kto nienawidzi Imperium bardziej niż my, co? – zagadnął Han, kręcąc głową. – Sprawdziłeś już komputer nawigacyjny?

Chewie odwarknął coś, nie odwracając głowy.

- Dobra, tylko pytam. To nic złego mieć nadzieję, prawda? – westchnął strzeżąc szczątki komputera z siedzenia przy jednej z mniej zdewastowanych konsoli i klapnął na fotel. – Tylko promień ściągający ciągle działa. Co my tu mamy za kodowanie? – Sięgnął po działającą klawiaturę i postukał w klawisze. – Goście, którzy to zaprojektowali nie byli specjalnie bystrzy. To nie powinno być zbyt trudne.

Wewnątrz konsoli coś zaćwierkało i krystaliczne wzory na popękany ekranie zaczęły się klarować i wyostrzać, łącząc się w linijki kodu nawigacyjnego.

- Hej, Chewie, chyba coś mam...

Reagując na jego polecenie, cały niszczyciel przekręcił się nieznacznie wokół swojej osi. Han, który nigdy nie latał czymś nawet w przybliżeniu tak ogromnym, poczuł przypływ czarnego humoru. Co by powiedziało naczelne dowództwo Imperium, gdyby zobaczyli nędznego przemytnika za którego głowę wyznaczono nagrodę za sterami gwiazdowego niszczyciela?

- A nie mówiłem? – Wstukał kolejną serię poleceń nie podnosząc wzroku. – Hej, zdążyłeś już zajrzeć do tych układów hipernapędu?

Niszczyciel gwałtownie się zatrząsł i Han wyprostował się błyskawicznie, próbując się zorientować co zrobił i jak to cofnąć. Statek był teraz lekko przechylony a jedna z konsoli zaczęła wydawać z siebie ciche, miarowe wycie. Linijki tekstu przelewały się przez porzbijany monitor.

- Chewie?

Wookie zniknął. Han wstał i rozejrzał się po pustym mostku. Nasłuchiwał, trzymając znaleziony blaster na wysokości biodra. Przestrzeń wokół wydała mu się nagle ogromna i kompletnie cicha, nie licząc słabego szmeru pojawiających się na ekranie danych. Przyjrzał im się jeszcze raz z rosnącym zniecierpliwieniem. Kodowanie, które utrzymywało promień ściągający na miejscu, było wciąż aktywne. Czekano na podanie hasła.

Nagle z jednego z przyległych pomieszczeń usłyszał cichy pomruk.

- Chewbacco?

Trzymając palec na spuście, przemierzył mostek w kierunku z którego dochodził dźwięk i znalazł się przed bocznym pokoikiem, którego wcześniej nie zauważył. Od podłogi po sufit wypełniały go systemy awaryjne, całe panele pulsujących świateł. Niszczyciel znowu się przechylił – nie bardzo ale wystarczająco, żeby Han poczuł wyraźnie zachwianie równowagi. Zastanawiał się czy niechcący nie spowodował destabilizacji systemów przetwarzania. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowali było wywrócenie się statku do góry nogami pośrodku tego pustkowia.

Zajrzał do środka.

- Chewie? Co tam się dzieje?

Chewbacca siedział skulony w półmroku, wpatrzony w coś przed sobą. Kiedy wstał Han zobaczył, że trzyma na rękach małe, włochate ciało – innego Wookiego, jak zauważył Han, bardzo młodego. Mały miał na sobie podarty więzienny uniform.

- Skąd on się tu wziął?

Młody Wookiee wydobył z siebie słaby, płaczący skowyt. Chewbacca popatrzył na niego a potem znów na Hana.

- Świetnie. – Han westchnął. – Kogoś jeszcze mamy uratować jak już tu jesteśmy?

Chewie wydał ostrzegawcze chrząknięcie.

- Dobra, dobra, bierz go – mruknął Han. – Raz się wychylisz i zaraz wszyscy wyciągają ręce o pomoc.

Chewbacca wyniósł Wookiego i Han mógł się lepiej przyjrzeć twarzy malca. Jego oczy były zaczerwienione i matowe a gardło tak spuchnięte, że miał chyba trudności z oddychaniem. Język zwisał mu bezwładnie z ust.

- Gdzie jest twoja rodzina? – spytał Han.

Wookiee znowu zawył i wyciągnął rękę. Han zobaczył na co wskazuje – po przeciwległej stronie mostka był jeszcze jeden właz.

- Tam są? Co tam robią, chowają się ?

Chewbacca przeniósł małego w tamto miejsce i uwolnił jedną rękę, żeby otworzyć właz. W tym momencie niszczyciel znów się lekko przechylił. Han zauważył strużkę krwi, wyciekającą spod drzwi i spływającą w ich stronę po durastalowej podłodze.

- Chwila – odezwał się Han i wskazał głową na strużkę, która stała się już solidnym strumieniem. – A to co takiego?

Chewbacca chrząknął pytająco i spojrzał na młodego Wookiego, który z nagłym przyplływem energii sam wcisnął guzik, otwierając właz.

W środku było trzech dorosłych Wookiech w więziennych uniformach. Siedzieli razem w kącie, zgarbieni, otoczeni morzem krwi. Han zauważył, że futro na twarzach mają pokryte kawałkami mięsa. Parskali, mlaskali i oddychali ciężko, wgrzyzając się w stos ludzkich szczątków leżących przed nimi. Ciała, które pożerali, miały na sobie mundury imperialnych strażników.

Han zaczerpnął powietrza.

- Co do...?

Wszyscy naraz podnieśli wzrok.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie – niewyraźna bryła zakrwawionych kudłów i masywnych mięśni rzuciła się w jego stronę szybciej, niż zdołał to uchwycić wzrokiem. Han odruchowo otworzył ogień do pierwszego napastnika – strzał z najbliższej odległości rozerwał pierś Wookiego i cisnął nim o podłogę, gdzie krztusił się, usiłując dojść do siebie. Kolejny przeokoziółkował w powietrzu i wylądował na boku. Próbował się podnieść ale stratował go trzeci z Wookiech. Han odrzucił go do tyłu strzałem w twarz. Potem jeszcze dobił tego stratowanego, aż została z niego tylko poszarpana kupka futra.

Stojący obok Chewbacca zamarł, jakby ta sytuacja go nie dotyczyła. Han zrobił krok w tył i poczuł, jak ostre pazury wczepiają się w jego szyję. Obejrzał się i zo-



baczył młodego Wookiego, groźnie kłapiącego zębami. Próbował go zrzucić ale mały przywarł do niego rękami i nogami a jego rozgrzane ciało wilo się szaleńczo jak olbrzymi szczur.

Nagle ogłuszającą eksplozja urwała młodemu głowę. Gdy Wookie osunął się na podłogę, Han zobaczył, że Chewbacca opuszcza swój blaster.

- Dzięki – powiedział Han. – Miło, że się przyłączyłeś.

Chewie się nie odezwał. Patrzył wciąż na leżące na podłodze ciało.

- Zmywajmy się stąd, co? Sprawdź hipernapęd.

W końcu, po dłuższej chwili, niechętnie i z trudem Chewie się odwrócił.

## ROZDZIAŁ 39

# STOP

Na początku szyb wentylacyjny był wystarczająco szeroki a teraz zdawał się coraz bardziej zwężać w miarę jak Trig się przez niego przeciskał. Co parę sekund uderzał w niego gęsty podmuch wilgotnego powietrza, który rozwiewał mu ubranie i włosy a w bezkresnej głębi szybu słychać było szcęk metalu przypominający łomotanie urwanego zaworu. Nie wiedział, dokąd ten szyb go zaprowadzi – równie dobrze mógł umrzeć tutaj, zagubiony i odwodniony, jaszczke jeden okruch w obojętnej paszczy wszechświata.

I wtedy zobaczył przed sobą koniec szybu. Słabe światło gdzieś z dołu odbijało bladożółty prostokąt na jego górnej ściance – dalej już nie zajdzie.

Podczołgał się bliżej aż do samego brzegu, wystawił głowę i spojrzał w dół.

Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Szyb kończył się nad tą samą przepaścią, której niedawno tak rozpaczliwie starał się uniknąć, nad zionącą otchłanią na której dnie znajdowała się turbina głównego silnika niszczyciela. Z tego miejsca wydawała się jeszcze większa. Tuż pod nim, niecały metr niżej, biegła kładka po której przeszli Han i Chewbacca. Była na tyle blisko, że chyba mógłby się na nią zsunąć gdyby nie miał innego wyjścia. Gdyby

złapał za krawędź szybu i spuścił nogi tak, żeby nie stracić równowagi...

Za jego plecami, wewnątrz szybu coś się poruszyło.

Trig się obejrzał... i zamarł.

Miał ochotę wrzasnąć.

Istota w hełmie szturmowca podążała za nim w górę szybu.

Posuwała się po omacku, obserwując go uważnie przez bezduszne soczewki hełmu.

- Nie – szepnął Trig. – Nie.

Istota wciąż się zbliżała a przyduży hełm kiwał się na jej głowie. Trig wyrzał jeszcze raz poza krawędź szybu. Dygotał bezsilnie a serce biło mu tak szybko i mocno, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową.

Musisz tam zejść, odezwał się głos w jego głowie. Musisz zejść na kładkę. To jedyne wyjście. Inaczej to coś, co jest za tobą...

Nie chcę! Nie mogę! – jęknął w duchu.

Spojrzał znowu na pełną ku niemu stworzenie. Pochyliło głowę i przyspieszyło.

I wtedy hełm zsunął mu się z głowy.

Trig zamrugał, sparaliżowany szokiem i przerażeniem do tego stopnia, że zapomniał na moment gdzie jest i co robi. Mógł jedynie wpatrywać się w twarz, która wyłoniła się spod hełmu – widział zdeformowany uśmiech swojego brata, jedną połowę twarzy miał zmiażdżoną nie do poznania, pusty oczodół i strzaskaną kość.

A potem usłyszał własne słowa, wypowiedane z trudem, ochryplym szeptem:

- Kale?

Stworzenie popatrzyło na niego, ale posuwało się wciąż naprzód.

- Kale... To ja, Trig.

Istota nie dawała po sobie poznać czy go słyszy. Ślina ściekała po jej zakrwawionej twarzy. Trig słyszał jej oddech, przypominający świst powietrza wewnątrz szybu. Tego było za wiele. To nie może być prawda... w przeciwnym razie to by znaczyło, że oszalał a w takim wypadku...

Stworzenie skoczyło do przodu i przycisnęło go do szybu przy samej krawędzi. Trig otworzył usta, żeby coś powiedzieć i wybuchnął płaczem. Już się nie wstydził; szlochał głośno a łzy i smarki leciały ciurkiem. Niby czemu nie? Co to mogło teraz zmienić?

Usta Kale'a otwierały się i zamykały. Trig czuł zapach śmierci – śmierci, którą zadano jego bratu i którą jego brat miał teraz zadać jemu. Kale nie zamierzał mu odpowiedzieć i nie zamierzał się zatrzymać. Trig kochał swojego starszego brata bardziej niż kogokolwiek w galaktyce ale teraz nie miało to żadnego znaczenia.

- Kale?

Kale warknął i zbliżył twarz do szyi Triga. Już dosięgał zębami jego gardła, zionąc gorącym oddechem, który cuchnął jak upiorna, trująca roślina. Ręce Kale'a wydawały się równocześnie gorące i zimne. Zaciskały się kurczowo a ich skóra była wilgotna i lepka. Leżał na Trigu, przygniatając go całym ciężarem.

Trig odepchnął brata z okrzykiem bólu. Nowe uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doznał, znalazło drogę do żołądka i wylądowało w sercu. Zapanowała w nim

ciemność a wraz z nią ponura świadomość tego, co za chwilę miało nastąpić. To było jak historia, którą już kiedyś słyszał; jej zakończenie zostało napisane na długo, zanim się wydarzyła.

Opiekuj się swoim bratem.

- Kale, przepraszam – szepnął.

Gdy Kale napał na niego ponownie, coraz bardziej wygłodniały, Trig wsunął kolano pod tułów swojego brata i wyprostował nogę. Przerzucił Kale'a na bok, obrócił się, zaczepił nadgarstkami i przesunął ciało brata na skraj szybu.

A potem popchnął mocno.

## ROZDZIAŁ 40

# PRZEBUDZENIE

Kale leciał, nie wydając dźwięku.

Trig patrzył jak spada, coraz mniejszy jak kropla w bezmiarze przestrzeni. Gdy półmrok pochłaniał jego sylwetkę, częściowo oświetloną przez słaby blask otaczający turbinę silnika, Trig dostrzegł na dole coś nowego.

Zwrócone ku górze twarze.

Tysiące twarzy.

Były stłoczone na dnie po obu stronach turbiny, jakby zwabione przez jej niesłyszalny teraz pomruk. Nawet w szoku, który spowlaniał jego reakcje na to, co właśnie się wydarzyło, Trig wiedział, na co patrzy.

To była pierwotna załoga gwiazdowego niszczyciela.

Krzyczeli jednym głosem.

W tej samej sekundzie ciało Kale'a uderzyło w turbinę, odbiło się od ściany i znikło w gąszczu ciał. Odpowiedzią był jeszcze głośniejszy krzyk, przypominający ryk pojedynczego organizmu. Jakby ten tłum zyskał jakąś zwierzęcą, masową świadomość, ledwo wykraczającą poza elementarne, fizyczne potrzeby. Oddechy unosiły się z dołu do góry w niewidzialnych przyływach ciepłej wilgoci a głód tych stworzeń

krążył w powietrzu jak fale termiczne przed burzą.

Widzą mnie, pomyślał Trig.

Wyciągali ku niemu ręce. Ich zawrośnięcie stawało się coraz bardziej agresywne, przechodziło w coraz wyższą tonację i nabierało mocy, działając jak fala. Przesuwając się i kołysząc, próbowali wspinać się na ścianę turbiny, żeby się do niego zbliżyć. Niektórzy trzymali coś w rękach, ale Trig nie potrafił rozpoznać co to za przedmioty.

Zaczął cofać się w głąb szybu, żeby we względnym spokoju ocenić swoją sytuację i wtedy blasterzy rozpoczęły ostrzał.

Strzelali do niego, celując ze śmiertelną precyzją. Zanim zdążył wczłogać się do środka, Trig poczuł szarpnięcie. Szyb wentylacyjny wysunął się z obudowy i wyrzucił go na zewnątrz. Chłopiec nie miał się czego złapać; spadał w dół, powtarzając trajektorię lotu swojego starszego brata.

Spadł na kładkę, uderzając w nią tak mocno, że zgięło go w pół a nogi zareagowały gwałtownym bólem. Uchwycił się brzegu kładki, wczepiając palce w zimną kratownicę i przywierając do niej całym ciałem. Słyszał i czuł blasterowe błyskawice, które rezonowały w przestrzeni wokół niego. Jedna z nich musi go w końcu trafić i mógł tylko mieć nadzieję, że blaster zabije go zanim spadnie w tę masę wyciągniętych rąk i zgrzytających szczęk.

Wolał być martwy gdy to się stanie.

Kładka trzęsła się i dzwoniła od blasterowych strzałów. Odłamki durastali świsnęły koło policzków Triga – maleńkie, zimne, rozpędzone punkcicki. Nie myślał już jasno i może dlatego nie zareagował od razu gdy zobaczył, że z końca kładki wpatrują się w niego Han i Chewie.

Pewnie właśnie wrócili z mostka, podpowiedział zamglony umysł Triga. Chyba im też nie poszło najlepiej.

Han na pewno go widział – machał gorączkowo, pokazując, żeby posuwał się do przodu – a może, żeby nie wstawał, Trig nie był pewien. Swoją drogą jaki oni mieli plan? Han i Chewie trzymali blasterzy ale dwa karabiny nie miały praktycznie żadnego znaczenia wobec nawałnicy ognia z dołu – równie dobrze mogliby być nieuzbrojeni jak Trig. Najwyraźniej żaden z nich nie zamierzał pchać się z powrotem na kładkę w sam środek tego wszystkiego. Zresztą, Trig wcale im się nie dziwił.

Chłopiec zmrużył oczy. Han gestykulował coraz rozpaczliwiej i krzyczał na całe gardło. Pokazywał na górę i kiedy Trig zadarł głowę, zobaczył, że ostatni segment szybu wentylacyjnego zwisa nad nim, kiwając się w przód i w tył.

Ze środka wystawały ręce.

Trig przypomniał sobie stertę ciał na drugim końcu tunelu, która zaczęła budzić się do życia, kiedy się po niej wspinał.

Weszli za mną do szybu, pomyślał.

Patrzył z niemym, dławiącym przerażeniem, jak właściciel rąk wysuwa się na zewnątrz. Był to imperialny żołnierz, którego martwą twarz rozpałała niecierpliwość. Patrzył chciwie na Triga, kołysząc się w przód i w tył. Nagle stracił równowagę i wypadł, machając wściekle rękami; przeleciał obok kładki i zniknął w ciemności. Za nim wyślizgnęło się jeszcze trzech Imperialnych jak odrażające w pełni wykształcone po-

tomstwo monstrualnego owada.

Segment szybu znów się zakołysał. Trig zdał sobie sprawę, że ktokolwiek jest w środku, czeka aż szyb wychyli się do przodu, żeby wykorzystać resztkę jego impetu. Ciało wypadło z taką szybkością, że nie zdążył zobaczyć jego twarzy. Przykleił się do ściany i poczuł jak szponiaste palce drapią i prześlizgują się po nim.

Stworzenie zacisnęło dłoń wokół jego kostki.

I tym razem się utrzymało.

Trig spojrział w dół. Zobaczył wpatrzoną w niego, zwiotczałą, siną twarz, rozdziawione pijawkowate wargi z których kiedyś wyrwano kolczyki. Kiedy usta się otworzyły, mignął błysk stali wystającej z gardła – ostrze, które wepchnął tam Kale chyba tysiąc lat temu.

To był Aur Myss.

## R O Z D Z I A Ł 4 1

# CZARNE SKRZYDŁO

Zahara wypróbowała trzy klawiatury, zanim znalazła działającą. Drżącymi palcami podłączyła ją do pomocniczej stacji roboczej i wstrzymała oddech, czekając, aż zacznie działać.

2-1B nie chciał jej towarzyszyć w drodze do sterowni hangaru – postanowił zostać w biolaboratorium „na wypadek, gdyby był potrzebny”. Ale wskazówki androida były bezbłędne. Skierował ją przez bizantyjski labirynt korytarzy, który prowadził do windy towarowej. Dotarła nią do pomieszczenia pilotów a stamtąd do kolejnych drzwi za którymi znajdowała się sterownia hangaru.

Duża, odsłonięta kabina wznosiła się conajmniej trzydzieści metrów nad pokładem dokowania. Z tego punktu obserwacyjnego Zahara widziała wszystko jak na dłoni – po jednej stronie kilka przypadkowych statków, które wessał promień ściąga-

jący niszczyciela a po drugiej na wpeł zniszczony szyb dokujący, którym dostali się tutaj z barki.

Umarli też tam byli.

Były ich setki a może tysiące. Oblegali uszkodzone statki tak gęsto, że Zahara nie potrafiła nawet w przybliżeniu ocenić ich liczby. Kolejni napływali przez rozmaite włazy i drzwi – nieprzerwany strumień ciał, które wspinały się jedno po drugim na różne okręty. Co parę sekund wydawali zbiorowy okrzyk, tę falę dźwiękową, która zdawała się jeszcze przyciągać kolejne ciała.

Jak ona się tam dostanie? Jakim cudem mogłaby się przedostać do jednego z tych zdobytych statków bez...

Wszystko po kolei.

Ekran przed nią mrugał posłusznie, czekając na hasło. Palce lekarki zawisły na moment nad klawiaturą a potem wpisały słowa, które widziała nabazgrane na podłodze biolaboratorium:

„czarne skrzydło”

Przez dłuższą chwilę nie było żadnej reakcji a potem ekran zrobił się zupełnie czarny. Na górze pojawił się napis:

„Hasło przyjęte  
Wprowadź polecenie”

Zahara odetchnęła, czując, jak rozluźniają się zeszywniałe dotąd mięśnie, Wpisała polecenie:

„Uzyskaj dostęp do centralnego sterowania promieniem ściągającym”

Po ułamku sekundy pojawiła się odpowiedź:

„Centralne sterowanie promieniem ściągającym dostępne”

Wstukała:

„Wyłącz promień ściągający”

Nic się nie działo a potem komputer odpowiedział:

„Brak możliwości wykonania polecenia”

Zahara zmarszczyła brwi.

„Wyjaśnij brak możliwości wykonania polecenia”



Po chwili przeczytała:

„Promień ściąający jest już wyłączony”

Odsunęła się i popatrzyła na ekran a na jej czole pojawiła się delikatna zmarszczka. Czyżby Han i Chewie zdołali to załatwić z pokładu dowodzenia? Jeśli tak to powinni być teraz w drodze powrotnej, zakładając, że nadal zamierzają wydość się stąd na jednym z tych strąconych statków.

Spojrzała w dół na rozkołysaną masę ciał, która pokrywała podłogę hangaru. Oby Han i Wookie znaleźli po drodze więcej amunicji.

Nachyliła się nad klawiaturą i wpisała:

„Co to jest czarne skrzydło?”

System odpowiedział:

„Czarne Skrzydło:

Imperialny projekt broni biologicznej 171A. Algorytm rozpowszechniania galaktycznego wirusa

Kategoria: ściśle tajne

Status projektu: w toku”

Algorytm rozpowszechniania? Spojrzała znów na ciała w hangarze, teraz upchane tak ciasno, że w wielu miejscach nie było widać podłogi. Co parę sekund wydawały z siebie kolejną wersję tego dźwięcznego, rytmicznego wrzasku a kiedy nadstawiła ucha, usłyszała taki sam krzyk dochodzący z innej części niszczyciela. Sprawiał, że poruszały się z jeszcze większym zapałem.

Ale już nie kręciły się w kółko.

Trupy włożyły do różnych statków – X-wingów, transportowców i promów desantowych, do frachtowca w samym rogu hangaru. Inne oblegały na wpół spalony szyb dokujący, prowadzący na barkę więzienną. Zahara dostrzegła, że przenoszą coś na plecach.

Przyjrzała się uważniej.

Czarne, metalowe zbiorniki.

Popatrzyła na okręty w hangarze i pomyślała o algorytmie rozpowszechniania – skoordynowanej metodzie, za pomocą której Imperium mogłoby rozprowadzić wirus po całej galaktyce. Z roztargnieniem obserwowała, jak grupa istot ustawionych wzdłuż X-winga wspólnym wysiłkiem stara się go odwrócić i wycelować go w miejsce, gdzie stała.

Przypomniała sobie to, co Odpad powiedział na temat mechanizmu wyczuwania liczebności i tego, jak działa choroba.

Cząsteczki wirusa nic nie robią dopóki nie mogą tego zrobić wszystkie razem – kiedy organizm nosiciela nie jest już w stanie się bronić. Ale dlaczego?

I nagle zgadła. Wypowiedziała to na głos, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Odlatują.

X-wing na dole był już skierowany w jej stronę. Co ten drugi 2-1B mówił o odsłoniętej przestrzeni?

Oślepiająca kolumna ognia przecięła hangar, zmierzając prosto na nią.

## R O Z D Z I A Ł 4 2

# RZEKA

Dzieciak nie miał szans.

Han przewidywał jak to się rozegra; gdyby on i Chewie próbowali wejść na kładkę, żeby mu pomóc, oznaczałoby to jedynie, że zginą wszyscy trzej. Stwierdzenie było przygnębiające ale niepodważalne.

Chewie wydał przeciągły, żałosny skowyt.

- Wiem, wiem – mruknął Han, wściekły na siebie jeszcze bardziej, że musi powiedzieć to na głos. - Masz lepsze propozycje?

Dzieciak ześlizgiwał się z kładki, ciągnięty w dół przez stworzenie, które zwisało uczepione jego kostki. Mógł się jeszcze utrzymać przez jakieś pięć sekund na pewno nie dłużej. W akcie czystej desperacji Han podniósł blaster, wiedząc, że szanse ma znikome – mógł równie dobrze trafić Triga albo wogóle spudłować. Ale co mu innego pozostało?

Naprawdę masz zamiar przyglądać się temu beczynnie? – zadał sobie pytanie. Opuścić, poddać się bez walki?

Chewbacca patrzył na niego, czekając na decyzję. W końcu Han kiwnął głową i opuścił blaster.

- Dobra – mruknął. – Na mój sygnał wchodzimy. Spróbujemy go po prostu złapać...

Chewie wydał z siebie kolejny skowyt, tym razem przerażony i Han spojrzał tam, gdzie patrzył Wookie.

Było za późno.

Dzieciak puścił kładkę.

Dzieciak spadał.

Gdy jego palce się w końcu ześlizgnęły z kratownicy, jakaś część Triga poczuła jedynie ulgę: po tym wszystkim co się działo, mógł się po prostu poddać grawitacji i otchłani. Gdy tak spadał z Myssem wciąż uwieszonym na nodze, spojrzał w dół na zbliżające się rozwrzeszczane twarze i poczuł całym sobą, jak pochłania go ich gniew. Przypomniawszy sobie, że wolałby umrzeć zanim spadnie ale rozumiał, że tak się raczej nie stanie, chyba że...

Uderzył o coś prawym udem, potem ramieniem i potoczył się do tyłu odrzucony siłą bezwładu. Sekundę później, trafił czołem na chłodną, gładką, prefabrykowaną powierzchnię. Pozbierał się i poczuł, że już nie spada.

Nie spada tylko jedzie.

Zdał sobie sprawę, że wylądował na poduszkowcu – dźwigu użytkowym, który przecinał pustą przestrzeń powyżej turbiny głównego silnika, dwadzieścia metrów nad śmiertelną pułapką krzyczących twarzy.

Trig odwrócił głowę i zobaczył postać siedzącą za pulpitem sterowniczym. Nie wiedział kto to jest...

...ale zauważył, że ma na sobie mundur imperialnego strażnika więziennego.

Dźwig przechylił się zakreślając łuk ponad przepaścią a kiedy kierowca się obejrzał, Trig zobaczył jego twarz. Nie miało to najmniejszego sensu ale przecież po ponad dwóch miesiącach na pokładzie barki wieziennej wszędzie rozpoznaliby Jaretha Sartorisa.

Sartoris wziął ostry zakręt i skierował dźwig na koniec kładki, tam gdzie stali Han i Chewie, którzy przyglądali mu się z takim samym niedowierzaniem jak Trig. Ochrypli głos strażnika przebił się przez krzyki i blasterowy ogień:

- Wsiadacie?

Han i Chewie wskoczyli bez słowa. Dźwig opadł pod nowym ciężarem i Sartoris szarpnął drążek do przodu i w górę. Patrząc, jak z nim walczy, Trig zauważył głębokie ukąszenie na jego przedramieniu. Podskórna tkanka zaczęła się już wyrzuścić i marszczyć pod wpływem szarej, wijącej się w głębi ciała substancji.

Trig zdał sobie sprawę, że Sartoris zmaga się nie tylko ze sterami.

Dźwig zakołysał się na boki, próbując utrzymać ich ponad morzem twarzy oświetlonych nieprzerwaną kononadą blasterów. Han i Chewie zajęli pozycje po bokach i odpowiadali ogniem.

- Ty jesteś tym pilotem, tak? – krzyknął Sartoris, nie odwracając się. – Umiesz tym latać?

Han zrobił wielkie oczy.

- Powoliłby mi pan...

- Widzisz? – Sartoris pokazał ugryzioną rękę. Odstłonięta tkanka wyraźnie pulsowała, jakby pod skórą kłębiło się mrowie naładowanych elektrycznie węży, próbujących się wydostać na zewnątrz. – Zostało mi niewiele czasu.

- No tak, tylko że... – Han wychylił się i posłał kolejną serię w masę ciał. – Chewie i ja jesteśmy w tej chwili trochę zajęci.

Sartoris obejrzał się przez drugie ramię.

- A ty?

- Ja? – pisnął Trig.

- Mamy przeciążenie. – Sartoris zrobił ruch ręką w kierunku wskaźników, które migotały coraz szybciej na głównym pulpicie. Trig zauważył z przerażeniem, że wciąż opadają, zbliżając się powoli ale nieustannie do rozwrzeszczanego tłumu na dole. Za parę chwil poczują od spodu dźwigu uderzenia rąk, próbujących wdrzeć się na pokład. – Poduszkowiec nie uniesie takiego ciężaru.

- Ja chyba nie umiem...

- Pora się nauczyć. – Sartoris chwycił chłopca za ramię, przeciągnął obok Hana i posadził przed pulpitem. – Rozumiesz?

- Dokąd lecimy?

- W hangarze jest imperialny prom z garstką żołnierzy na pokładzie. Znajdźcie chłopaka o nazwisku White. – Trig zdał sobie sprawę, że kapitan straży wciąż trzyma go za ramię i patrzy na niego; jego oczy były jasne i przejrzyste. – Zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Ale...

Sartoris zmrużył oczy a pionowe zmarszczki po obu stronach jego ust pogłębiły się w dwie bruzdy.

- Muszę ci coś powiedzieć o twoim ojcu.

- Pan go znał?

- To był porządny człowiek – powiedział Sartoris. – Nie to co ja.

Trig wpatrywał się w niego.

- Byłby z ciebie dumny. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Skąd... – zaczął Trig. Nie zdążył dokończyć bo Sartoris przerzucił nogi przez boczną barierkę dźwigu i skoczył.

Mały! – krzyknął Han. – Sterujesz tym, czy nie?

Trig pochylił się do przodu, zmagając się spoconymi dłońmi z drążkiem. Z trudem uchronił ich przed zderzeniem ze ścianą. Turbina i otchłań wokół niej zostały za nimi i odpywały pod jakimś niezwykłym kątem. Z przodu wszystko nadlatywało zbyt szybko w smudze niebezpiecznej prędkości.

Dwadzieścia metrów niżej w prostym korytarzu, pierwotni mieszkańcy niszcyciela wciąż strzelali i wspinali się po ścinach, próbując ich dosięgnąć. Było ich tysiące, ściśniętych razem jak rzeka śmierdzącego, zgniłego mięsa. Jak jeden mąż odrzucili głowy i wydali z siebie kolejny zbiorowy wrzask. Z oddali odpowiedział im taki sam krzyk.

- Wiesz dokąd lecisz? – krzyknął Han.

Trig spojrział na plan na ekranie nawigacyjnym dźwigu. Migający punkt pokazywał, gdzie się znajdują w labiryncie śródpokładowych przejść. Poczował, jak spod pach ścieka mu pot i spływa w dół po żebrach.

- Dasz radę.

Dźwig się zachwiał i przekrzywił. Han wychylił się, próbując zobaczyć, co się dzieje ale pokręcił głową.

- Nie sięgnę!

Trig znów spojrział przed siebie. Pociągnął drążek w dół tak bardzo jak tylko

miął odwagę, aż zobaczył kolektor wylotowy wznoszący się z podłogi. Wstrzymał oddech i trącił drażek, opuszczając ich jeszcze o ułamek milimetra. Była to czysta brawura – specjalność jego ojca i brata, ale teraz już tylko on mógł to zrobić.

- Trig, co...

Łup!

Ciało spod dźwigu rąbnęło o kolektor, odbiło się i obracając się wokół własnej osi już bez głowy, wpadło w masę z której pochodziło. Han rzucił Trigowi pełne uznania spojrzenie.

- To rozumiem.

Trig skręcił i skierował pojazd w nieco szerszą arterię. Przyćmione żółte światła przelatowały obok jak jego pędzące szaleńczo myśli. Wciąż wracał do tego, co powiedział Sartoris tuż przed wyskoczeniem z dźwigu.

- To był porządny człowiek. Ja nie.

Ot, banalne słowa, wypowiedziane przez człowieka, który wiedział, że idzie na śmierć. Ale dlaczego zabrzmiało to, jakby przyznawał się do zabicia Vona Longa?

Komunikator dźwigu wydał z siebie serię trzasków i z głośnika dobiegł kobiecy głos:

- Halo, jest tam kto?

Ręka Hana sięgnęła ponad ramieniem Triga, chwyciła komunikator i włączyła go.

- Kto mówi?

-...Cody... – odezwał się głos. - ...sterowni hangaru...

- Jesteśmy właśnie w drodze – powiedział Han.

- ...nie... nie zbliżajcie się...

- Proszę powtórzyć.

- Atakują...

Komunikator zatrzeszczał i głos Zahary zamienił się w szmer. Trigowi zdawało się, że w tle słyszy blastery, brzęk i łomot zwiastujące katastrofę. Han zmieniał częstotliwości próbując złapać sygnał.

- Gubię panią – powiedział. – Niech pani zaczeka, dobrze?

- ... ich zbyt wielu... – Głos Zahary zanikał, ginąc wśród silniejszego szumu. Trigowi wydawało się, że usłyszał słowa „działo laserowe” a potem połączenie urwało się zupełnie. Han odłożył komunikator i sprawdził cyfrowy schemat na pulpicie dźwigu.

- W porządku, jesteśmy prawie na miejscu, zgadza się? – powiedział. – Mamy wejście prosto przed sobą.

Trig pociągnął drażek do siebie i puścił. W końcu zaczynał go wyczuwać - teraz, kiedy ich podróż już się skończyła. Dźwig przemknął przez koniec korytarza w stronę wjazdu, który wskazywał Han. „Chociaż byli prawie na miejscu, Trig poczuł dziwne ukłucie lęku, jakby świadomość błędu popełnionego tak dawno, że nie można już go było naprawić.

Chewie zaryczał a nozdrza Hana zafalowały. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Tak – powiedział. – Też to czuję.

Trig się obejrzał.

- Co?
- Dym.

Ściana hangaru stała w płomieniach.

Poprzez kłęby dymu Trig widział przelewającą się armię umarłych, która zmierzła w stronę przeciwległego końca hangaru. X-wing, który najwyraźniej zaatakował ścianę, wciąż był w nią wycelowany. Jego działka laserowe skierowano ku górze za pomocą przypadkowych kawałków złomu. Trig spojrział w górę – płomień trawił zachodni koniec hangaru, spowijając wszystko ścianą gęstego, oleistego dymu, który pachniał jak spalone miedziane druciki i okopcona durastal.

- Doktor Cody mówiła, że gdzie jest? – krzyknął.
- W sterowni głównego hangaru – odpowiedział Han.
- Czyli...?

Han wskazał prosto na płomień. Trig pociągnął za drążek i skierował dźwig w duszącą czarną ścianę. Oczy, nos i gardło od razu zaczęły go szczypać a po policzkach popłynęły łzy. Słyszał krzyki Hana i głośny, gniewny ryk Chewbaccy, który przeszedł w atak głębokiego kaszlu.

- Co ty robisz? – krzyknął Han. – Chcesz nas zabić?
- Nie zostawię jej.
- Jeśli ona nawet tam jest, to już nie żyje!

Trig unosił dźwig tak długo, aż zobaczył przez płomień to, co zostało ze sterowni hangaru. Stopione komputery i konsole leżały na odkształconych durastalowych panelach jak surrealistyczny koszmar imperialnej technologii.

Nie ma jej tam, pomyślał. Uciekła. Może...

Myśl urwała się gwałtownie.

Jego wzrok padł na niewielki kształt, przysłonięty częściowo przez podłużną płytę zwęglonych podzespołów, która runęła przygniatając go. Trig patrzył na smukłą dłoń, która wystawała spod sterty i przypomniał sobie jak wyglądała kiedy spoczywała na ramieniu jego ojca w ambulatorium. Poczuł, że nie może oddychać i zamarł w absolutnym bezruchu.

- Hej, mały. – Głos Hana dobiegał jakby z daleka a z jego brzmienia Trig wynioskował, że on też ją widział. – Musimy lecieć.

Trig otworzył usta, żeby coś powiedzieć ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zawrócił dźwig i skierował go w dół.



## ROZDZIAŁ 43

# ŚMIERĆ I WSZYSCY JEJ PRZYJACIELE\*

W ostatnich chwilach, jakie spędził na pokładzie gwiazdnego niszczyciela, Trig Longo zobaczył rzeczy, których nigdy nie będzie w stanie zapomnieć, choćby nie wiem jak bardzo się starał. Później, kiedy próbował to wszystko poskładać do kupy i zrozumieć, brakowało mu słów. Pozostały mu jedynie luźne obrazy, surowe wspomnienia i uczucia, które przerażały go tak samo jak wtedy, gdy doznał ich po raz pierwszy.

Wciąż nie mógł się pozbierać po tym, co widział na górze. Kiedy stracił Kale'a sądził, że jego zdolność odczuwania smutku i bólu już się wyczerpała – ale świadomość, że doktor Cody także odeszła, to było więcej, niż mógł znieść. Pozostało w nim uczucie głębokiego żalu i okropne mdłości, jak gdyby miał wymiotować gorzki kawałeczek własnego serca.

Wtedy stworzenia na podłodze hangaru przestały wrzeszczeć i skoncentrowały wysiłki na włożeniu do wszystkich pozostałych statków kosmicznych. Obserwując je, Trig zauważył, że w ich działaniach nie ma już żadnego porządku, żadnej koncepcji. Chciały tylko wydostać się z niszczyciela, tak samo jak Trig, Han i Chewie.

Nienawidził ich.

---

\* *Death and All His Friends* – tytuł jednej z piosenek z albumu *Viva la Vida or Death and All His Friends* zespołu Coldplay.

Bardziej niż kiedykolwiek nienawidził Sartorisa czy Aura Myssa, czy kogokolwiek w swoim krótkim życiu. Nienawidził ich z zaciekłością o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał. Tak jakby cały strach, który wzbierał w nim aż do tej chwili, urósł w czarne, lodowate szczyty czystego gniewu.

Spojrzał przed siebie. Prom desantowy o którym mówił mu Sartoris, unosił się już w powietrzu. Niewiele myśląc, Trig posadził dźwig obok niego. Otworzył się właz ewakuacyjny a Han popatrzył na niego z wahaniem.

- Jesteś pewien? To imperialny prom.

Trig wskazał na właz.

- Zobacz.

Ze środka koścista ręka machała na nich w przywołującym geście i Trig nie tracił czasu na dyskusję. Uniósł dźwig, przełączył go na autozwis i wspiął się po rufie.

W ładowni promu było ciemnowo, za to nie było dymu, który utrudniał oddychanie. Stojący przed nimi imperialny żołnierz miał bladą, zagłodzoną twarz, na widok której Trig poczuł się nieswojo; kiedy żołnierz się uśmiechnął, wyglądało to, jakby czaszka miała rozerwać cieniutko tkaną pajęczynę złotej skóry.

- Ty jesteś White? – spytał Trig.

- Tanner. – Szkielet pokręcił głową. – White nie przeżył. Zostałem tylko ja i Pauling w kabinie.

- No dobra – odezwał się Han i odchrząknął. – Mamy zamiar odlecieć, czy planujemy tu osiąść na stałe?

- Jak tylko...

I wtedy cały świat zadygotał.

- Co się dzieje? – spytał Trig.

Han rzucił okiem w kierunku kabiny promu, gdzie drugi wynędzniały imperialny żołnierz – Pauling, jak się domyślał – szarpał się ze sterami. Jego dłonie były osadzone na wychudłych, patykowatych nadgarstkach co wyglądało tak, jakby jakiś absurdalnie nieudolny lalkarz sterował marionetką.

- Co to? – zachrypiał Pauling. Jego głowa chybotwała się z boku na bok. – Co tam się dzieje?

- Hangar się otwiera – powiedział Han. – Myślałem chłopcy, że to wasza sprawka.

- Nie. – Pauling wskazał kciukiem przestrzeń poza kabiną. – Raczej ich.

Han zobaczył, że spód gwiazdowego niszczyciela rozsuwa się, ukazując otchłań kosmosu. Miał wrażenie, że po prawej stronie mignął mu dziób barki więziennej „Czystka”, która wydawała się bardzo mała na końcu swojego szybu dokującego, niczym drobny przypis do opasłego tomu sagi imperialnej dominacji.

Wrota lądowiska otworzyły się na oścież i zdobyte statki zaczęły wylatywać – para myśliwców TIE, frachtowiec, imperialny prom, X-wingi. Wypluwaane we wszystkich kierunkach, rozsypywały się w przestrzeni kosmicznej jak muchy odfruwające z

martwego ciała. Gdy jeden z mniejszych statków przelatywał koło nich, Han dostrzegł ziemiste twarze umarłych, które patrzyły na niego z kabiny, upchnięte tak ciasno, że zgniłe ciała szczelnie przywierały do szyby. Czyżby niektórzy z nich ją lizali?

- Ruszajmy – powiedział Han. – Na co czekamy?

Pauling wstukał serię poleceń i prom zaczął wibrować. Potem szarpnął ostro na bakburtę i się zatrzymał.

- Co jest?

- Nie wiem – wyjąkał Pauling. – Silniki...

- Wstawaj – powiedział Han. Wyrzucił imperialnego żołnierza z fotela i wepchnął go w stronę ładowni. – Chewie, musimy się sami tym zająć. – Obejrzał się. – Chewie?

Nie było odpowiedzi ale Han nie miał czasu żeby szukać Wookiego. Przeszawił systemy nawigacyjne na ręczne sterowanie i pociągnął drążek do góry. Obrócił prom i nachylił go, aż zobaczył pod sobą wylot hangaru. Galaktyka stała przed nim otworem. Była dokładnie tam, gdzie ją zostawił.

Prom wystrzelił z hangaru gwiazdnego niszczyciela, mijając barke więzienną i zanurzył się w przestrzeni kosmicznej. Han Solo poczuł przypływ adrenaliny, który towarzyszył mu zawsze, kiedy pilotowany przez niego statek zaczynał pokazywać na co go stać.

Nie chciał myśleć o pani doktor, o tym, co się z nią stało, kiedy te stwory otworzyły do niej ogień z działka laserowego X-winga.

Ale wiedział, że w końcu będzie musiał.

Nie było rady.

Skup się na tym co robisz, nakazał sobie. Nie zrób teraz czegoś głupiego. Jeszcze się z tego nie wykaraskaliśmy.

Zaczynał właśnie regulować sytem nawigacyjny nadprzestrzeni, kiedy usłyszał pierwsze krzyki.

- Co się tam dzieje?

Rozległ się głuchy odgłos i Pauling wtoczył się chwiejnie do kabiny. Ciemnoczerwona, tętnicza krew tryskała z kikuta w miejscu gdzie wcześniej była jego ręka. Jego twarz przybrała jeszcze bledszy odcień szarości a usta miał otwarte ze zdumienia.

- Te stwory...

Głos mu się załamał. Krzyki w ładowni przybierały na sile a Han patrzył jak Pauling wykonuje dziwny, chaotyczny piruet i wyciąga w tamtym kierunku ocalałą rękę, jakby chcąc pokazać Hanowi co się dzieje.

Nagle coś go chwyciło i wyciągnęło z kabiny.

Han przełączył systemy nawigacyjne na zdalne sterowanie i odruchowo poszukał ręką blastera. Gdzie on się podział? Odłożył go na bok, kiedy chwycił za stery ale co się z nim stało?

Powoli wstał i wyrztał z kabiny.

W ładowni stała jedna z istot z hangaru niszczyciela. Zdjęła pęknięty hełm

szturmowca, żeby móc jeść. W jaki sposób dostała się na pokład promu przed startem – Han nie wiedział ale nie miało to teraz żadnego znaczenia. Trup zatopił zęby w gardle Paulinga; zapamiętała wysysał jego krew, odrywając potężne kawały ciała. Han zobaczył, że stopa istoty w białym bucie opera się na drugim imperialnym żołnierzu, Tannerze a raczej tym co z niego zostało – kupka zakrwawionych resztek, czarny mundur ze strzypami ciała, twarz z jednym okiem wywróconym do tyłu.

Han omiół spojrzeniem ładownię. Po drugiej stronie zobaczył Chewbacę i Triga, którzy wpatrywali się w niego, skuleni na końcu rzędu siedzeń. Han pokazał na migi blaster ale obaj pokręcili głowami.

No i co ja mam zrobić? – zastanawiał się. Nie jestem bohaterem. Ilu jeszcze cudów ode mnie oczekują?

Zamarł.

Szturmowiec patrzył na niego.

I szczyrzył zęby w uśmiechu.

Kawałki ciała Paulinga zwisały mu z zębów. Rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami, rycząc przeraźliwie w zamkniętej przestrzeni ładowni, aż Hanowi zadzwoniło w uszach.

Chciał się cofnąć do kabiny ale zawadził nogą o urwaną rękę Paulinga. Stracił równowagę i upadł. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, była postać w mundurze szturmowca, która runęła na niego całym ciężarem.

A potem była ciemność.

## ROZDZIAŁ 44

# WOLNY PTAK

Trig najpierw usłyszał blaster a dopiero potem go zobaczył. Przyczajony obok Chewiego rozglądał się po ładowni, szukając czegoś co mógłby wykorzystać jako broń, kiedy powietrze ożywiła nagle znajoma vibracja. Podniósł głowę i zobaczył, że stworzenie w mundurze szturmowca zsuwa się z Hana i odtacza na bok.

Chewbacca poderwał się, dopadł do ciała, poniósł je – z dziury wypalanej w plecach unosił się jeszcze dym – po czym cisnął na podłogę ładowni.

Trig spojrzął w kierunku z którego padł strzał. To, co zobaczył na chwilę go zamurowało.

- Doktor Cody?

Zahara wyłoniła się z tylnej części ładowni, trzymając oburącz blaster Hana, uniesiony i gotowy do strzału. Odezwała się cicho, niemal szeptem:

- Ostrożnie, Chewbacca. Chyba lepiej kropnę go jeszcze raz. Tak dla pewności.

Han odsunął się na czworakach, gorączkowo wypatrując na swoim ciele śladów ugryzień lub zakażenia. W końcu dostrzegł Zaharę i utkwiał w niej zdumiony wzrok.

- Skąd pani się tu wzięła?

Nie odpowiedziała. Skoncentrowała uwagę na istocie w zbroi szturmowca, którą teraz wstrząsały drgawki. Ręce i nogi młóciły powietrze, głowa była odchylona do tyłu z ust sączył się gęsty, szarawy płyn, który zbierał się na podłodze. Po chwili płyn zaczął wyciekać także z nosa i uszu a w końcu także z kącików oczu, spływając po policzkach jak lepkie, skażone łzy.

- Przedtem tak się nie działo – powiedział Han.

- Bo nigdy dotąd nie były tak daleko od źródła.

Han popatrzył na nią z konsternacją.

- Prawdopodobnie na całym niszczycielu panuje silne skażenie pochodzące z tych zbiorników. To dostarcza im energii, opóźnia proces rozkładu i pobudza receptory mięśniowwe.

- Skąd pani to wszystko wie?

Zahara rzuciła mu ukośne spojrzenie.

- Mam informacje od androida, zapomniałeś?

- Hej, nie chciałem...

- W porządku – powiedziała. – Popatrz tylko. – Wskazała przez szybę na inne statki, które opuściły niszczyciel przed nimi. Początkowo Han nie wiedział o co jej chodzi ale po chwili zorientował się co się dzieje. Oswobodzone statki dryfowały bezwładnie w głąb kosmosu. Zobaczył, jak jeden z myśliwców TIE przechylił się na bok jak pijany i wpada prosto na tor lotu drugiego TIE. Myśliwce zderzyły się ze sobą i eksplodowały.

- To był właśnie słaby punkt Czarnego Skrzydła – powiedziała Zahara. - Dlatego nie mogli tego nigdzie dalej rozprzestrzeniać.

- Czarnego Skrzydła?

- Szary płyn w tych zbiornikach był niezwykle zaawansowaną wersją wirusa. Operacja miała na celu wyprodukowanie jego nieograniczonych zasobów prawdopodobnie po to, żeby Imperium mogło dowolnie manipulować jego zachowaniem.

- Więc te wszystkie zombi – powiedział Han – to byli tylko pośrednicy? Coś jak środek do osiągnięcia celu?

Zahara pokiwała głową.

- Tak sądzę. Ich wskrzeszone ciała miały być zapewne roznośicielami. Ale bez

stałego i bezpośredniego kontaktu z wirusem nie są w stanie funkcjonować.

Han podrapał się po brodzie.

- Ale ciągle nie rozumiem, jak pani się tutaj znalazła. Widzieliśmy pani ciało w sterowni głównego hangaru.

- To był White – wyjaśniła Zahara. – Odebrał mój sygnał alarmowy. Poszedł mnie szukać i wyciągnął mnie stamtąd. Ale sam nie zdążył uciec.

- Przypadkowy, obcy człowiek poświęcił się, żeby panią uratować? – spytał zdumiony Han. – Bez urazy ale to nie ma zbyt wielkiego sensu.

Zahara uśmiechnęła się blado.

- Powiedział, że obcy człowiek zrobił dla niego to samo.

Lecieli przez dłuższy czas, nie odzywając się. Chewie pomagał trochę Hanowi pilotować a potem poszedł się zdrzemnąć do ładowni, zostawiając go samego. Han uważał, że galaktykę najlepiej obserwować w taki właśnie sposób – w ciszy. Można wtedy usiąść, popatrzeć w dal i poczekać, aż wszystko zacznie nabierać sensu – chociaż nie zawsze nabierało.

Po jakimś czasie do kabiny przyszedł dzieciak i usiadł na miejscu Chewiego. Han nic nie powiedział – dał mu czas, czekając aż sam będzie gotów do rozmowy.

- Dokąd lecimy? – spytał wreszcie Trig.

Han wzruszył ramionami.

- W lepsze miejsce.

- Więc nie ma żadnego planu?

- Zawsze jest jakiś plan. Czasem tylko trzeba trochę poczekać, żeby się przekonać jaki.

Trig popatrzył na niego.

- Coś nie tak? – spytał Han.

- Nie, nie. To zabrzmiało jak powiedzonko mojego taty, to wszystko.

- Twojego staruszka?

- Polubiłbyś go. – Trig rozsiadł się, wpatrzony w otchłań kosmosu w te wszystkie gwiazdy. – Bałeś się tam?

- Ja? Phi. – Han uniósł brew. – Nie żebym się palił do powrotu, muszę zaznaczyć.

- Jak ci się podoba prom?

- Ten? Może być. Ale jeśli chcesz zobaczyć szybki statek, powinieneś zobaczyć mój. To znaczy mógłbyś, gdyby Imperialni go nie skonfiskowali. Może wyglądem nie powala, ale... – Widział, że dzieciak wlepił oczy w tablicę przyrządów i komputer nawigacyjny, który karmił się współzależnymi w nieprzerwanym łańcuchu niemej rozmowy. – Chcesz spróbować?

- Serio?

- Leciłeś tym poduszkowcem jak stary wyga. Myślę, że jesteś gotowy na coś większego.

- Ale ja nie umiem.

- Jasne, że umiesz. – Han podał mu słuchawki. – Masz, załóż to. Pokażę ci,



jak to działa.

Trig wytrzeszczył oczy a w kącikach jego ust pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Wiesz, doktor Cody mówiła, że ten facet, White, opowiedział jej o tym promie, zanim umarł.

Han skinął głową.

- Aha.

- White mówił, że wymyślili dla niego nazwę.

- Tak?

- Tak – powiedział Trig. – „Wolny Ptak”. – Spojrzał niepewnie na Hana. - Podobają mi się.

- „Wolny Ptak”, hm? – Han się zastanowił. – Chyba pasuje. – Odsunął się od sterów, tak żeby Trig mógł przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. – Chodź, pokażę ci jak to się robi.

Dwa dni później sprzedali transportowiec grupie piratów Czarnego Młota na Galantos w mieście o nazwie Gal’fian’deprisi.

- Im szybciej się stąd wyniosę – jęknął Han – tym mniej będę musiał się męczyć z wymawianiem tej nazwy.

Siedzieli w barze przy porcie kosmicznym. Trig podniósł wzrok znad stołu. Han i Chewie siedzieli po jednej stronie, on i Zahara po drugiej.

- Dokąd się wybieracie?

- Z naszą połówką tego co dostaliśmy za transportowiec? – Han się uśmiechnął. – Odkupimy mój statek.

- Mówiłeś, że został skonfiskowany przez Imperialnych.

- Nie żartuj. Ci lokalni biurokraci są tak skorumpowani, że na pewno wystawili „Sokoła” na aukcję, zanim jeszcze wylądowaliśmy na tej barce więziennej. Teraz trzeba go tylko namierzyć.

- Więc nie zostajecie tutaj?

- Nie. – Han podniósł się i wyciągnął rękę przez stół. – Do miłego, pani doktor. – Spojrzał na Triga. – Mały, uważaj na siebie, co?

- Ty też.

- A co z wami? Macie jakieś poważne plany?

Zahara zastanowiła się przez chwilę i pokiwała głową.

- Są takie, niedokończone sprawy.

## EPILOG

Wszyscy w Hanna City sądzili, że kobieta i młody chłopiec są rodzeństwem. Ona była wprawdzie znacznie starsza ale oboje poruszali się z tą samą niewymuszoną gracją, chociaż czujnie, jakby przeszli tę samą próbę ogniową. W ich zachowaniu była skromność i prostota. W czasie swojej długiej podróży bez większych problemów unikali nieprzyjemności ze strony Imperialnych.

Tego ranka, kiedy przybyli na Chandrilę, spędzili kilka godzin, przemierzając faliste wzgórza wzdłuż brzegu jeziora Sah'ot. Powietrze było tam chłodne i niemal nienaturalnie czyste, tak rześkie, że czuć było zapach żyznej, zielonej ziemi w oddali. Trig Longo pomyślał, że w takim miejscu mógłby kiedyś zamieszkać a kiedy powiedział o tym Zaharze Cody, tylko się uśmiechnęła.

Na wschodnim brzegu napotkali niewielką społeczność tubylców – rybaków i farmerów. Znali rodzinę o którą pytała Zahara i wskazali im drogę do małego rancza na skraju położonego nad wodą pastwiska. Kiedy dotarli na miejsce, podeszła do drzwi i zapukała.

Kobieta, która im otworzyła, odznaczała się mroczną urodą, niespokojną i niepokojącą zarazem a w jej oczach była głębia kosmosu. Troje małych dzieci ścisnęło kurczowo rąbek jej sukni, wpatrując się lękliwie w dwójkę nieznanym na progu.

- Tak? – odezwała się kobieta. – W czym mogę pomóc?

- Pani ma na imię Kai? – spytała Zahara.

- Tak, to ja.

- Nazywam się Zahara Cody. Pracowałam z pani mężem na pokładzie barki więziennej „Czystka”.

- Przepraszam, ale nie rozumiem. – Kobieta popatrzyła na nią nerwowo. – Rozmawiałam już z Imperialnymi.

- Nie jesteśmy przedstawicielami Imperium – powiedział Trig.

Kobieta nic nie powiedziała ale wyraz rezerwy nie opuszczał jej twarzy.

- Mąż chciał pani coś przekazać – wyjaśniła Zahara. – Zależało mi po prostu, żeby pani to dostała. – Sięgnęła do kieszeni i podała kobiecie postrzępiony arkusik flimsiplastu.

Dzieci przysunęły się bliżej i wyciągały szyje, patrząc jak Kai rozwija kartecz-

kę. Najmłodsze z nich, które nie potrafiło jeszcze czytać, spojrzało na matkę.

- Co to jest, mamusiu?

Kobieta długo nie odpowiadała. Wodziła oczami tam i z powrotem po tekście a Trig zauważył, że wzbierają w nich łzy i spływają po policzkach. W końcu podniosła wzrok i spojrzała na Zaharę.

- Dziękuję – szepnęła.

Zahara i Trig zaczekali, aż przeczyta po raz drugi. Kiedy skończyła łzy płynęły już ciurkiem. Nie zwracała na nie uwagi a najstarszy syn objął ją ramieniem, jakby mógł ją w ten sposób uchronić przed smutkiem.

- Dziękuję pani za ten list – powiedziała. – Czy... czy chcecie wejść do środka? Właśnie parzyłam herbatę.

- Brzmi zachęcająco – odparła Zahara i razem z Trigem weszli do domu wypełnionego dziecinnym gwarem i zapachem herbaty.

## PODZIĘKOWANIA

*Bardzo dziękuję mojej rodzinie w Del Rey: Keithowi Claytonowi, Erichowi Schoeneweissowi, Sue Moe i nieodmiennie niesamowitej Shelly Shapiro.*

*Pragnę wyrazić głęboką i szczerą wdzięczność Sue Rostoni i Lelandowi Chee z Lucasfilmu za ofiarowanie temu skromnemu straszylu darmowej przepustki do ich galaktyki.*

*Dziękuję jak zawsze mojej agentce Phyllis Westberg za panowanie nad całością.*

*A także Michalełowi Ludy'emu, mojemu najlepszemu przyjacielowi ze szkoły średniej. Mike i ja zapłaciliśmy po dwa i pół dolara, żeby zobaczyć Powrót Jedi w dniu premiery i od tego czasu nic już nie było takie samo.*

*I wreszcie Christinie, która nie tylko znosi na co dzień moje pisarskie humory ale też złożyła zwycięską ofertę na starą figurkę Obcego firmy Kenner z 1979 roku na eBayu... co czyni ją najfajniejszą żoną na świecie.*